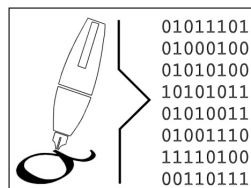


Agatha Christie

Dom nad kanałem

Przełożyła Anna Bańkowska



Tytuł oryginału: By the Pricking of My Thumbs

Wydanie oryginalne: 1968

Wydanie polskie: 2001

**Ha, czuję, że mnie kciuki swędzą:
Coś złego drogi do nas szuka.**

**William Szekspir: „Makbet” akt IV, sc. I,
tłum. Stanisław Barańczak**

*Książkę tę dedykuję licznym czytelnikom z tego i innych krajów,
ślących do mnie zapytania: „Co słyhać u Tommy’ego i Tuppence?
Czym się teraz zajmują?”. Moje najlepsze życzenia dla Was
wszystkich! Mam nadzieję, że z przyjemnością spotkacie się znów
z Tommym i Tuppence, wprawdzie posuniętymi w latach,
ale o wciąż niespożytym duchu.
Agatha Christie*

Księga pierwsza

Słoneczne Wzgórza

Rozdział I

Ciotka Ada

Państwo Beresfordowie siedzieli właśnie przy śniadaniu. Była z nich całkiem zwyczajna para w podeszłym wieku; w całej Anglii setki takich jak oni jadło w tym momencie śniadanie. Dzień także nie zapowiadał się nadzwyczajnie — ot, jeden z pięciu powszednich dni tygodnia. Lada chwila mogło zacząć padać, ale trudno było to przewidzieć z całą pewnością.

Pan Beresford miał kiedyś rude włosy; teraz z dawnej barwy pozostały tylko pojedyncze kosmyki, całość zaś przybrała charakterystyczny dla dawnych rudzielców kolor piasku z solą. Pani Beresford pyszniła się za młodu burzą czarnych, mocno poskręcanych kędziorów. Obecnie w owej czerni przebłyskiwały gdzieniegdzie siwe pasemka, co dawało całkiem przyjemny dla oka efekt. Pani Beresford myślała kiedyś o ufarbowaniu włosów, ale w końcu doszła do wniosku, że woli być taką, jak ją natura stworzyła. Postanowiła za to poprawić sobie nastrój nowym odcieniem szminki.

Oto starsze małżeństwo przy stole nakrytym do śniadania. Miła z nich para, ale nic szczególnego — powiedziałyby ktoś patrzący z boku. Gdyby ów ktoś — on czy ona — był młody, zapewne dodałby: „No tak, są całkiem mili, ale śmiertelnie nudni, jak wszyscy starzy ludzie”.

A jednak państwo Beresfordowie nie przekroczyli jeszcze owego progu, za którym człowiek uznaje się za starego. Nie mieli też pojęcia, że — jak wielu innych — są uważani za nudnych wyłącznie ze względu na wiek. Oczywiście tylko przez młodych, ale przecież — jak pomyśleliby pobłaźliwie — ci młodzi nic o życiu nie wiedzą. Biedacy, stale się martwią, to o jakieś egzaminy, to znów o sprawy związane z seksem, kupują mnóstwo ekstrawaganckich ciuchów, wyprawiają dzikie rzeczy z włosami — a wszystko tylko po to, aby zwrócić na siebie uwagę. Państwo Beresfordowie zaś, ze swego punktu widzenia, minęli zaledwie szczytowy punkt swego życia. Każde z nich lubiło zarówno siebie, jak to drugie, toteż czas płynął im nie tylko spokojnie, ale i przyjemnie.

Zdarzały się oczywiście zgrzyty, wszystkim się to zdarza. Właśnie pan Beresford otworzył list, przebiegł go oczami i odłożył na stosik po lewej stronie. Wziął następny... ale jakoś go nie otwierał; ręka zawisła mu w powietrzu. Nawet nie patrzył na kopertę, tylko siedział ze wzrokiem wbitym w stojak do tostów. Żona obserwowała go przez chwilę, zanim zdecydowała się przemówić:

— Co się stało, Tommy?

— Stało? Jak to: „stało”?

— Właśnie pytam.

— Nic się nie stało. Co niby miałyby się stać?

— Zamyśliłeś się nad czymś — orzekła oskarżycielsko Tuppence.

— Nie sędzę, bym w ogóle o czymś myślał.

— Ależ tak, myślałeś. Jeszcze raz pytam: co się stało?

— Nic, absolutnie nic. Przyszedł rachunek od hydraulika.

— Aha! — wykrzyknęła Tuppence z błyskiem zrozumienia w oku. — Pewnie wyższy, niż się spodziewałeś?

— Naturalnie, jak zwykle zresztą.

— Nie rozumiem, czemu nie zostaliśmy hydraulikami. Gdybyś chociaż ty wyuczył się na hydraulika, mogłabym ci pomagać i codziennie zgarnialibyśmy forszę szuflami.

— Niestety nie byliśmy na tyle przewidujący.

— Czy właśnie temu rachunkowi tak się przyglądasz?

— Nie, to tylko jakiś apel.

— Młodociani przestępcy czy integracja rasowa?

— Nie, kolejny dom opieki dla starców.

— Cóż, to przynajmniej ma jakiś sens, ale skąd u ciebie ta zmartwiona mina?

— Ach, wcale nie o tym myślałem.

— Tak? A wolno wiedzieć, o czym?

— Bo widzisz, to mi coś przypomniało.

— Ale co? Dobrze wiesz, że i tak mi powiesz.

— To naprawdę nic ważnego. Po prostu myślałem, że może... no, wiesz... ciotka Ada...

— Ach, rozumiem! — wykrzyknęła Tuppence, zdjęta nagłym lękiem. — No tak — dodała po chwili ciszej, z namysłem. — Ciotka Ada.

Wymienili spojrzenia. Jest smutną prawdą, że w dzisiejszych czasach niemal każda rodzina boryka się z problemem, który można by nazwać „ciotka Ada”. Zmieniają się tylko imiona — ciotka Amelia, Susan, Cathy, Joan — i stopnie pokrewieństwa — babki, sędziwe kuzynki i tak dalej. Sprawa każdej z nich wymaga rozwiązania. Trzeba przedsięwziąć odpowiednie kroki, sprawdzić osobiście każdy zakład oferujący opiekę nad starszami, zadać mnóstwo pytań. Prosi się o rekomendację lekarzy, przyjaciół, którzy

swoje własne ciotki Ady poumieszczali już w takich domach jak Wawrzyny w Bexhill czy Szczęśliwe Łąki w Scarborough, gdzie „były idealnie szczęśliwe aż do śmierci”.

Dla dzisiejszych ciotek Ad miejsce wybiera się z wielką starannością, nie jak dla przeciętnej staruszki, która cierpiąc na artretyzm czy reumatyzm, mogłaby spaść ze schodów, albo która ma chroniczny bronchit, czy też po prostu kłóci się z sąsiadami i wymyśla dostawcom.

Tak się nieszczęśliwie składa, że „ciotki Ady” sprawiają znacznie więcej kłopotów niż podopieczni z drugiego końca skali wiekowej. Dzieci można umieścić w placówce wychowawczej, podrzucić krewnym albo wysłać do odpowiedniej szkoły, gdzie mogą zostać także podczas wakacji, zorganizować im wędrowkę na kucykach albo pobyt na obozie. One same rzadko kiedy mają coś przeciwko takiemu załatwieniu sprawy. Co innego „ciotki Ady”. Cioteczna babka Tuppence Beresford — Primrose — zawsze sprawiała kłopoty. Nie sposób było ją zadowolić. Zanim przekroczyła próg zakładu gwarantującego serdeczną opiekę i wszelkie wygody dla starszych osób, zasypywała siostrzenicę listami, w których wynosiła pod niebiosa zalety tej właśnie placówki, a kiedy już się tam znalazła, nagle przychodziła wiadomość, że starsza pani obraziła się i wyszła bez słowa.

— Coś strasznego. Nie zostanę tam ani minuty dłużej!

Tylko w ciągu jednego roku ciotka Primrose zmieniła jedenaście zakładów. Wreszcie napisała, że poznała uroczego młodego człowieka.

Naprawdę, jest mi taki oddany! Bardzo młodo stracił matkę i teraz rozpaczliwie potrzebuje kogoś, kto by się nim zajął. Wynajęłam mieszkanie i on niebawem się do mnie sprowadza. Taki układ idealnie odpowiada nam obojgu. Jesteśmy pokrewnymi duszami. Nie musisz już nic więcej załatwiać, kochana Prudence, mam zapewnioną przyszłość. Jutro mam się spotkać z adwokatem, bo koniecznie muszę zabezpieczyć jakoś Mervyna, na wypadek, gdybym odeszła pierwsza. To naturalna kolej rzeczy, chociaż zapewniam cię, że w tej chwili tryskam zdrowiem.

Tuppence natychmiast wyruszyła na północ (rzecz działa się w Aberdeen), ale policja była na miejscu jeszcze wcześniej. Czarujący Mervyn, którego poszukiwano od pewnego czasu pod zarzutem wyłudzenia pieniędzy, został aresztowany. Ciotka Primrose najpierw zawrzała oburzeniem i nazwała całą akcję prześladowaniem, ale po wysłuchaniu procesu, podczas którego oskarżonemu zarzucono jeszcze dwadzieścia pięć takich samych przestępstw, zmuszona była zmienić zdanie o swym protegowanym.

— Chyba powinienem pojechać do ciotki Ady, wiesz? Minęło trochę czasu...

— Tak sędzę — przyznała Tuppence bez entuzjazmu. — Jak długo tam nie byłeś?

— Prawie rok.

— Więcej, ponad rok.

— O Boże! — westchnął Tommy. — Jak ten czas leci, aż trudno uwierzyć... A jednak masz rację. — Policzył w myśli. — To wstrętne, że się tak zapomniało. Fatalnie się z tym czuję.

— Chyba nie powinienes. Przecież posyłamy jej różne rzeczy, piszemy listy.

— Tak, wiem. Jesteś naprawdę świetna w tych sprawach. Ale mimo wszystko czyta się nieraz o takich przykrych wydarzeniach.

— Myślisz o tych okropnych książkach z biblioteki? Los biednych staruszek opisują w nich jako jedno pasmo udręki. Tyle cierpienia...

— To chyba prawda. Te historie są przecież wzięte z życia.

— No tak, na pewno istnieją takie zakłady i tacy ludzie. Są strasznie nieszczęśliwi i bezradni w swym nieszczęściu. Ale co można na to poradzić?

— Po prostu trzeba być bardzo ostrożnym. Starannie wybierać placówkę, zgromadzić jak najwięcej informacji i upewnić się, czy mają sympatycznego lekarza.

— Sam przyznasz, że trudno o kogoś miłszego niż doktor Murray.

— Tak — z twarzy Tommy'ego zniknął zatroskany wyraz. — Murray to chłop pierwszej klasy. Uprzejmy, cierpliwy... Gdyby działo się coś złego, na pewno dałby nam znać.

— Więc chyba nie ma powodu do niepokoju. Ileż ona ma lat?

— Osiemdziesiąt dwa... Nie, raczej osiemdziesiąt trzy. To musi być straszne, kiedy żyje się dłużej niż wszyscy bliscy.

— To tylko my tak czujemy. Oni są innego zdania.

— Nie wiemy tego na pewno.

— Cóż, co do ciotki Ady, można mieć pewność. Nie pamiętasz, z jakim błyskiem w oku opowiadała nam, ilu swoich przyjaciół przeżyła? Na koniec powiedziała: „A jeśli chodzi o Amy Morgan, to słyszałam, że nie dają jej więcej niż pół roku. Zawsze powtarzała, że jestem taka delikatna, a tu proszę! Prawie na pewno ją także przeżyję”. Triumfowała na samą myśl o tym.

— Tak czy inaczej...

— Wiem, wiem — przerwała mężowi Tuppence. — Uważasz to za swój obowiązek, więc musisz jechać.

— A nie sądzisz, że mam rację?

— Niestety, masz absolutną rację. Jadę z tobą — dodała nieco heroicznym tonem.

— Nie — zaprotestował Tommy. — Po co miałabyś jechać? To nie twoja ciotka, sam pojadę.

— Niezupełnie. Ja też lubię cierpieć, więc pocierpimy razem. To będzie okropne dla nas obojga i ani przez chwilę nie wątpię, że dla ciotki także. Ale doskonale rozumiem, że to jedna z tych powinności, od których się nie ucieknie.

— Nie, nie chcę, żebyś jechała. Zresztą pamiętasz, jak ostatnim razem zmieszała cię

z błotem?

— Ach, nie przywiązuje do tego wagi. Biedna staruszka, prawdopodobnie z całej wizyty tylko to jedno sprawiło jej przyjemność. Ani przez chwilę nie miałam do niej pretensji.

— Ty zawsze byłaś dla niej miła, mimo że niespecjalnie ją lubisz.

— Nikt nie mógłby polubić ciotki Ady. I gdybyś mnie o to zapytał, powiedziałabym, że nigdy nikt jej nie lubił.

— Trudno nie żałować starzejących się ludzi.

— Ja tam ich nie żałuję. Nie mam tak dobrego charakteru jak ty.

— Jako kobieta jesteś bardziej bezwzględna.

— Może i tak. W każdym razie kobiety naprawdę nie mają za dużo czasu, dlatego muszą realistycznie podchodzić do różnych spraw. Owszem, żal mi ludzi starych i chorych, ale tylko jeśli są mili. A jeśli nie, cóż, muszę przyznać, że jest inaczej. Gdy człowiek ma paskudny charakter w wieku lat dwudziestu i czterdziestu, jeszcze gorszy po sześćdziesiątce, a około osiemdziesiątki wręcz wstępuje w niego diabeł, to nie rozumiem, czemu ktoś miałby mu współczuć tylko z powodu starości. Tak naprawdę nie możemy się zmienić. Znam parę przeuroczych staruszek po siedemdziesiątce i starszych; na przykład panna Beauchamp i Mary Carr, i babka piekarza, i nasza kochana sprzątaczką pani Poplett. Dla takich zrobiłabym wszystko.

— Dobrze, już dobrze, bądź realistyczna. Ale jeśli naprawdę chcesz się wykazać szlachetnością i pojechać ze mną...

— Pewnie, że chcę. W końcu poślubiłam cię na dobre i na złe, a ciotka Ada zdecydowanie jest „na złe”. Jedziemy razem, i koniec. Zawieziemy jej kwiaty, pudełko czekoladek z miękkim nadzieniem, i może parę magazynów. Możesz napisać do panny Jak-jej-tam i zapowiedzieć nasz przyjazd.

— W przyszłym tygodniu na jeden dzień? Mogę mieć wolny wtorek, jeśli ci to odpowiada.

— Niech będzie wtorek. Jak ta kobieta się nazywa? Nie pamiętam... Przełożona czy dyrektorka, czy kto tam. Na P...

— Panna Packard.

— O, właśnie.

— Tym razem może być inaczej — zauważył Tommy.

— Inaczej? Pod jakim względem?

— Ach, sam nie wiem. Może się zdarzy coś ciekawego...

— Na przykład wypadek kolejowy — podchwyciła ochoczo Tuppence.

— Czemu, u licha, chcesz uczestniczyć w wypadku kolejowym?

— Cóż, tak naprawdę to nie chcę. Tylko po prostu...

— Po prostu co?

— No... Zawsze to jakaś przygoda, czyż nie? Moglibyśmy kogoś uratować albo w ogóle się przydać. Być użytecznymi, a zarazem przeżyć coś ekscytującego.

— Ty to masz wyobraźnię!

— Wiem — zgodziła się Tuppence. — Różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy.

Rozdział II

Czy to biedne dziecko było pani?

Skąd wzięła się nazwa Słoneczne Wzgórza, doprawdy trudno powiedzieć. W najbliższej okolicy nic nie przypominało pasma wzniesień, przeciwnie — teren był całkowicie płaski i dzięki temu znacznie bardziej odpowiedni dla sędziwych pensjonariuszek. Duży ogród nie wyróżniał się niczym szczególnym, a ogromny wiktoriański dwór utrzymywano w przyzwoitym stanie. Rosło tam kilka ładnych, rozłożystych drzew, po jednej ścianie domu pięło się dzikie wino, a dwie araukarie nadawały scenerii egzotyczny wygląd. W stosownych, nasłonecznionych miejscach stało kilka ławek i ogrodowych krzeseł, nie zabrakło też zacisznej werandy, na której starsze panie mogły przesiadywać, nie narażając się na chłodne wschodnie wiatry.

Tommy nacisnął dzwonek i natychmiast zjawiała się młoda kobieta w nylonowym kombinezonie. Wyglądała na nieco zmęczoną. Wprowadziła Beresfordów do saloniku i zdyszonym głosem powiedziała:

— Zaraz poproszę pannę Packard. Oczekiwała państwa i za parę minut zejdzie, tylko że pani Carraway znów połknęła naparstek i... Zechcą państwo chwilę zaczekać, dobrze?

— Jak, na miłość boską, zdołała to zrobić? — spytała zaskoczona Tuppence.

— Po prostu, dla kawału — wyjaśniła krótko służąca. — Ciągłe to samo.

Po jej wyjściu Tuppence się zamyśliła.

— Nie sądzę, bym chciała połykać naparstek. Musi paskudnie uwierać, kiedy przemieszczą się w brzuchu, co?

Niebawem drzwi się otworzyły i weszła panna Packard, już od progu rozplywając się w przeprosinach. Postawna kobieta około pięćdziesiątki, o ryżych włosach, emanowała wprost chłodną kompetencją, która zawsze budziła podziw Tommy'ego.

— Najmocniej przepraszam, że musieli państwo czekać. Cieszę się, że państwa wi-

dzę.

— Podobno ktoś tu coś połknął? — zagadnął Tommy.

— Ach, więc Marlina już państwu powiedziała? Tak, pani Carraway ciągle coś połyka. To bardzo kłopotliwe, bo przecież nie możemy jej bez przerwy pilnować. Oczywiście wiadomo, że dzieciom się to zdarza, ale żeby starsza kobieta miała takie dziwne hobby? Niestety, popadła w nawyk i z każdym rokiem z nią gorzej. A najśmieszniejsze, że wcale jej to nie szkodzi.

— Może jej ojciec był połykaczem mieczy — podsunęła Tuppence.

— Bardzo ciekawy pomysł, to może być jakieś wyjaśnienie. Panie Beresford, mówiłam pannie Fanshawe, że pan się do niej wybiera, ale nie jestem pewna, czy do końca mnie zrozumiała. Czasem są z tym kłopoty.

— A jak się czuje ostatnio?

— Cóż, obawiam się, że słabnie w zastraszającym tempie — oświadczyła bez zająknięcia panna Packard. — Nigdy nie wiadomo, co rozumiała, a czego nie. Wczoraj wieczorem powiadomiłam ją o pańskim przyjeździe, a ona na to, że to wykluczone, bo przecież trwa rok szkolny. Myślała, że pan jeszcze jest w szkole! Tym biedulkom czasem wszystko się miesza, szczególnie w kwestii czasu. Ale kiedy dziś rano jej przypomniałam o wizycie, oświadczyła, że przecież pan od dawna nie żyje. No cóż — ciągnęła radośnie — mam nadzieję, że pana pozna.

— A co z jej zdrowiem? Bez zmian?

— Na tyle, na ile można się spodziewać. Szczerze mówiąc, chyba niedługo pociągnie. Wprawdzie absolutnie nie cierpi, ale stan jej serca bynajmniej się nie poprawia. Właściwie jest coraz gorzej. Dlatego radziłabym, aby się państwo przygotowali, ona może odejść zupełnie nagle.

— Mamy dla niej kwiaty — rzekła Tuppence.

— I pudełko czekoladek — dodał Tommy.

— O, jak miło. Na pewno bardzo się ucieszy. Pójdziemy już na górę?

Podnieśli się posłusznie. Panna Packard poprowadziła ich szerokimi schodami na piętro. Kiedy mijali jeden z pokojów, drzwi nagle się otworzyły i wyszła z nich drobna staruszka.

— Chcę moje kakao! — krzyczała przeraźliwie. — Chcę moje kakao! Gdzie jest siostra Jane? Chcę moje kakao!

Z sąsiednich drzwi wyjrzała kobieta w pielęgniarskim fartuchu.

— No, no, kochaneczko, przecież wszystko w porządku! Dostałaś swoje kakao już dwadzieścia minut temu.

— Nie, siostrze, to nieprawda. Nie dostałam mojego kakao. Pić mi się chce!

— Dobrze, dostaniesz drugą filiżankę, skoro tak sobie życzysz.

— Nie mogę dostać drugiej, bo nie dostałam pierwszej.

Poszli dalej, aż do końca korytarza. Panna Packard zapukała krótko do drzwi i pierwsza wkroczyła do środka.

— Proszę bardzo, panno Fanshawe — oznajmiła pogodnie. — Przyjechał pani siostrzeniec, czyż to nie miło?

W łóżku przy oknie starsza pani podniosła się gwałtownie i oparła o poduszki. Miała stalowoszare włosy, pociągłą, pomarszczoną twarz z dużym garbatym nosem oraz minę świadczącą o głębokiej dezaprobachie. Tommy postąpił parę kroków bliżej.

— Witaj, ciociu Ado! Jak się miewasz?

Ciotka Ada nawet na niego nie spojrzała, natomiast zwróciła się ze złością do panny Packard:

— Nie rozumiem, jakim prawem wpuszcza pani mężczyznę do damskiej sypialni. Za czasów mojej młodości uważano to za skrajną nieprzyzwoitość! I jeszcze powiada pani, że to mój siostrzeniec! Kto to jest? Hydraulik, elektryk?

— No, no, to niezbyt grzecznie — próbowała ją ułagodzić panna Packard.

— Jestem twoim siostrzeńcem, Tomaszem Beresfordem — rzekł Tommy, wyciągając bombonierkę. — Przywieźliśmy ci czekoladki.

— Próbujecie mnie oszukać, znam takich jak wy! Pleciecie byle co i tyle. A ta? Co to za jedna? — spytała, łypiąc podejrzliwie na panią Beresford.

— Jestem Prudence, żona Tommy'ego.

— Co za śmieszne imię! W sam raz dla służącej. Mój wuj Mathew miał dwie pokojówki, jedna miała na imię Comfort, a druga Rejoice-in-the-Lord* Metodystka, oczywiście. Ale ciotka Fanny szybko zrobiła z tym koniec. Powiedziała dziewczynie, że zamierza nazywać ją Rebeką, przynajmniej póki ta u niej pracuje.

— Przywiozłam ci kilka róż.

— Nie uznaję kwiatów w pokoju chorych. Zabierają cały tlen.

— Wstawię je do wazonu — zaproponowała panna Packard.

— Absolutnie sobie nie życzę! Jeszcze się pani nie nauczyła, że wiem, co mówię?

— Wydajesz się w dobrej formie, ciociu Ado — wtrącił pojednawczo Tommy. — Jesteś taka... powiedziałbym: wojownicza...

— Niech ci będzie. Dlaczego twierdzisz, że jesteś moim siostrzeńcem? Jak niby ci na imię? Tomasz?

— Tak, Tomasz. Tommy.

— Nigdy o tobie nie słyszałam. Miałam tylko jednego siostrzeńca, Williama. Zginął podczas ostatniej wojny. Też zresztą niezłe ziółko; gdyby żył, pewnie zszedłby na złą drogę. Jestem zmęczona... — Opadła na poduszki i spojrzała na pannę Packard. — Proszę ich stąd zabrać. Nie powinna pani wprowadzać tu obcych ludzi.

*Prudence znaczy Roztropność; Comfort — tu Pocięcha; Rejoice-in-the-Lord — Radość-w-Panu; wszystkie przypisy tłumaczki.

— Myślałam, że rozweseli panią taka miła wizytka — odparła nie zrażona panna Packard.

Ciotka Ada bez skrępowania wydała z siebie basowy odgłos.

— No dobrze — powiedziała pogodnie Tuppence. — Już sobie idziemy. Zostawiam róże, może zmienisz zdanie. Chodź, Tommy.

I ruszyła do drzwi.

— Cóż, do widzenia, ciociu Ado. Przykro mi, że mnie nie pamiętasz.

Ciotka zaczęła, aż panna Packard i Tuppence znikną za drzwiami, i dobitnym głosem przywołała Tommy'ego:

— Wracaj tu, doskonale cię pamiętam. Jesteś Tomasz i kiedyś miałeś rude włosy. W kolorze marchwi. Chcę z tobą pomówić, ale nie przy tej kobiecie. Nieładnie udawać, że jest twoją żoną. Już ja swoje wiem. Nie powinieneś przyprowadzać ładacznic. Siadaj tu, na tym krześle i opowiedz mi o twojej drogiej matce. — I w charakterze postscriptum machnęła ręką na Tuppence, która zatrzymała się w progu. — Wynoś się stąd!

Pani Beresford natychmiast usłuchała.

— Znów ten fatalny humor — zauważyła bez mrugnięcia okiem panna Packard, kiedy schodziły na dół. — Wie pani, czasem potrafi być całkiem miła. Aż trudno uwierzyć.

Tommy usiadł na wskazanym krześle i łagodnie wyjaśnił, że niewiele może powiedzieć o swej matce, gdyż ta nie żyje od prawie czterdziestu lat. Na ciotce Adzie nie zrobiło to jednak wrażenia.

— Ciekawe, aż tak dawno? Cóż, czas rzeczywiście szybko płynie. — Spojrzała na niego z zastanowieniem. — Czemu się nie ożenisz? Weź jakąś miłą kobietę, która potrafi o ciebie zadbać. Ty też się starzejesz. Nie będziesz musiał uganiać się za ładacznicami. Pomyśleć, że przywozisz taką do mnie i przedstawiasz jako swoją żonę!

— Na drugi raz każę Tuppence przywieźć metrykę ślubu.

— Więc zrobiłeś z niej uczciwą kobietę? Naprawdę?

— Jesteśmy małżeństwem od ponad trzydziestu lat. Mamy syna i córkę, oni także założyli już rodziny.

— Szkoda tylko — ciotka Ada zręcznie zmieniła front — że nikt mi nic nie mówi. Gdybyście informowali mnie o wszystkim na bieżąco...

Tommy nie podjął dyskusji. Tuppence raz na zawsze mu przykazała: „Jeśli ktoś po sześćdziesiątce robi ci jakieś zarzuty, nigdy się nie wyklócaj. Nie próbuj przekonywać, tylko od razu przeproś, powiedz, że to wszystko twoja wina, że jest ci bardzo przykro i że to się już nigdy nie powtórzy”.

W tym momencie uświadomił sobie, że to byłby świetny sposób postępowania z ciotką Adą. I rzeczywiście.

— Przykro mi, ciociu Ado. Człowiek z wiekiem ma skłonność do zapominania

o pewnych sprawach. Nie każdy — ciągnął bezwstydnie — ma tak znakomitą pamięć jak ty.

Ciotka Ada uśmiechnęła się głupio (nie ma na to innego słowa).

— Masz jednak coś pod tą czaszką. Przykro mi, że potraktowałam cię tak szorstko, ale nie lubię, gdy mi się coś narzuca. W tym miejscu nigdy nic nie wiadomo, wpuszczają każdego, kto chce się z tobą zobaczyć. Dosłownie każdego. Gdybym wierzyła byle komu w to, kim niby jest, gotowi mnie obrabować i zamordować we własnym łóżku.

— Och, to chyba mało prawdopodobne!

— Nigdy nic nie wiadomo — powtórzyła staruszka. — Czyta się w gazetach o różnych wypadkach, ludzie też czasem opowiadają to i owo. Nie, żebym we wszystko wierzyła, ale mam oczy otwarte. Wiesz, któregoś dnia przyprowadzili tu zupełnie obcego człowieka — w życiu go nie widziałam. Przedstawił się jako doktor Williams. Podobno doktor Murray wyjechał na wakacje i to miał być jego nowy wspólnik. Nowy wspólnik! Skąd mam wiedzieć, czy to prawda? Bo sam tak o sobie mówi?

— A był nim rzeczywiście?

— Cóż, ściśle rzecz biorąc, był — przyznała niechętnie. — Ale nikt tego nie wie na pewno. Owszem, zajechał samochodem, miał z sobą czarne pudełko do badania ciśnienia i inne rzeczy. Była kiedyś taka magiczna szkatułka... Joanny Southcott*, zdaje się, tak? Tyle się o niej mówiło swego czasu...

— Ale to całkiem co innego, chyba jakieś prorocstwo.

— No tak. Cóż, mnie chodzi tylko o to, że do tego zakładu może wejść dosłownie każdy. Przedstawia się taki jako lekarz i zaraz wszystkie pielęgniarki zaczynają rozpląwać się w uśmiechach, powtarzają „Tak, panie doktorze”, „Oczywiście, panie doktorze”, niemal stają na baczność, kretyнки jedne. A jeśli pacjentka przysięga, że w życiu go nie widziała, to jej wmawiają kłopoty z pamięcią. Tymczasem ja nigdy nie zapominam twarzy — oświadczyła z mocą ciotka Ada. — NIGDY. Jak się miewa twoja ciotka Caroline? Od pewnego czasu nie mam o niej wiadomości. Widziałeś ją ostatnio?

Tommy z przepraszającym uśmiechem wyjaśnił, że ciotka Caroline nie żyje od piętnastu lat. Staruszka nie zdradzała jednak objawów żalu; w końcu nie chodziło o jej rodzoną siostrę, lecz zaledwie cioteczną.

— Wszyscy umierają — rzekła nie bez pewnej satysfakcji. — Nie mają sił witalnych, ot i cały problem. Słabe serce, zakrzepy, wysokie ciśnienie, chroniczny bronchit, reumatyzm i tak dalej. Słabeusze! Właśnie na takich żerują lekarze. Faszują ich całymi butlami różnych mikstur i tabletek: pigułki żółte, pigułki różowe, zielone, nawet czarne, nie dziwiłabym się, gdyby... Uff! Za czasów mojej babki używało się siarki i melasy, za-

*Joanna Southcott (1750-1814) — fanatyczka religijna z hrabstwa Devon; zostawiła po sobie szkatułkę, która miała zawierać wskazówki, jak osiągnąć szczęście

łożę się, że z takim samym skutkiem. Kiedy się miało do wyboru wyzdrowieć albo po-
łknąć takie świństwo, zawsze wybierało się to pierwsze. — Pokiwała z satysfakcją gło-
wą. — Lekarzom nie można ufać, prawda? Przynajmniej nie w sprawach zawodowych.
Wciąż jakieś nowe dziwactwa... Mówiono mi, że tu jest dużo przypadków otrucia. Po-
noć zdobywają w ten sposób serca dla chirurgów. Osobiście nie bardzo w to wierzę,
panna Packard nie wygląda na taką, która by do tego dopuściła.

Na dole panna Packard, nieco zafrasowana, wskazała Tuppence pokój obok hallu.

— Tak mi przykro, pani Beresford, ale chyba pani wie, jak to jest ze starszymi ludź-
mi. Mają swoje sympatie i antypatie, i z uporem przy nich trwają.

— Musi być bardzo trudno prowadzić taki zakład.

— Ach, nie, robię to z przyjemnością. I naprawdę bardzo je wszystkie lubię. Wie pani,
człowiek przywiązuje się do osób, którymi się opiekuje. Oczywiście nie obywa się bez
drobnych problemów, ale na ogół dają sobą pokierować.

Tuppence nie miała wątpliwości, że panna Packard to potrafi.

— W gruncie rzeczy one są jak dzieci — ciągnęła tamta pobłażliwym tonem. — Tyle
że maluchy są znacznie bardziej logiczne, czasem nawet sprawiają tym kłopoty. Nato-
miast starsze osoby nie kierują się logiką, wolą, żeby im powtarzać to, w co chciałyby
wierzyć. I byle co je cieszy. Mam tu bardzo miły personel. To ludzie cierpliwi, pogod-
ni, niezbyt inteligentni, bo ci myślący zbyt prędko się denerwują. Tak, panno Donovan,
o co chodzi? — Odwróciła się do młodej kobiety w *pince-nez*, która zbiegała ze scho-
dów.

— To znowu pani Lockett. Mówi, że umiera i chce natychmiast lekarza.

— Aha. Na co umiera tym razem?

— Powiada, że we wczorajszym gulaszu były grzyby i że się nimi zatręła.

— To coś nowego. Lepiej pójdę z nią porozmawiać. Tak mi przykro, pani Beresford.
W tamtym pokoju znajdzie pani jakieś magazyny.

— Ależ dam sobie radę — zapewniła ją Tuppence.

Weszła do wskazanego pokoju — bardzo przyjemnego, z wyjściem do ogrodu i wy-
godnymi fotelami. Na stolikach stały wazony z kwiatami, a na ściennym regale książki:
współczesne powieści, podręcznicze oraz tak zwani „starzy ulubieńcy”, do których wiele
tutejszych mieszkanek na pewno chętnie wracało. Na niskim stoliku leżały magazyny.

W tej chwili przebywała tam tylko jedna osoba — starsza pani o siwych, zaczesanych
do tyłu włosach siedziała w fotelu i przyglądała się trzymanej w ręku szklance mleka.

— Dzień dobry — powiedziała do Tuppence z życzliwym uśmiechem na ładnej, ró-
żowej twarzy. — Przyjechała pani na stałe czy w odwiedziny?

— W odwiedziny. Mamy tu ciotkę, teraz jest u niej mój mąż. Uznaliśmy, że dwie oso-
by naraz to trochę za dużo.

— Bardzo to rozsądnie z waszej strony. — Starsza pani łyknęła mleka, jakby chcia-

ła wyrazić w ten sposób swoje uznanie. — Zastanawiam się, czy... nie, chyba wszystko w porządku. Może i pani ma na coś ochotę? Kawy albo herbaty? Pozwoli pani, że zadzwonię. Oni tu są bardzo usłużni.

— Nie, dziękuję, naprawdę...

— A może szklankę mleka? Dziś nie jest zatrute.

— Nie, nie. Zresztą niedługo wyjeżdżamy.

— No cóż, skoro jest pani pewna... ale naprawdę to żaden kłopot. Tu nic nie sprawia kłopotu, chyba że prosi się o coś zupełnie niemożliwego.

— Śmiem twierdzić, że nasza ciotka prosi czasem o niemożliwe rzeczy — odparła Tuppence i po chwili dodała: — To panna Fanshawe.

— Ach, panna Fanshawe! No tak.

Staruszka z jakiegoś powodu nabrała powściągliwości, ale Tuppence ciągnęła zżywieniem:

— Chyba jest dość porywcza. Zawsze taka była.

— Och, no rzeczywiście. Sama miałam ciotkę bardzo do niej podobną, zwłaszcza kiedy się zestarzała. Ale pannę Fanshawe wszyscy tutaj lubimy. Jeśli zechce, potrafi być bardzo, bardzo zabawna.

— O, nie wątpię. — Tuppence na chwilę ujrzała ciotkę Adę w zupełnie innym świetle.

— Ma taki cięty język. Przy okazji: nazywam się Lancaster.

— A ja Beresford.

— Niestety, człowieka czasem bawi odrobina złośliwości. Ona tak potrafi opisać niektórych gości... Opowiada o nich takie rzeczy, że boki zrywać. Niby nie powinno nas to śmieszyć, ale tak właśnie jest.

— Od dawna pani tu mieszka?

— O, już szmat czasu. Zaraz, zaraz... siedem... nie, osiem lat. Albo i więcej. Tak, na pewno więcej. — Westchnęła. — Człowiek traci kontakt z różnymi rzeczami. I z ludźmi. Wszyscy krewni, jacy mi pozostali, mieszkają za granicą.

— To musi być smutne.

— Nie, właściwie nie jest. Nie przepadałam za nimi specjalnie. W gruncie rzeczy nawet ich dobrze nie znałam. Byłam chora, i to bardzo poważnie, a ponieważ zostałam sama na świecie, uznali, że najlepiej mi będzie w zakładzie. Myślę, że miałam dużo szczęścia. Wszyscy są tu tacy mili i taktowni. I jakie piękne ogrody! Dobrze wiem, że nie powinnam mieszkać sama, bo czasem naprawdę tracę orientację. — Popukała się w czoło. — Wszystko mi się płacze, nie zawsze pamiętam, co naprawdę się zdarzyło.

— Bardzo mi przykro. Wie pani, każdemu coś tam dokucza.

— Niektóre choroby są bardzo bolesne. Mieliśmy takie dwie biedaczki z okropnym reumatyzmem. Strasznie cierpiały. Dlatego pomyślałam sobie, że jeśli nawet nie zawsze

się pamięta, co, kiedy i gdzie, nie trzeba przywiązywać do tego zbyt wielkiej wagi. Ważne, że nic człowieka nie boli.

— Tak, chyba ma pani rację.

Otworzyły się drzwi; dziewczyna w białym kombinezonie wniosła tacę z dzbankiem kawy i dwoma biszkoptami na talerzyku. Ustawiła to wszystko koło Tuppence.

— Panna Packard pomyślała, że może zechce pani wypić filiżankę kawy.

— O, dziękuję.

Dziewczyna wyszła.

— Widzi pani? Zawsze o wszystkim myślą, prawda? — powiedziała pani Lancaster.

Tuppence nalała kawę i zaczęła pić. Przez chwilę obie panie siedziały w milczeniu. Tuppence zaproponowała swej towarzyszkę biszkopta, ale staruszka potrząsnęła głową.

— Nie, dziękuję, kochaneczko. Wolę samo mleko.

Odstawiła pustą szklankę i opadła na oparcie z półprzymkniętymi oczami. Tuppence pomyślała, że może o tej porze jej towarzyszka zwykła ucinać sobie drzemkę, i już się nie odzywała. Ale nagle pani Lancaster drgnęła i otworzyła oczy.

— Widzę, że wpatruje się pani w kominek — zauważyła.

— Naprawdę? — spłoszyła się lekko Tuppence.

— Tak. Zastanawiam się, czy... — Pani Lancaster pochyliła się do przodu i ściszyła głos. — Przepraszam, czy to biedne dziecko było pani?

Kompletnie zaskoczona Tuppence nie wiedziała, co jej odpowiedzieć.

— Ja... Nie, nie przypuszczam — wyjąkała.

— Tak się tylko zastanawiam. Myślałam, że przyjechała pani z tego powodu. Ktoś powinien tu czasem przyjechać. I może przyjedzie. Tak pani patrzyła w ten kominek... Bo wie pani, ono tam właśnie jest. Za kominkiem.

— Ach, tak?

— Zawsze ta sama godzina — ciągnęła ściszone głosem pani Lancaster. — Ta sama pora dnia. — Zerknęła na zegar nad kominkiem (Tuppence także). — Dziesięć po jedenastej. Dziesięć po jedenastej. Zawsze o tej godzinie. — Westchnęła. — Ludzie niczego nie rozumieją. Mówiłam im, co wiem, ale mi nie wierzą!

W tym momencie do pokoju wszedł Tommy. Tuppence odetchnęła z ulgą i wstała.

— Tu jestem. Możemy jechać. — Ruszyła do drzwi, ale na chwilę jeszcze odwróciła głowę. — Do widzenia, pani Lancaster.

— Jak ci poszło? — spytała męża już w hallu.

— Po twoim wyjściu jak po maśle.

— Chyba źle na nią działałam, co? Ale na swój sposób podniosła mnie na duchu.

— Jak to?

— Cóż, w moim wieku i przy mojej szacownej, lecz nudnej aparycji miło słyszeć, że ktoś mnie bierze za kobietę upadłą o fatalnym uroku seksualnym.

— Idiotka — stwierdził Tommy, szczypiąc ją czule w ramię. — Z kim tu sobie gwarzyłaś? Wyglądała na całkiem miłą staruszkę.

— I taka właśnie jest, tylko niestety stuknięta.

— Stuknięta?

— Tak. Wydaje się jej, że za kominkiem leży martwe dziecko czy coś w tym rodzaju. Zapytała, czy to moje.

— To przykre. Przypuszczam, że przyjmują tu lekko stuknięte osoby na równi z normalnymi, którym dokuczają jedynie podeszły wiek. A jednak wyglądała milutko.

— Ach, bo naprawdę jest urocza. Ciekawe, na czym polegają jej fantazje i skąd się wzięły.

Jakby spod ziemi wyrosła przed nimi panna Packard.

— Do widzenia, pani Beresford. Mam nadzieję, że przyniesiono pani kawę?

— O tak, bardzo dziękuję.

— No cóż, bardzo to uprzejmie z pani strony, że zechciała pani przyjechać. — I odwracając się do Tommy'ego, dodała: — Wiem, że panna Fanshawe ucieszyła się z pańskiej wizyty. Przykro mi, że tak szorstko potraktowała pańską żonę.

— Myślę, że zrobiła to z przyjemnością — rzekła Tuppence.

— Tak, ma pani rację. Ona naprawdę lubi obrażać ludzi. I niestety jest w tym dobra.

— Dlatego ćwiczy się w tej sztuce, ilekroć ma okazję — zauważył Tommy.

— Państwo są doprawdy niezwykle wyrozumiali.

— Rozmawiałam tu z jedną panią, chyba nazywa się Lancaster — zagadnęła Tuppence.

— Ach, tak, pani Lancaster. Bardzo ją tu lubimy.

— Ona jest trochę... dziwna, prawda?

— Owszem, ma swoje fantazje — odparła pobłaźliwie panna Packard. — Mieszka tu parę takich osób. Są zupełnie nieszkodliwe, no, ale jednak... Wierzą w różne rzeczy, które niby to przytrafiły się im, czy też ich znajomym. Staramy się nie zwracać na to uwagi, ale i nie zachęcamy do zwierzeń, po prostu bagatelizujemy sprawę. Tak naprawdę to jest ćwiczenie wyobraźni, staruszki snują wizje świata, w którym chciałyby żyć. Czasem marzy im się coś ekscytującego albo smutnego i tragicznego, zresztą to bez znaczenia. Ale, dzięki Bogu, nikt tu nie ma manii prześladowczej, nie, ten numer by nie przeszedł.

— No, to by było wszystko — westchnął Tommy, wsiadając do samochodu. — Przez co najmniej pół roku nie musimy jej odwiedzać.

Ale dalsze wizyty w ogóle okazały się zbyteczne, gdyż trzy tygodnie później ciotka Ada umarła we śnie.

Rozdział III

Pogrzeb

— Pogrzeby są takie smutne, prawda? — zauważyła Tuppence.

Dopiero co wrócili z pogrzebu ciotki Ady. Uroczystość ciągnęła się w nieskończoność, do tego doszła kłopotliwa podróż pociągiem, gdyż pochówek miał miejsce na wiejskim cmentarzyku w Lincolnshire, gdzie spoczywała już większość rodziny i antenatów ciotki.

— A czego się spodziewałaś? — zdziwił się Tommy. — Wybuchów żywiołowej wesołości?

— Cóż, w niektórych stronach tak bywa. Mam na myśli irlandzki zwyczaj czuwania przy zwłokach. Najpierw jest mnóstwo lamentacji i płaczu, a potem odbywa się zbiorowe pijaństwo. Może by tak drinka? — spytała, zerkając w stronę kredensu.

Tommy posłusznie wyjął to, co uznał za stosowne na tę okoliczność, czyli białą damę.

— Ach, znakomicie — ucieszyła się Tuppence.

Zdjęła czarny kapelusz i cisnęła nim przez pokój, potem uwolniła się z czarnego płaszcza.

— Nie cierpię tych żałobnych ubrań. Zawsze śmierdzą naftaliną, bo leżą gdzieś na strychu.

— Nie musisz nosić żałoby, wystarczy, że miałaś ją na pogrzebie.

— Tak, wiem. Za chwilę pójdę na górę i na pociechę włożę coś czerwonego. Możesz mi nalać jeszcze jedną białą damę.

— Doprawdy, Tuppence, nie wiedziałem, że pogrzeb może cię wprawić w taki rozrywkowy nastrój.

— Powiedziałam, że pogrzeby są smutne — powtórzyła po paru minutach, już w wiśniowej sukni z brylantowo-rubinową jaszczurką na ramieniu — ale chodziło mi tylko o takie jak ten dzisiejszy. Pogrzeby samotnych staruszków, których nikt nie żałuje. Sami

starsi ludzie, mało kwiatów, prawie nikt nie płacze i nie pociąga nosem.

— Mógłbym pomyśleć, że łatwiej zniosłabyś mój.

— I tu się grubo mylisz. Twojego pogrzebu w ogóle nie biorę pod uwagę, a to dlatego, że znacznie bardziej wolę umrzeć pierwsza. Ale jeśli już przyjdzie mi w nim uczestniczyć, to zapewniam cię, że będzie to po prostu orgia żalu. Zabrałabym mnóstwo chusteczek...

— Z czarnymi obwódkami?

— Cóż, to akurat nie wpadło mi do głowy, ale to miły pomysł. Poza tym sama uroczystość jest śliczna, podnosi człowieka na duchu. Prawdziwy żal jest... prawdziwy. Czujesz się okropnie, ale coś ci to daje. Rozumiesz, jakbyś się dobrze wypocił.

— Doprawdy, Tuppence, te uwagi na temat mojego zgonu są w najgorszym guście. Lepiej zapomnijmy o pogrzebach.

— Zgoda. Zapomnijmy.

— Biedactwo odeszło tak cicho, bez cierpień, więc dajmy już temu spokój. Lepiej zabiorę się do porządkowania tego wszystkiego. — Tommy przerzucał jakieś papiery na stoliku. — No i gdzie ja posiałem list pana Rockbury'ego?

— A kto to taki? Ach, to ten prawnik, który do ciebie pisał!

— Tak. Na temat zlikwidowania jej spraw. Zdaje się, że jestem ostatnim żyjącym krewnym.

— Szkoda, że ci nie zostawiła fortuny.

— Gdyby ją miała, zapisałaby ją pewnie Kociemu Domowi. Legat, który przeznaczyła na ten cel, pochłonie całą pozostałą gotówkę. Ja dostanę niewiele, ale przecież niczego mi nie potrzeba.

— Tak bardzo lubiła koty?

— Nie wiem, tak przypuszczam. Nigdy o nich nie wspominała. Wydaje mi się — mówił z namysłem Tommy — że wiele radości czerpała z wmawiania starym przyjaciółkom, które ją odwiedzały: „Zapisałam ci coś w testamencie, moja droga” albo: „Tę broszkę, co tak bardzo ci się podoba, zapiszę ci w testamencie”. A naprawdę nie zostawiła niczego nikomu, z wyjątkiem owego schroniska dla kotów.

— Założę się, że miała z tego dziką frajdę. Już widzę, jak opowiada to wszystko swoim tak zwanym „starym przyjaciółkom”. Tak zwanym — bo nie sądzę, żeby jej na nich naprawdę zależało. Po prostu lubiła je podpuszczać. Stara diablica z niej była, przyznaj, Tommy. Śmieszne, bo właśnie za to się ją lubiło. Kiedy stary, zamknięty w zakładzie człowiek potrafi wykrzesać z życia iskrę radości, to już jest coś. Czy musimy jechać do Słonecznych Wzgórz?

— Gdzie ten drugi list? Ten od panny Packard. O, jest, złożyłem go razem z listem Rockbury'ego. No tak, pisze, że zostało trochę rzeczy, które teraz wyraźnie są moją własnością. Ciotka, sprowadzając się tam, zabrała kilka własnych mebli. I oczywiście oso-

biste drobiazgi — ubrania i tak dalej. Trzeba będzie to przejrzeć. Są też listy. Jestem wykonawcą testamentu, więc przypuszczam, że mam wolną rękę. Nie sądzę, żebyśmy czegoś naprawdę potrzebowali. Może z wyjątkiem pewnego biureczka, które zawsze lubiłem. Należało, zdaje się, do wuja Williama.

— Dobrze, weź je na pamiątkę — zgodziła się Tuppence. — Inne rzeczy możemy wysłać na jakąś aukcję.

— Więc widzisz, że naprawdę nie masz po co tam jechać.

— Och, ale chciałabym!

— Chciałabyś? Po co? Czy cię to zbytnio nie znuży?

— Co? Przeglądanie jej rzeczy? Na pewno nie, wciąż zachowałam pewną dozę ciekawości. Stare listy i antyczna biżuteria zawsze mnie interesowały, poza tym uważam, że trzeba obejrzeć wszystko samemu, a nie po prostu wysłać na aukcje i pozwalać grzebać w tym obcym ludziom. Pojedziemy razem i zobaczymy, co warto zatrzymać. Potem zdecydujemy, co dalej.

— Ale tak naprawdę dlaczego chcesz jechać? Masz jakiś inny powód, prawda?

— O Boże! To straszne być żoną człowieka, który za dużo o mnie wie!

— Więc jednak jest inny powód?

— Właściwie nie.

— Daj spokój, Tuppence! Wcale nie lubisz grzebać w cudzych rzeczach.

— To, jak sądzę, jest mój obowiązek — oświadczyła stanowczo Tuppence. — Nie, jedyny inny powód to...

— No dalej, wykrztuś to wreszcie!

— Chyba chciałabym znów zobaczyć tę drugą staruszkę.

— Tę, co myślała, że za kominkiem jest martwe dziecko?

— Tę samą. Chcę z nią jeszcze raz porozmawiać. Może zrozumiem, co dzieje się w jej umyśle, kiedy opowiada takie rzeczy. Czy coś zapamiętała, czy raczej to czysta imaginacja? Im bardziej o tym myślę, tym bardziej niezwykle mi się to wydaje. Czy „zapisała” sobie to wszystko w umyśle, czy też kiedyś rzeczywiście wydarzyło się coś związanego z kominkiem i martwym dzieckiem? Dlaczego pomyślała, że ono mogło być moje? Czy ja wyglądam na matkę martwego dziecka?

— Nie wiem, jak twoim zdaniem powinna wyglądać matka martwego dziecka. Raczej nie zastanawiałbym się nad tym. W każdym razie, Tuppence, naszym obowiązkiem jest jechać. Przy okazji nacieszysz się swoimi makabreskami. A więc postanowione: napiszemy do panny Packard i ustalimy termin.

Rozdział IV

Obrazek z domem

Tuppence wciągnęła głęboko powietrze.

— Wszystko po staremu — zauważyła.

Stali z Tommym przed wejściem do Słonecznych Wzgórz.

— A czemu miałoby nie być? — zdziwił się Tommy.

— Nie wiem. Po prostu odnoszę wrażenie... to ma coś wspólnego z czasem. Czas w różnych miejscach płynie inaczej. Wracasz gdzieś i czujesz, że czas pędził tam naprzód w przerażającym tempie, że wydarzyło się mnóstwo rzeczy, nastąpiły zmiany. Ale tutaj... Tommy, pamiętasz Ostendę?

— Ostendę? Spędzaliśmy tam miodowy miesiąc. Oczywiście, że pamiętam.

— A tę tabliczkę z napisem TRAMSTILLSTAND*? Śmialiśmy się z niej, wydawała się taka zabawna...

— To chyba było Knocke, nie Ostenda.

— Wszystko jedno, ważne, że pamiętasz. Wiesz, to jak z tym słowem *Tramstillstand* taka zbitka. *Timestillstand* — czas stoi w miejscu, nic się nie dzieje. Wszystko po staremu. To tak jak z duchami, tylko na opak.

— Nic z tego nie rozumiem. Czy zamierzasz stać przed tymi drzwiami cały dzień, rozprawiać o czasie i nawet nie zadzwonić? Zresztą, nie ma już ciotki Ady, więc jednak jest inaczej. — Nacisnął dzwonek.

— Ale to jedyna zmiana. Moja staruszka będzie piła mleko jak dawniej i opowiadała o kominkach. Pani Taka-a-taka połknie naparstek albo łyżeczkę, śmieszna mała kobietka wybiegnie z pokoju, piszcząc, że chce swoje kakao, panna Packard zejdzie ze schodów i...

Drzwi się otworzyły. Młoda kobieta w nylonowym kombinezonie spytała:

— Państwo Beresford? Panna Packard czeka na państwa.

*Tramwajwciążstoi

Już miała ich wprowadzić do tego samego saloniku, co przedtem, gdy na schodach ukazała się panna Packard. Przywitała się z gośćmi, ale nie tryskała już taką energią jak zwykle. Miała minę poważną, może nieco smutną — ale nie przesadnie, to mogłoby być krępujące. Była ekspertem w dozowaniu kondolencji; wymierzała dokładnie tyle słów współczucia, ile trzeba.

Siedemdziesiąt lat to przyjęta w Biblii rozpiętość życia. Mało kto nie dożywa tego wieku w tutejszym zakładzie. Śmierć jest tu czymś oczekiwanym i po prostu się zdarza.

— Dobrze, że państwo przyjechali. Wszystko starannie ułożyłam, żeby mogli państwo przejrzeć. Cieszę się, że nie zwlekali państwo, bo prawdę rzekłszy, mam już kilka kandydatek na jej miejsce. Chyba państwo nie pomyślą, że ich poganiam, ale...

— Ależ nie, doskonale to rozumiemy — zapewnił ją Tommy.

— Rzeczy są nadal w jej pokoju.

Panna Packard otworzyła drzwi do pokoju, w którym po raz ostatni odwiedzili ciotkę Adę. Miał teraz wygląd opuszczonego wnętrza z łóżkiem zakrytym pokrowcem, przez który widać było złożone koce i poduszki.

Drzwi do garderoby stały otworem, a wszystkie ubrania leżały na łóżku, porządnie poskładane.

— Co pani zwykle robi... to znaczy, co krewni zwykle robią z ubraniami i drobiazgami po zmarłych? — spytała Tuppence.

Panna Packard, jak zwykle, okazała się kompetentna i pomocna.

— Mogę pani podać nazwy kilku towarzystw, które tylko czekają na takie dary. Panna Fanshawe miała całkiem porządną futrzaną etolę, ale nie sądzę, by chciała ją pani na własny użytek. A może pani sama zna jakąś organizację charytatywną?

Tuppence pokręciła przecząco głową.

— Jest też trochę biżuterii — ciągnęła panna Packard. — Trzymałam ją w bezpiecznym miejscu, ale tuż przed państwa przyjazdem przełożyłam wszystko do prawej szufladki toaletki.

— Bardzo jesteśmy wdzięczni za tyle troski — rzekł Tommy.

Tuppence patrzyła na wiszący nad kominkiem obrazek — małe olejne malowidło, przedstawiające bladuróżowy dom nad kanałem, którego brzegi spinał łukowaty mostek. W dole kołysała się pusta łódź, na dalszym planie widać było dwie topole. Był to naprawdę uroczy pejzaż, ale Tommy nie rozumiał, skąd u Tuppence to nagłe zainteresowanie.

— Zabawne... — mruknęła w pewnej chwili do siebie.

Tommy obrzucił ją badawczym spojrzeniem. Z długoletniego doświadczenia wiedział, że to, co żona określa jako zabawne, niezupełnie odpowiada temu przymiotnikowi.

— Co masz na myśli, Tuppence?

— To śmieszne. Poprzednim razem nie widziałam tego obrazka, a jednak jestem pewna, że dom skądś znam. Może zresztą tylko przypomina mi taki, który zapamiętałam. Śmieszne, że nie mogę sobie przypomnieć, kiedy i gdzie go widziałam.

— Pewnie jednak tutaj, tylko niezupełnie świadomie — zasugerował Tommy, czując, że wyraził się dość niezręcznie, podobnie jak przed chwilą Tuppence.

— A ty go zauważyłeś?

— Nie, ale specjalnie się nie rozglądałem.

— Ach, obrazek! — wtrąciła się panna Packard. — Nie, nie mogli go państwo widzieć, bo nie wisiał tu podczas państwa ostatniej wizyty. Należał do innej naszej pensjonariuszki, i to ona uparła się, by dać go pannie Fanshawe, gdyż słyszała, jak ciotka państwa się nim zachwyca.

— No, skoro tak, to rzeczywiście nie mogłam go widzieć — przyznała Tuppence.

— Ale dom nadal wydaje mi się znajomy. A tobie nie, Tommy?

— Nie.

— Cóż, zostawię państwa teraz — rzekła panna Packard. — Ale gdyby państwo czegoś potrzebowali, wystarczy mnie poprosić.

I wyszła z pokoju.

— Chyba nie podobają mi się jej zęby — mruknęła Tuppence.

— Czy coś z nimi nie w porządku?

— Ma ich jakby za dużo. I są takie wielkie... „Żebyś cię mogła łatwiej zjeść”. Jak fałszywa babcia Czerwonego Kapturka.

— Jesteś dziś w bardzo dziwnym nastroju, moja Tuppence.

— Też mi się tak zdaje. Zawsze uważałam pannę Packard za sympatyczną, ale dziś wydała mi się jakby złowroga. Miałaś kiedyś takie wrażenie?

— Nie, nie miałem. Daj spokój, lepiej bierzmy się do roboty. Mówiąc językiem prawniczym, musimy przejrzeć „ruchomości” ciotki Ady. Oto biurko, o którym ci wspominałem... biurko wuja Williama. Podoba ci się?

— Jest śliczne, to chyba regencja. Miło, że pozwalają tym starszkom na parę własnych mebli. Krzesła z końskiego włosia mnie nie interesują, ale wzięłabym jeszcze stół do robótek. W sam raz przyda się do kąta przy oknie, gdzie teraz stoi tamto paskudztwo.

— Dobrze, zaraz sobie zapiszę.

— I jeszcze ten obrazek znad kominka. Świetna robota, poza tym jestem pewna, że jednak widziałam gdzieś ów dom. A teraz biżuteria...

W szufladce toaletki znaleźli garnitur z kameami, florencką bransoletkę i także kolczyki oraz pierścionek z różnokolorowymi kamieniami.

— Widziałam już coś z tych rzeczy. Zwykle pierwsze litery kamieni układają się

w imię. Albo w jakieś słowo, na przykład „najdroższa”. Diament, ametyst, szmaragd... nie, to nie „najdroższa”. Zresztą nie sędzę, żeby tu kryło się coś znaczącego. Jakoś nie umiem sobie wyobrazić, żeby ktoś podarował ciotce Adzie pierścionek z „najdroższą”. Ametyst, szmaragd... problem w tym, że nigdy nie wiadomo, od czego zacząć. Spróbujmy jeszcze raz: szmaragd, koral, opal, ametyst, a w środku diamencik. Och, oczywiście: SZKODA. Jakież to miłe, takie staroświeckie i sentymentalne. — Wsunęła pierścionek na palec. — Myślę, że Debora chciałaby go mieć. I jeszcze ten florencki garnitur. Ona przepada za wiktoriańskimi przedmiotami, jak wiele osób dzisiaj. Teraz ubrania. To zawsze trąci makabrą. O, jest etola. Całkiem wartościowa, ale dla siebie jej nie chcę. Może znajdzie się tu ktoś... jakaś osoba, która była dla niej szczególnie miła, albo jakaś zaprzyjaźniona pensjonariuszka, z przyjemnością bym jej to dała. To prawdziwe sobole... Zapytamy pannę Packard. Reszta może iść na dobroczynność. Więc postanowione, tak? Pójdziemy poszukać panny Packard. — I zwróciwszy oczy na łóżko, dodała: — Zegnaj, ciociu Ado. Cieszę się, że przyjechaliśmy wtedy zobaczyć cię po raz ostatni. Przykro, że mnie nie lubiłaś, ale przynajmniej mogłaś mi trochę podokuczać. Nie mam do ciebie pretensji, musiałaś przecież mieć jakąś rozrywkę. Nie zapomnimy o tobie. Ile razy spojrzymy na biurko wuja Williama, będziemy cię wspominać.

Ruszyli na poszukiwanie panny Packard. Tommy wyjaśnił, że załatwi sprawę transportu biurka i stolika do ich domu oraz nawiąże kontakt z miejscowymi aukcjonerami w sprawie pozbycia się reszty mebli. Wybór towarzystwa, które miałyby dostać ubrania, pozostawia pannie Packard, jeśli nie sprawi jej to kłopotu.

— Może komuś tutaj przyda się etola z soboli? — zapytała Tuppence. — Jest bardzo ładna, chętnie podarujemy ją którejś z zaprzyjaźnionych pań. Albo pielęgniarce, która oddała ciotce szczególne usługi?

— To bardzo uprzejmie z pani strony, chociaż panna Fanshawe nie przyjaźniła się specjalnie z żadną pensjonariuszką. Natomiast wiele dla niej zrobiła panna O’Keefe, jedna z pielęgniarek. Była miła i taktowna, więc może zasłużyła na to wyróżnienie. Na pewno by się cieszyła.

— Jeszcze chciałam zapytać o ten obrazek ze ściany nad kominkiem. Chętnie go zatrzymam, ale może poprzednia właścicielka wolałaby go odzyskać? Chyba powinniśmy ją zapytać o...

Panna Packard jej przerwała.

— Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc. Panna Fanshawe dostała ten obrazek od pani Lancaster, która już tu nie mieszka.

— Nie mieszka? — zdziwiła się Tuppence. — Pani Lancaster? Ta z siwymi, zaczesanymi do tyłu włosami? Piła mleko w saloniku, kiedy tu byłam ostatnio. Powiada pani, że wyjechała?

— Tak. To się stało dość nagle. Jedna z jej krewnych, niejaka pani Johnson, zabrała

ją mniej więcej przed tygodniem. Całkiem nieoczekiwanie wróciła z Afryki, gdzie spędziła ostatnie cztery lata. Ponieważ razem z mężem zamierza osiedlić się w Anglii, postanowiła zapewnić swej ciotce opiekę we własnym domu. Nie sądzę, by pani Lancaster tak naprawdę chciała stąd wyjeżdżać. Była tu zadomowiona, wszyscy ją lubili, czuła się szczęśliwa. Decyzja krewnej zmąciła jej spokój, biedaczka wyjeżdżała cała zapłakana. Ale cóż mogła poradzić? Nie miała nic do gadania, bo oczywiście to pani Johnson płaciła za jej pobyt. Wprawdzie sugerowałam, że skoro mieszka tu już tak długo i tak jej u nas dobrze, to może warto by ją zostawić, ale...

— Jak długo pani Lancaster tu mieszkała?

— O, prawie sześć lat. Tak, będzie coś koło tego. I dlatego właśnie nauczyła się uważać zakład za swój dom.

— Tak, rozumiem. — Tuppence zmarszczyła brwi i zerknęła nerwowo na męża. Potem wysunęła do przodu swój rezolutny podbródek. — Szkoda, że wyjechała. Kiedy z nią rozmawiałam ostatnio, odniosłam wrażenie, że gdzieś już ją spotkałam. A potem przypomniałam sobie, że poznałyśmy się u mojej starej znajomej, pani Blenkinsop. Myślałam, że przy okazji następnej wizyty u ciotki Ady zapytam ją, czy mnie pamięta. No, ale skoro zabrali ją krewni...

— Doskonale panią rozumiem. Jeśli któraś z pensjonariuszek może nawiązać kontakt ze starymi przyjaciółmi albo znajomymi rodziny, to dla niej zawsze duża odmiana. Nie przypominam sobie wprawdzie, by pani Lancaster wspominała nazwisko Blenkinsop, ale raczej nie należało się tego spodziewać.

— Czy może mi pani coś o niej opowiedzieć? Kim są ci krewni i jak to się stało, że tu zamieszkała?

— Nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Jak już wspominałam, sześć lat temu otrzymaliśmy od pani Johnson list, w którym wypytywała o zakład, potem przyjechała tu sama, żeby wszystko obejrzeć. Podobno słyszała o Słonecznych Wzgórzach od przyjaciółki. Chciała zapoznać się z warunkami i tak dalej. Potem wyjechała, a w ciągu dwóch tygodni nadszedł list z kancelarii adwokackiej w Londynie z dalszymi pytaniami. Na koniec napisali, że chcieliby umieścić tu panią Lancaster i że jeśli mamy miejsce, pani Johnson przywiezie ją za tydzień. I tak właśnie się stało. Pani Lancaster wyraźnie spodobał się i sam dom, i zaproponowany pokój. Pani Johnson spytała, czy ciotka może przywieźć kilka własnych mebli, na co chętnie wyraziliśmy zgodę, bo na ogół wszyscy o to proszą, a my wiemy, że pensjonariuszki lepiej się wtedy czują. Tak więc wszystko zostało pomyślnie załatwione. Pani Johnson wyjaśniła, że staruszka nie jest jej ciotką, tylko męża, i to dość daleką, ale martwili się o nią, bo zamierzali wyjechać do Afryki. Chyba chodziło o Nigerię. Jej mąż miał tam objąć posadę, więc zanosilo się, że najbliższe lata spędzą poza krajem, i chcieli się przedtem upewnić, czy ciotka polubi wybrany zakład. Z tego, co słyszeli, nasz dom bardzo by im odpowiadał. I rzeczywiście, pani Lancaster

szybko się u nas zadomowiła.

— Rozumiem.

— Wszyscy bardzo ją polubili. Była trochę... no, trochę niespełna rozumu. To znaczy, zapominała różne rzeczy, czasem coś jej się mieszało w głowie, nie pamiętała nazwisk i adresów.

— Dostawała dużo listów? Może z zagranicy?

— Cóż, państwo Johnson pisali do niej parę razy, ale tylko w pierwszym roku pobytu. Ludzie niestety zapominają, wie pani. Zwłaszcza kiedy wyjadą do nowego kraju, mają nowe życie... Ale oni nigdy nie byli z sobą blisko, to tylko dalekie pokrewieństwo. Po prostu czuli się za nią odpowiedzialni jako rodzina, i tyle. Wszystkie finansowe sprawy załatwiał ich prawnik, pan Eccles, bardzo miły pan z renomowanej kancelarii. Właściwie mieliśmy już z tą firmą do czynienia, więc znaliśmy się nawzajem. Myślę jednak, że większość przyjaciół pani Lancaster już nie żyje, więc mało kto do niej pisał, a prawie nikt nie przyjeżdżał. Raz, może po roku, odwiedził ją bardzo sympatyczny człowiek. Chyba nie znał jej osobiście, ale był przyjacielem pana Johnsona i też przebywał w koloniach. Przypuszczam, że chciał tylko sprawdzić, jak się czuje i czy jest jej tu dobrze.

— A potem wszyscy o niej zapomnieli?

— Niestety tak. To smutne, co? Ale częściej spotykamy się ze zwykłą niż niezwykłą koleją rzeczy. Na szczęście wiele pensjonariuszek zawiera tu nowe przyjaźnie. Znajdują kogoś o podobnych gustach, mają wspólne wspomnienia i wszystko się jakoś układa. Mam wrażenie, że większość z nich zapomina o przeszłości.

— Niektóre są trochę... — Tommy się zająknął i dotknął palcem czoła, ale zaraz opuścił rękę. — Nie chciałem powiedzieć...

— Och, doskonale wiem, co chciał pan powiedzieć. Nie przyjmujemy tu psychicznie chorych, ale zdarzają się przypadki, że tak powiem, z pogranicza. Osoby o pogodnym usposobieniu, które nie potrafią o siebie zadbać i trochę fantazjują. Czasem uważają się za postaci historyczne. To całkiem nieszkodliwe. Mieliśmy już dwie Marie Antoniny, jedna wciąż opowiadała o jakimś „Petit Trianon” i piła dużo mleka, co podobno wiązało się z owym miejscem. A znów pewna poczciwina upierała się, że jest panią Curie i odkryła rad. Czytywała dużo gazet, a szczególnie interesowały ją odkrycia naukowe i wiadomości o bombach atomowych. Potem opowiadała, że to ona z mężem zainicjowała eksperymenty w tej dziedzinie. Takie nieszkodliwe urojenia utrzymują starych ludzi w dobrym nastroju, zresztą przeważnie z czasem mijają. Niecodziennie bywa się Marią Antoniną, czy nawet panią Curie, to się zdarza mniej więcej raz na dwa tygodnie. Potem, jak sądzę, męczy je utrzymywanie się w roli. Ale najbardziej dają się im we znaki zaniki pamięci. Nie wiedzą, kim są, albo w kółko powtarzają, że zapomniały o czymś ważnym i gdyby tylko mogły sobie przypomnieć...

— No tak — zgodziła się Tuppence i z pewnym wahaniem dodała: — A... pani Lan-

caster? Czy zawsze przypomina się jej coś w związku z kominkiem w saloniku? Czy może chodzi o jakikolwiek kominek?

Panna Packard wytrzeszczyła oczy.

— Kominek? Nie bardzo rozumiem, co pani ma na myśli.

— Powiedziała coś, czego nie zrozumiałam. Może miała jakieś nieprzyjemne wspomnienia związane z kominkiem albo czytała jakąś historię, która ją przestraszyła?

— Możliwe.

— Wciąż martwi mnie sprawa tego obrazu, który dała ciotce Adzie.

— Całkiem niepotrzebnie, przypuszczam, że dawno o nim zapomniała. Nie sądzę, by uważała go za specjalnie wartościowy. Po prostu cieszyła się, że pannie Fanshawe tak się podobał i może go jej podarować. Jestem pewna, że teraz tak samo chętnie oddałaby go pani, bo i pani się nim zachwyca. Zresztą to przyjemny obrazek, mnie także się podoba, choć nie bardzo znam się na sztuce.

— Wiem już, co zrobimy. Napiszę do pani Johnson i zapytam, czy mogę go zatrzymać. Tylko prosiłabym o adres.

— Mam tylko adres londyńskiego hotelu, w którym zamierzały się zatrzymać. Cleveland, bodajże. Tak, hotel Cleveland, George Street, W.I. Miały tam zostać przez cztery czy pięć dni, a potem wyjechać do rodziny w Szkocji. Przypuszczam, że w hotelu mają następny adres.

— Dobrze, dziękuję. A co do tej etoli...

— Zaraz przyślę tu pannę O'Keefe — obiecała panna Packard i wyszła.

— Ty i ta twoja pani Blenkinsop... — burknął Tommy.

Tuppence wyglądała na zadowoloną z siebie.

— Jedna z moich najlepszych kreacji! Cieszę się, że znów ją mogłam wykorzystać. Zastanawiałam się nad jakimś nazwiskiem i nagle przyszła mi do głowy pani Blenkinsop. Śmieszne, co?

— To było tak dawno temu... Skończyło się szpiegowanie i kontrwywiad z lat wojny.

— Szkoda. Taka świetna zabawa! Mieszkałam w przyjemnym pensjonacie, wymyśliłam sobie nową osobowość... Naprawdę zaczynałam wierzyć, że jestem panią Blenkinsop*...

— Ciesz się, że wyszłaś z tego cało! Zresztą mówiłem ci już, że moim zdaniem, mocno przesadziłaś.

— Wcale nie. Idealnie weszłam w rolę. Miła, głupawa kobieta, która tak bardzo się trzęsła o swoich trzech synów.

— No właśnie. Jeden by wystarczył, trzech to zbyt ciężkie brzemię.

*Przygody Tuppence w roli pani Blenkinsop zostały opisane w powieści „N czy M”?

— Stali się dla mnie całkowicie realni. Douglas, Andrew i... mój Boże, zapomniałam imię trzeciego. Wiem dokładnie, jak wyglądali, jakie mieli charaktery i gdzie stacjonowali. Opowiadałam różne niedyskrecje z ich listów...

— Tak, ale z tym już koniec. Tu nie ma nic do wykrycia, więc lepiej zapomnij o pani Blenkinsop. Po mojej śmierci, kiedy mnie należycie opłaczesz i zamieszkaż w takim zakładzie jak ten, pewnie znów zaczniesz się uważać w połowie za panią Blenkinsop.

— Dość nudno jest grać wciąż tę samą rolę.

— A według ciebie dlaczego starsze panie chcą być Mariami Antoninami, paniami Curie czy kim tam jeszcze?

— Pewnie dlatego, że się im nudzi. Ty też byś się nudził, gdybyś nie mógł używać własnych nóg, a ręce tak by ci zeszywniały, że nawet nie mógłbyś robić na drutach. Wtedy człowiek z rozpaczy ima się każdej zabawy, na przykład udaje różne znane osoby, żeby się przekonać, jak się poczuje w ich skórze. Ja to świetnie rozumiem.

— O, z pewnością. Niech Bóg ma w opiece zakład, do którego trafisz. Jak nic zostaniesz Kleopatram.

— Nie chcę być sławną postacią. Zostanę na przykład pomywaczką w zamku Anny de Cleves i będę powtarzać wszystkie zasłyszane tam sprośne plotki.

Drzwi się otworzyły i weszła panna Packard w towarzystwie wysokiej, piegowatej pielęgniarki z burzą rudych włosów.

— Oto i panna O'Keefe, a to państwo Beresford. Mają ci coś do powiedzenia. Przepraszam, muszę iść, jedna z pań mnie potrzebuje.

Tuppence dokonała wręczenia etoli, wywołując zachwyty pielęgniarki.

— Ach, jaka śliczna! Ale jak dla mnie zbyt wspaniała, a pani na pewno się przyda.

— Nie, nie. Na mnie jest za duża, a na taką wysoką dziewczynę jak pani w sam raz. Ciotka Ada też była wysoka.

— O, to była wielka dama. Musiała być kiedyś przystojna.

— Tak przypuszczam — rzekł bez przekonania Tommy. — Ale opiekując się nią, przeszła pani istne piekło.

— No... bywało ciężko. Miała jednak wielkiego ducha. Nic jej nie mogło załamać. Zdumieliby się państwo, jak potrafiła zdobywać informacje. Bystra kobieta!

— Z temperamentem.

— Tak, rzeczywiście. Ale gorsze są takie, co wciąż na wszystko narzekają. Nic, tylko same skargi i jęki. Panna Fanshawe przynajmniej nie była nudna. A jakie wspaniałe historie opowiadała o dawnych czasach! Ponoć jako dziewczyna wjechała kiedyś konno na schody, czy to prawda?

— Niewykluczone.

— Nigdy nie wiadomo, w co można im wierzyć. Kochane staruszki opowiadają nieraz wierutne bajdy. Na przykład o jakichś kryminalistkach. „Trzeba natychmiast zawi-

domić policję, grozi nam niebezpieczeństwo”.

— Podczas naszej poprzedniej wizyty ktoś się tu zatruł — przypomniała Tuppence.

— Ach, to tylko pani Lockett. Ona tak codziennie. Ale nie żądała policji, tylko lekarza. Ma fioła na punkcie lekarzy.

— A znów inna, taka mała kobietka, domagała się kakao.

— Pani Moody. Biedactwo, już jej z nami nie ma.

— To znaczy, że wyjechała?

— Nie... Umarła na zawał, całkiem nagle. Była bardzo przywiązana do państwa ciotki. Chociaż panna Fanshawe nie zawsze miała dla niej czas, bo nieboszczka gadała jak nakręcona.

— Za to pani Lancaster wyjechała.

— Tak, krewni ją zabrali. Nie chciała wyjeżdżać, biedulka.

— Opowiadała takie dziwne rzeczy. Coś o kominku w saloniku?

— Ach, naopowiadała dużo różnych historii. O tym, co się jej przydarzyło, o jakichś sekretach...

— To było coś o dziecku. Porwanym czy zamordowanym...

— Zdumiewające, co one potrafią wymyślić. Czasem telewizja podsunie im jakiś pomysł.

— Czy praca tu jest nerwowa? Te wszystkie stare kobiety... Musi pani być ciężko.

— Ach, nie, ja lubię starych ludzi. Dlatego zajęłam się geriatrią.

— Długo pani tu jest?

— Półtora roku. — Panna O’Keefe umilkła na chwilę. — Ale w przyszłym miesiącu odchodzę.

— Tak? Dlaczego?

Pielęgniarka po raz pierwszy wydawała się nieco zbita z tropu.

— Widzi pani, człowiek czasem potrzebuje odmiany...

— Ale będzie się pani zajmować tym samym?

— O, tak. — Wzięła do ręki etolę. — Jeszcze raz bardzo państwu dziękuję. Cieszę się, że mam jakąś pamiątkę po pani Fanshawe. Była wielką damą, dziś takich prawie się nie spotyka.

Rozdział V

Zniknięcie starszej pani

1

Rzeczy ciotki Ady nadeszły w uzgodnionym terminie. Biurko ustawione na nowym miejscu budziło powszechny podziw. Mały stolik do robótek stanął na miejscu grata, który relegowano do ciemnego kąta w hallu. Natomiast obraz z bladuróżowym domem przy mostku nad kanałem Tuppence zawiesiła nad kominkiem w sypialni. Odtąd przyglądała mu się codziennie przy porannej filiżance herbaty.

Ponieważ sumienie nadal nie dawało jej spokoju, napisała list, w którym wyjaśniła, jak obraz dostał się w jej ręce; jeśli pani Lancaster pragnie go odzyskać, wystarczy, że da im znać. Kopertę zaadresowała według wskazań panny Packard: „Pani Lancaster (z listami pani Johnson), Hotel Cleveland, George Street, London, W.I.”

Odpowiedzi się nie doczekała, ale tydzień później list zwrócono z adnotacją „Adresat nieznanym”.

— Jakież to męczące — westchnęła Tuppence.

— Może spędziły tam tylko parę nocy — podsunął Tommy.

— Myślisz, że mogły zostawić tam kolejny adres?

— A napisałaś na kopercie „Odesłać dalej”?

— Owszem. Zaraz zadzwonię i zapytam... Przecież musieli zapisać ten adres w rejestrze hotelowym.

— Na twoim miejscu dałbym sobie spokój. Po co robić tyle zamieszania? Staruszka na pewno zdążyła zapomnieć o obrazie.

— Ale mogę spróbować.

Tuppence zasiadła do telefonu i wkrótce uzyskała połączenie z hotelem Cleveland.

Po paru minutach wróciła do gabinetu męża.

— To dość dziwne, Tommy. Ich tam w ogóle nie było. Ani pani Johnson, ani pani Lancaster. Nie rezerwowano dla nich żadnych pokoiów, krótko mówiąc, nie ma ani śladu ich pobytu.

— Może panna Packard pomyliła nazwę hotelu. Zapisywała w pośpiechu, potem może zgubiła czy źle zapamiętała. Wiesz, takie rzeczy się zdarzają.

— Ale raczej nie w Słonecznych Wzgórzach. Panna Packard to „chodząca kompetencja”.

— Więc może te panie nie zamówiły pokoiów wcześniej, a hotel okazał się przepelniony i musiały iść gdzie indziej. Wiesz, jak bywa z zakwaterowaniem w Londynie. Czy koniecznie musisz zawracać sobie tym głowę?

Tuppence się wycofała, ale zaraz wróciła.

— Wiem, co teraz zrobię. Zadzwońię do panny Packard i poproszę o adres tych prawników...

— Jakich znowu prawników?

— Nie pamiętasz? Mówiła, że wszystkie sprawy załatwiała firma adwokacka, bo Johnsonowie byli za granicą.

Tommy pracował właśnie nad swoim wystąpieniem na konferencji, w której niebawem miał uczestniczyć.

— „Właściwa polityka w razie zaistnienia takiej koegzystencji...” — mamrotał do siebie pod nosem. — Tuppence, jak się pisze „koegzystencja”?

— Słyszałaś, co mówiłam?

— Tak, to świetny pomysł... doskonały, zrób tak.

Tuppence wyszła, ale po chwili wsadziła głowę w drzwi.

— K-o-n-s-y-s-t-e-n-c-j-a.

— Wykluczone, to nie to słowo.

— A co piszesz?

— Przemówienie, które mam wygłosić na konferencji MUPSB i chciałbym, jeśli pozwolisz, skończyć je w spokoju.

— Przepraszam.

Tuppence wyszła z gabinetu, Tommy zaś wrócił do pisania i wykreślenia zdań. Pisał coraz szybciej, więc i humor mu się poprawiał. Nagle drzwi znów się otworzyły.

— Proszę, jest — oznajmiła Tuppence. — Partingdale, Harris, Lockeridge i Partingdale, 32 Lincoln Terrace, W.C.2, telefon: Holborn 051386. Pracownikiem do zadań operacyjnych jest pan Eccles. — Położyła kartkę przy łokciu męża. — Teraz ty przejmujesz sprawę.

— Nie — powiedział stanowczo Tommy.

— Tak! To była twoja ciotka.

— A co ma do tego ciotka Ada? Pani Lancaster nie jest moją ciotką.

— Ale oni są prawnikami. Rozmowy z prawnikami to męska sprawa — upierała się Tuppence. — Oni mają kobiety za idiotki i nie zwracają uwagi...

— Bardzo rozsądny punkt widzenia.

— Ach, Tommy, proszę cię, pomóż! Ty pójdziesz zatelefonować, a ja znajdę słownik i sprawdzę, jak się pisze „koegzystencja”.

Tommy rzucił jej ostre spojrzenie, ale poszedł. Po powrocie oznajmił twardo:

— Tuppence, ta sprawa jest zamknięta.

— Dorwałeś pana Ecclesa?

— Ściśle rzecz biorąc, dorwałem pana Willsa, który bez wątplenia jest w tej firmie tylko gryziopórkiem, ale dobrze poinformowanym i gładko mówiącym. Wszystkie listy i kontakty idą przez Bank Zachodnich Hrabstw, oddział Hammersmith. I tam, moja Tuppence, pozwól sobie powiedzieć, ślad się urywa. Banki mogą popychać sprawy do przodu, ale nie podadzą żadnego adresu ani tobie, ani nikomu innemu. Mają swój kodeks zasad i ściśle się go trzymają. Ich usta są zapieczętowane, jak nie przymierzając usta naszych napuszonych premierów.

— Dobrze, więc wyślę list na adres banku.

— Zrób to... i na miłość boską, zostaw mnie w spokoju, albo nigdy tego nie skończę.

— Dziękuję ci, kochanie. Co ja bym bez ciebie zrobiła? — I ucałowała go w czubek głowy.

— To najlepsze z pochlebstw — mruknął Tommy.

2

Dopiero w następną czwartek wieczorem Tommy zapytał znienacka:

— Przy okazji, czy dostałaś odpowiedź na swój list do pani Johnson? Ten, który wysłałaś na adres banku.

— Jak to miło, że pytasz — odparła Tuppence z sarkazmem w głosie. — Nie, nie dostałam. — I po namyśle dodała: — Raczej już na to nie liczę.

— Dlaczego?

— Przecież cię to nie interesuje.

— Posłuchaj, Tuppence... Wiem, że ostatnio byłem przepracowany, wszystko przez MUPSB, ale w końcu ta konferencja odbywa się raz do roku, dzięki Bogu.

— Zaczyna się w poniedziałek, tak? I trwa pięć dni.

— Cztery.

— I wszyscy jedziecie do Pst-Pst, ściśle tajnego domu gdzieś na wsi. Będziecie tam czytać ważne papiery, wygłaszać mowy i badać młodych kandydatów na supertajne sta-

nowiska w Europie i poza nią. Zapomniałam, co znaczy MUPSB. Te wszystkie dzisiejsze skróty...

— Międzynarodowa Unia Połączonych Służb Bezpieczeństwa.

— Co za bełkot! Aż śmiech człowieka bierze. Pewnie całe to miejsce jest naszpikowane „pluskwami” i wszyscy znają nawzajem treść swoich najtajniejszych rozmów?

— Jest to wysoce prawdopodobne — przyznał Tommy, uśmiechając się szeroko.

— A tobie tylko w to graj?

— Cóż, do pewnego stopnia tak. Człowiek spotyka starych przyjaciół...

— Całkiem już zramolałych, jak przypuszczam. Czy to w ogóle coś daje?

— Boże, co za pytanie! Czy ktoś mógłby na to odpowiedzieć prostym „tak” lub „nie”?

— A ci ludzie się na coś przydają?

— Na to odpowiedziałbym: „tak”. Niektórzy są nawet bardzo dobrzy.

— Stary Josh tam będzie?

— Tak, będzie.

— Jaki on jest teraz?

— Kompletnie głuchy, na pół ślepy i pokręcony przez reumatyzm. Ale zdziwiłabyś się, ile spraw nie umyka jego uwagi.

— Rozumiem. — Tuppence pomyślała chwilę. — Też bym chciała tam być.

Tommy spojrział na nią przepaszająco.

— Mam nadzieję, że znajdziesz sobie coś do roboty w tym czasie.

— Kto wie — odparła z namysłem.

Mąż popatrzył na nią z niejasnym lękiem, który Tuppence zawsze potrafiła w nim wzbudzić.

— Tuppence, co ty kombinujesz?

— Jeszcze nic. Na razie tylko myślę.

— O czym?

— O Słonecznych Wzgórzach. O miłej starszej pani, która piła mleko i bredziła coś o martwych dzieciach i kominkach. To mnie zaintrygowało. Myślałam, że spróbuję wyciągnąć z niej coś więcej przy okazji następnej wizyty u ciotki. Ale następnej wizyty nie było, bo ciotka Ada umarła, a kiedy przyjechaliśmy do Słonecznych Wzgórz, pani Lancaster... zniknęła.

— Chcesz powiedzieć, że zabrali ją krewni. To nie jest zniknięcie, tylko normalna sprawa.

— To jest zniknięcie. Nie można wyśledzić adresu, brak odpowiedzi na listy, to musiało być zaplanowane, coraz bardziej się w tym utwierdzam.

— Ale... — zaczął Tommy.

Tuppence nie dała mu dojść do słowa.

— Słuchaj, Tommy. Przypuśćmy, że kiedyś popełniono zbrodnię. Zdawało się, że wszystko odbyło się bezpiecznie i pod stosowną przykrywką. Ale nagle wyszło szydło z worka: ktoś z rodziny coś widział, o czymś wie... Stara kobieta, która lubi sobie pogadać i przez to stanowi zagrożenie. Co byś z taką zrobił?

— Dosypałbym arszeniku do zupy? — zasugerował żartem Tommy. — Rąbnął w głowę? Zepchnął ze schodów?

— To raczej ostateczność. Nagłe zgony przyciągają uwagę. Poszukałbyś prostszego sposobu... i znalazłbyś. Przyjemny, renomowany dom dla starszych pań. Składasz tam wizytę, podając się za panią Johnson czy Robinson albo angażujesz do załatwienia tej sprawy kogoś trzeciego, kto niczego nie podejrzewa. Stronę finansową zlecasz szanowanej firmie adwokackiej. Może zdążyłeś już wspomnieć, że twoja krewna miewa czasem starcze urojenia — jak wiele osób w jej wieku. Nikogo zatem nie zdziwi paplanina o zatrutym mleku, zwłokach za kominkiem czy uprowadzeniu dziecka. Bo też nikt tak naprawdę nie będzie słuchał. Pomyślą, że pani Taka-a-taka znów ma jakieś fantazje i na tym koniec.

— Ale nie dla pani Beresford.

— Właśnie. Ponieważ pani Beresford słuchała.

— A właściwie dlaczego?

— Sama nie wiem. To brzmiało trochę jak bajka. „Ha, czuję, że mnie kciuki swędzą: Coś złego drogi do nas szuka”. Nagle ogarnął mnie strach. Zawsze myślałam, że Słoneczne Wzgórza to takie miłe, normalne miejsce, ale w tym momencie zaczęłam się zastanawiać... Tylko tak mogę to wytłumaczyć. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej, a tu pani Lancaster zniknęła. Ktoś sprawił, że rozplynęła się w powietrzu.

— Ale w jakim celu?

— Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że stawała się coraz gorsza. Gorsza — z ich punktu widzenia. Więcej sobie przypominała, więcej gadała, może nawet kogoś rozpoznała? Albo ktoś ją rozpoznał? Może powiedział coś, co podsunęło jej nowy pomysł w związku z wydarzeniami z przeszłości? W każdym razie z jakichś powodów stała się niebezpieczna.

— Wiesz, Tuppence, cały czas mówisz tylko o „cosiach” i „ktosiach”. To są wyłącznie twoje wymysły. Przecież nie chcesz mieszać się do spraw, które w ogóle ciebie nie dotyczą.

— Ale według ciebie nie ma tu nic, w co można się wmieszać, więc nie musisz się martwić.

— Zostaw Słoneczne Wzgórza w spokoju.

— Wcale nie zamierzam tam jechać. Myślę, że powiedzieli mi już wszystko. Starsza pani była u nich bezpieczna, a ja muszę się dowiedzieć, gdzie przebywa teraz. Muszę odszukać ją w porę, rozumiesz? Zanim coś jej się stanie.

— A cóż mogłoby się jej stać?
— Nie chcę o tym myśleć. Ale jestem na tropie. Prudence Beresford, prywatny detektyw. Pamiętasz, jak byliśmy Bluntami z Błyskotliwych Detektywów*?
— Ja byłem Bluntem. Ty byłaś tylko panną Robinson, moją osobistą sekretarką.
— Nie przez cały czas. Tak czy inaczej, tym właśnie zamierzam się zajmować, kiedy ty będziesz uprawiał międzynarodowe szpiegostwo we dworze Pst-Pst. To operacja pod hasłem: „Uratować panią Lancaster”.
— Prawdopodobnie odnajdziesz ją w najlepszym zdrowiu.
— Oby. Nikt nie będzie bardziej zadowolony ode mnie.
— Jak chcesz się do tego zabrać?
— Mówiłam ci, najpierw muszę pomyśleć. Może jakieś ogłoszenie? Nie, to mógłby być błąd.
— Dobrze, tylko uważaj — rzekł bez sensu Tommy.
Tuppence nie raczyła mu odpowiedzieć.

3

W poniedziałek rano Albert, filar domu Beresfordów od wielu lat, wciągnięty przez nich w detektywistyczną działalność jeszcze jako boy hotelowy o marchewkowej czuprynie, umieścił tacę z herbatą na stoliku między dwoma łózkami, odsunął zasłony, ogłosił, że dzień jest piękny, po czym wycofał swą korpulentną teraz postać za drzwi.

Tuppence ziewnęła, usiadła, przetarła oczy, nalała sobie herbaty, wrzuciła plasterek cytryny i zauważyła, że dzień rzeczywiście wydaje się ładny, wszelako nic nie wiadomo.

Tommy obrócił się na wznak i jęknął.

— Obudź się — powiedziała Tuppence. — Pamiętaj, że dziś wyjeżdżasz.

— O Boże — westchnął jej mąż. — No tak.

On także usiadł i nalał sobie herbaty. Potem spojrzął z uznaniem na obraz nad kominkiem.

— Muszę przyznać, Tuppence, że naprawdę miło wygląda.

— Zwłaszcza kiedy słońce wpada przez okno i oświetla go z boku.

— Jest taki idylliczny.

— Żebym jeszcze mogła przypomnieć sobie, gdzie widziałam ten dom!

— Nie sądzę, by to miało znaczenie. Zresztą kiedyś sobie przypomnisz.

— To na nic. Chcę to wiedzieć teraz.

*Zob. „Śledztwo na cztery ręce”

— Ale dlaczego?

— Nie rozumiesz? To jedyny ślad, jaki mam. Obraz należał do pani Lancaster i...

— Ale te dwie sprawy nie mają z sobą nic wspólnego. Owszem, obraz należał do pani Lancaster, ale mogła go kupić na jakiejś wystawie albo namalował go ktoś z jej rodziny. A może to prezent? Zabrała go do Słonecznych Wzgórz, bo miło wyglądał. Nie ma powodu przypuszczać, by miał dla niej jakieś osobiste znaczenie. Inaczej nie dałaby go ciotce Adzie.

— To jedyny ślad — upierała się Tuppence.

— Miły dom, pełen błogiego spokoju...

— A mimo to myślę, że jest pusty.

— Jak to, pusty?

— Po prostu nikt w nim nie mieszka. Nie sędzę, by kiedykolwiek ktoś wchodził do środka albo wychodził. Nikt nie przejdzie przez mostek, nie odwiąże łódki i nie uruchomi wiosła.

— Na miłość boską, Tuppence! — wykrzyknął Tommy, wytrzeszczając na nią oczy.

— Co się z tobą dzieje?

— Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, pomyślałam sobie: Co za miły dom do zamieszkania! A potem napłynęła druga myśl: Ale nikt w nim nie mieszka. Z całą pewnością. Z tego wynika, że kiedyś go widziałam. Poczekaj chwileczkę... chwileczkę...

Tommy nie odrywał od niej oczu.

— Z okna! Z okna samochodu? Nie, to byłoby pod złym kątem. Z biegiem kanału... łukowaty mostek, różowe mury, dwie topole... Nie, więcej, znacznie więcej topoli. Och, Boże, Boże, gdybym tylko...

— Daj sobie spokój, Tuppence.

— Przypomnę sobie.

— Wielkie nieba! — Tommy zerknął na zegarek. — Muszę się pośpieszyć. Ty i te twoje *déjà vu*...

Wyskoczył z łóżka i ruszył do łazienki. Tuppence opadła na poduszki i z zamkniętymi oczami próbowała ożywić wspomnienie, które jednak nie dawało się przywołać.

Tommy nalewał sobie już drugą filiżankę kawy, kiedy do jadalni weszła jego żona z triumfalnym uśmiechem na twarzy.

— Mam! Widziałam go z okna pociągu!

— Gdzie? Kiedy?

— Tego nie wiem. Muszę jeszcze pomyśleć. Pamiętam, jak powiedziałam sobie: „Pewnego dnia wrócę tu i obejrzę ten dom”. Potem próbowałam zobaczyć nazwę następnej stacji, ale wiesz, jakie są te dzisiejsze koleje: pozamykali połowę stacji i ta następna okazała się całkiem zrujnowana. Perony zarosły trawą, żadnej tablicy, nic.

— Gdzie moja teczka, u diabła? Albert!

Nastąpiło gorączkowe poszukiwanie.

Kiedy Tommy, cały zziębnięty, wrócił, żeby się pożegnać, Tuppence wciąż siedziała ze wzrokiem wbitym w sadzone jajko.

— Do widzenia! I na miłość boską, Tuppence, nie wtykaj nosa w sprawy, które cię nie powinny obchodzić.

Spojrzała na niego z namysłem.

— Chyba pojeżdżę sobie trochę pociągami.

— Owszem — powiedział Tommy, któremu nieco ulżyło. — Możesz spróbować. Kup sobie sezonowy bilet. Jest taki system, według którego można przejechać nawet tysiąc mil Wysp Brytyjskich po bardzo rozsądnej cenie. Wybierz sobie pociąg, jaki tylko zechcesz, do dowolnego miejsca. To cię powinno sprowadzić na ziemię i utrzymać w dobrym nastroju, póki nie wrócę.

— Ucałuj ode mnie Josha.

— Dobrze. — Tommy popatrzył z niepokojem na żonę. — Szkoda, że ze mną nie jedziesz... Tylko nie rób głupstw, co?

— Oczywiście, że nie — odparła Tuppence.

Rozdział VI

Tuppence na tropie

— O Boże, Boże — westchnęła Tuppence, wodząc dookoła ponurym wzrokiem.

Nigdy, ale to nigdy nie czuła się podlej. Oczywiście wiedziała, że będzie jej brakowało Tommy'ego, ale nie miała pojęcia, jak bardzo.

W ciągu całego, długiego wspólnego pożycia niemal się nie rozstawali. Jeszcze przed ślubem tworzyli parę „młodych łowców przygód”. Wyszli zwycięsko z wielu niebezpiecznych sytuacji, potem się pobrali, doczekali dwójki dzieci i właśnie kiedy ich życie wkroczyło w stateczną monotonię średniego wieku, wybuchła druga wojna światowa. Niemal cudownym zbiegiem okoliczności wpłatali się wówczas oboje w sprawy, które przywiodły ich na pogranicze działań brytyjskiego wywiadu. Cokolwiek nieszablonową parę zaangażował cichy mężczyzna o nie dającym się opisać wyglądzie. Przedstawiał się jako „pan Carter”, ale na dźwięk tego pospolitego nazwiska skłaniały się wszystkie głowy. I znów zaczęły się przygody, wspólne przygody, chociaż pan Carter inaczej to sobie zaplanował i powołał do służby jedynie Tommy'ego. Tuppence jednak udało się, dzięki wrodzonej chytrłości, podsłuchać pewną rozmowę, toteż gdy w nadmorskim pensjonacie pojawił się jej mąż w roli niejakiego pana Meadowsa, pierwszą osobą, na którą się natknął, była pani w średnim wieku o niewinnym spojrzeniu, wymachująca pilnie drutami. Kazano mu ją nazywać panią Blenkinsop. Od tej pory działali już ręka w rękę.

Teraz ten numer nie przejdzie — myślała Tuppence. — Żadne podsłuchiwanie, żadna chytrłość, ani w ogóle nic z tych rzeczy nie otworzy przede mną dworu Pst-Pst i nie dopuści do zawilych sprawek MUPSB. Nie dla mnie ten klub oldboyów. Tymczasem bez Tommy'ego mieszkanie jest takie puste, a życie samotne. Co ja mam ze sobą zrobić?

Pytanie było tylko retoryczne, gdyż Tuppence podjęła już pierwsze kroki w związku z tym, co wcześniej zaplanowała. Tym razem nie chodziło o wywiad, kontrwywiad ani w ogóle o coś oficjalnej natury, po prostu „Prudence Beresford, prywatny detektyw”.

Po skleconym naprędce lunchu miejsce naczyń zajęły na stole rozkłady jazdy, prze-

wodniki, mapy i kilka starych dzienników, które Tuppence udało się wygrzebać.

W ciągu ostatnich trzech lat — z całą pewnością nie wcześniej — odbyła podróż pociągiem i z okna wagonu zauważyła dom. Ale dokąd jechała?

Jak większość rodaków, Beresfordowie podróżowali teraz głównie samochodem. Pociągiem jeździli zaledwie kilka razy i w dużych odstępach czasu.

Na przykład do Szkocji, gdzie mieszkała ich zamężna córka Debora... ale to była nocna podróż.

Penzance... Spędzali tam letnie wakacje. Tę trasę jednak Tuppence знаła na pamięć. Nie, to musiał być raczej wyjazd z jakiejś okazji.

Solidnie przykładając się do pracy, Tuppence sporządziła szczegółową listę wszystkich swoich podróży, które mogły odpowiadać celowi jej poszukiwań. Kilka wyjazdów na wyścigi, jedna wizyta w Northumberland, ze dwa pobyty w Walii, jedne chrzciny, dwa śluby, wyprzedaż, na którą wybrali się wspólnie... Raz odwoziła zaprzyjaźnionemu hodowcy kilka chorych na gripę szczeniaków. Spotkanie miało miejsce na wypalanej stacji węzłowej, której nazwy nie mogła sobie przypomnieć.

Tuppence westchnęła. Wyglądało na to, że jedynym rozwiązaniem do przyjęcia było to zaproponowane przez Tommy'ego: kupić okrężny bilet i przejechać najbardziej prawdopodobne trasy kolejowe.

W jednym z notesików zapisywała kiedyś to, co uznała za godne uwiecznienia — jakieś migawki zdarzeń — tak na wszelki wypadek.

Na przykład kapelusz... kapelusz, który rzuciła na stelaż. Miała na sobie kapelusz, czyli... ślub albo chrzciny, w żadnym wypadku szczeniaki.

Kolejna migawka: zrzuciła pantofle, bo piekły ją nogi. Tak, z całą pewnością patrzyła wtedy na dom, a pantofle zrzuciła, bo nie mogła w nich wytrzymać.

Zatem bez wątpienia była to okazja towarzyska, na którą albo jechała albo z niej wracała. Raczej wracała, skoro piekły ją nogi... najwyraźniej po długim staniu. A jaki rodzaj kapelusza? To dość ważne: przybrany kwiatami na letni ślub czy aksamitny, zimowy?

Właśnie notowała pilnie szczegóły z rozkładów jazdy poszczególnych linii, kiedy wszedł Albert, pytając, co zjadłaby na kolację i co trzeba zamówić u rzeźnika oraz w sklepie spożywczym.

— Mam zamiar wyjechać na kilka dni, więc nie musisz niczego zamawiać — wyjaśniła Tuppence. — Będę trochę podróżować pociągami.

— Czy chce pani jakieś kanapki?

— Może. Z szynką albo czymś tam.

— Jajko i ser, dobrze? I jest jeszcze w spiżarni puszka pasztetu... trochę się przeleżał.

Była to dość podejrzana rekomendacja, ale Tuppence machnęła ręką.

— W porządku, niech będzie.

— Jakież listy z zapowiedzią przyjazdu?

— Nawet nie wiem jeszcze, dokąd jadę.

— Rozumiem.

Z Albertem była ta wygoda, że wszystko przyjmował do wiadomości i nie wymagał żadnych wyjaśnień.

Wyszedł, a Tuppence wróciła do swojego rozumowania. Potrzebowała wydarzenia towarzyskiego, związanego z kapeluszem i eleganckimi pantoflami. Niestety te umieszczone już na liście wymagały podróży różnymi liniami: jeden ślub był na południu, a więc Southern Railway, drugi we wschodniej Anglii, chrzciny na północ od Bedford.

Żeby też mogła przypomnieć sobie coś więcej w kwestii krajobrazu... Siedziała po prawej stronie pociągu. Na co patrzyła, zanim pojawił się kanał? Na lasy? Drzewa? Jakież farmy? Wioskę?

Wysilając mózg ze wszystkich sił, podniosła w pewnym momencie głowę i zauważyła, że Albert wrócił. Zmarszczyła brwi. Jakże daleka była w tym momencie od myśli, że właśnie wierny sługa, który od pewnego czasu stał nieruchomo, czekając, aż chlebobdawczyni zwróci nań uwagę, jest ni mniej, ni więcej tylko odpowiedzią na jej modły...

— No, co tam znowu, Albercie?

— Bo jeśli rzeczywiście nie będzie pani jutro przez cały dzień...

— I prawdopodobnie pojutrze także.

— To czy ja mógłbym zrobić sobie wolne?

— Tak, oczywiście.

— Bo Elizabeth dostała strasznej wysypki, Milly myśli, że to odra.

— Och, naprawdę? — Milly była żoną Alberta, a Elizabeth ich najmłodszą pociechą.
— Więc pewnie Milly potrzebuje cię w domu, to jasne.

Albert mieszkał w małym, czystym domku dwie ulice dalej.

— Nawet nie za bardzo. Nie lubi, kiedy wchodzi jej w drogę, jak ma pełne ręce roboty, boi się, że nabałaganię. Ale są inne dzieci i mógłbym zabrać je gdzieś, żeby nie plątały się pod nogami.

— Naturalnie, przecież wszyscy jesteście zagrożeni.

— Ach! Najlepiej, niech już złapią, co mają złapać, przynajmniej będzie z głowy. Charlie miał już odrę, Jean także. Więc jak z tym moim wolnym dniem? W porządku?

Tuppence zapewniła go, że w porządku.

Coś poruszyło się w jej podświadomości. Jest coraz bliżej... I nagle błysk: odra. Tak, odra. To coś wiąże się z odrą.

Ale co dom nad kanałem ma wspólnego z odrą...?

No jasne! Anthea. Anthea była chrześniaczką Tuppence, a jej córka Jane kończyła właśnie swój pierwszy rok szkolny. Miało się odbyć rozdanie nagród i właśnie wtedy Anthea zadzwoniła, że jej dwoje młodszych dzieci zachorowało na odrę, w domu nie

ma nikogo do pomocy, więc nikt nie pójdzie na uroczystość i Jane będzie strasznie zawiedziona. Czy Tuppence przypadkiem...

I oczywiście Tuppence natychmiast się zgodziła. Nie, nie ma nic specjalnego do roboty, pojedzie do szkoły, zabierze Jane na lunch, a potem wróci na rozgrywki sportowe i tak dalej. Był nawet specjalny szkolny pociąg.

Wszystko ukazało się jej przed oczami z zadziwiającą jasnością — nawet suknia, którą wtedy miała na sobie — letnia suknia w bławatki.

A dom widziała w drodze powrotnej.

Podczas jazdy do szkoły siedziała z nosem w zakupionym dopiero co magazynie, ale w drodze powrotnej nie miała nic do czytania, więc wyglądała przez okno, póki znużona wydarzeniami dnia i ciasnymi pantoflami, nie zapadła w drzemkę.

Kiedy się obudziła, pociąg pędził wzdłuż kanału. Teren był częściowo zalesiony, czasem ukazywał się jakiś mostek, czasem kręta uliczka albo boczna droga, w oddali mignęła farma... ale ani jednej wioski.

Pociąg zaczynał zwalniać, ale bez wyraźnego powodu, po prostu musiał odebrać taki sygnał. Wreszcie stanął gwałtownie tuż przy łukowatym mostku nad prawdopodobnie nieczynnym już kanałem. Po drugiej stronie, blisko wody, stał dom. Dom, który Tuppence z miejsca uznała za jeden z najpiękniejszych, jakie widziała — spokojny i cichy w złotych promieniach zachodzącego słońca.

W pobliżu nie widziała żywego ducha — ani psa, ani zwierząt gospodarskich. Mimo to zielone okiennice nie były zasunięte. Dom żył, ale po prostu w danym momencie wydawał się pusty.

Muszę się czegoś o nim dowiedzieć — pomyślała Tuppence. — Pewnego dnia wrócę tu i przyjrzę mu się bliżej. To dom, w którym chciałabym zamieszkać.

Pociąg drgnął i z wolna potoczył się naprzód.

Zobaczę, jak się nazywa następna stacja, przynajmniej będę wiedziała, gdzie to jest.

Ale stacji właściwie nie było. W tamtych czasach na kolei działy się różne rzeczy — małe stacje likwidowano, nawet burzono, nieużywane perony porastały trawą. Przez co najmniej dwadzieścia minut pociąg jechał, ale nie mijał nic charakterystycznego. Daleko, za polami sterczała wieża kościoła. Potem ukazały się zabudowania fabryczne — wysokie kominy, rząd prefabrykowanych pawilonów, a dalej znów otwarta przestrzeń.

Tuppence pomyślała sobie: Ten dom był jak ze snu... A może rzeczywiście widziałam go tylko we śnie? Chyba już go sobie nie obejrzę, to za trudne. I szkoda, że... Pewnego dnia natknę się na niego przypadkiem!

A potem zapomniała o wszystkim, póki obraz nie ożywił mglistego wspomnienia.

Teraz, dzięki jednemu słowu, wypowiedzianego bezwiednie przez Alberta, śledztwo dobiegło końca.

Albo gwoli ścisłości, właśnie się zaczynało.

Tuppence wybrała trzy mapy, przewodnik i kilka innych akcesoriów.

Tylko z grubsza orientowała się w terenie, jaki miała zamiar zbadać. Zaznaczyła dużym krzyżem szkołę Jane, potem znalazła odnogę linii kolejowej, łączącą się z głównym torem do Londynu. Jak długo mogła spać...?

Ostatecznie okazało się, że należy wziąć pod uwagę całkiem spory obszar — na północ od Medchester, na południowy wschód od Market Basing; małe miasteczko, ale ważne jako stacja węzłowa; na zachód prawdopodobnie Shaleborough.

Weźmie samochód i wyruszy jutro wczesnym rankiem.

Poszła do sypialni i uważnie przestudiowała obraz.

Tak, nie ma mowy o pomyłce. To ten dom widziała z pociągu trzy lata temu. Obiecała sobie, że pewnego dnia tam wróci — i właśnie „pewien dzień” nadszedł.

„Pewien dzień” to jutro.

Księga druga

Dom Nad Kanałem

Rozdział VII

Dobra czarownica

Tuż przed wyjazdem Tuppence po raz ostatni przyjrzała się obrazowi, nie tyle po to, żeby utrwalić sobie szczegóły, ile by zapamiętać usytuowanie budynku na tle krajobrazu. Tym razem bowiem będzie go widziała z okna samochodu, nie pociągu, więc na pewno pod zupełnie innym kątem. Po drodze może napotkać wiele łukowatych mostków i nieczynnych kanałów, a także podobnie wyglądających domów (choć w to akurat Tuppence nie bardzo wierzyła).

Obraz był sygnowany, ale podpis artysty nieczytelny, wiadomo było tylko, że nazwisko zaczyna się na B.

Odróciwszy się od kominka, Tuppence sprawdziła swoje „pomoce naukowe”: rozkład jazdy ABC wraz z załączoną mapą linii kolejowych, wybór wojskowych map i spis wybranych na próbę nazw: Medchester, Westleigh, Market Basing, Middlesham, Inchwell — pomiędzy którymi leżał interesujący ją trójkąt. Spakowała też niedużą torbę z rzeczami na nocleg, gdyż czekało ją co najmniej trzy godziny jazdy, a potem zapewne sporo czasu zajmie mozolne przemierzanie wiejskich dróg i zaułków w poszukiwaniu kanału.

Po krótkiej przerwie w Medchester na kawę i przekąskę, skręciła w drugorzędną drogę równoległą do toru kolejowego, biegnącą przez zalesione tereny z mnóstwem strumieni.

Jak to na angielskiej prowincji, wszędzie było pełno drogowskazów z nazwami, których Tuppence w życiu nie słyszała. Rzadko który pokazywał właściwy kierunek. Wydawało się, że akurat w tym rejonie Anglii zastosowano jakiś chytry system znaków; droga niby to odrywa się od kanału, a kiedy przyśpieszasz, myśląc, że lada chwila znajdziesz się tam, dokąd twoim zdaniem on zmierza — trafiasz w próżnię. Jeśli pojechałaś na Great Michelden, następny drogowskaz proponuje ci dwie drogi do wyboru: jedną na Pennington Sparrow, drugą do Farlingford. Wybierasz Farlingford i nawet udaje ci

się tam dotrzeć, a wtedy kolejny znak odsyła cię kategorycznie z powrotem do Medchester, więc praktycznie wracasz po własnych śladach. Co do Tuppence, to niestety nie dojechała do Great Michelden i przez dłuższy czas nie była w stanie odnaleźć utraconego kanału. Gdyby miała choć mgliste pojęcie, jakiej miejscowości szuka, wszystko poszłoby lepiej. Tropienie kanałów na mapie to istna łamigłówka. Od czasu do czasu napotykała tory kolejowe, co podnosiło ją na duchu i zaraz dodawała gazu, pędząc na Bees Hill, South Winterton i Farrell St Edmund. W Farrell St Edmund istniała kiedyś stacja, ale jakiś czas temu ją zlikwidowano. Gdybym tylko — myślała Tuppence — znalazła jakąś przyzwoitą drogę biegnącą wzdłuż kanału albo torów, byłoby mi znacznie łatwiej.

Tymczasem mijały godziny, a Tuppence czuła się coraz bardziej zbита z tropu. Z rzadka napotykała jakąś farmę, ale wtedy prowadząca do niej droga wyraźnie się upierała, że nie ma nic wspólnego z kanałem — biegła na drugą stronę wzgórza i docierała na przykład do Westpenfold — miejscowości z kościołem o kwadratowej wieży, co oczywiście nie zdawało się na nic.

Po rozpaczliwym poszukiwaniu znalazł się poryty koleinami trakt, który wydawał się jedyną drogą z Westpenfold. Według orientacji Tuppence (cokolwiek teraz zaburzonej), powinien on prowadzić w kierunku wprost przeciwnym do jakiegokolwiek miejsca, branego przez nią pod uwagę. Nagle okazało się, że znów trzeba wybierać między dwiema odnogami, między którymi stał słupek drogowskazu z połamanymi ramionami.

— I co teraz? — powiedziała do siebie Tuppence. — Kto to wie? Bo nie ja.

Skręciła w lewo.

Droga wiła się meandrami, aż wreszcie po kolejnym zakręcie rozszerzyła się i zaczęła piąć na wzgórze. Las niebawem się skończył i Tuppence wyjechała na otwartą przestrzeń. Po pokonaniu wierzchołka, miała przed sobą stromy zjazd w dół. Gdzieś niedaleko rozległ się odgłos żalostnej skargi, brzmiący jak...

— Pociąg! — wykrzyknęła Tuppence, czując przyływ nadziei.

I rzeczywiście był to pociąg. Tuż poniżej stoku zasapana lokomotywa wlokła rząd towarowych wagonów, co pewien czas obwieszczając donośnie swe niezadowolenie. Za torami znajdował się kanał, a po jego drugiej stronie — dom, który Tuppence natychmiast rozpoznała. Nad kanałem wznosił się łukowaty mostek z różowej cegły. Droga prowadziła pod torami i wychodziła właśnie na ów mostek. Tuppence bardzo ostrożnie pokonała wąski przejazd. Teraz dom leżał po prawej stronie drogi. Zaczęła się rozglądać za bramą, ale widziała tylko solidny mur.

Zatrzymała samochód i pieszo wróciła na mostek. Dom robił wrażenie cichego i opuszczonego, choć w zachodzącym słońcu wyglądał wręcz idyllicznie. Nic nie wskazywało, by ktoś w nim mieszkał. Tuppence wróciła do auta i podjechała jeszcze kawałek. Po prawej ręce miała stosunkowo wysoki mur, po lewej tylko żywopłot, a za nim

zielone pola.

Niebawem natrafiła jednak na kutą żelazną bramę. Zaparkowała przy drodze, wysiadła i podeszła bliżej, by zajrzeć do środka. Kiedy stanęła na palcach, zobaczyła ogród. A więc to już na pewno nie jest farma, choć kiedyś mogło tak być. Prawdopodobnie dawniej dom wychodził na pola. Ogród był wyraźnie pielęgnowany, choć bez specjalnego rezultatu. Wyglądało, jakby ktoś bezskutecznie starał się utrzymywać w nim porządek.

Od bramy okrężna ścieżka prowadziła do drzwi, które jednak nie wyglądały na frontowe, tylko na niepozorne, choć solidne tylne wejście. Od tej strony dom wyglądał zupełnie inaczej: po pierwsze nie był pusty — mieszkali tu ludzie. Świadczyły o tym potwierane okna, trzepoczące na wietrze firanki, ustawiony przed wejściem pojemnik na śmieci. W drugim końcu ogrodu jakiś potężnie zbudowany mężczyzna powoli, lecz uparcie kopał ziemię. Z pewnością dom widziany od tej strony nie miał w sobie uroku, żaden artysta nie miałby ochoty go malować — ot, zwykła ludzka siedziba. Tuppence zastanawiała się: czy mimo wszystko ma sobie stąd pójść i zapomnieć o całej sprawie? Nie, tego zrobić nie może, przecież zadała już sobie tyle trudu... Która to godzina? Zerknęła na zegarek, ale okazało się, że stoi. Ze środka dobiegł odgłos otwieranych drzwi. Raz jeszcze zajrzała przez bramę.

Drzwi otworzyły się i z domu wyszła kobieta. Postawiła butelkę od mleka i prostując się, spojrzała w kierunku bramy. Zobaczywszy Tuppence, zawahała się przez chwilę, ale zaraz ruszyła zdecydowanym krokiem w tamtą stronę.

— Przecież... — powiedziała do siebie Tuppence — Przecież to jest dobra czarownica!

Kobieta miała około pięćdziesięciu lat i długie włosy, które rozwiewały się za nią na wietrze. Przypominała trochę obraz (może Nevinsona?) młodej wiedźmy na miotle. Pewnie dlatego przyszło Tuppence do głowy to określenie, chociaż kobieta nie była ani młoda, ani ładna. Miała zmarszczki, wystający nos i podbródek, ubrana była dość nieładnie, na głowie zaś nosiła rodzaj spiczastego kapelusza. Na pozór wyglądała nieco złowieszco, ale tylko na pozór, gdyż naprawdę promieniała wprost bezgraniczną życzliwością. Tak — pomyślała Tuppence. — Wyglądasz dokładnie jak czarownica, ale jesteś DOBRĄ czarownicą. Dawniej takie jak ty nazywano „białymi wiedźmami”.

Kobieta zbliżała się do bramy z pewnym wahaniem.

— Czy pani czegoś tu szuka? — zapytała miłym głosem z lekkim wiejskim akcentem.

— Przepraszam, pewnie uważa pani, że to bardzo brzydko zaglądać do cudzego ogrodu, ale... zastanawiałam się nad tym domem.

— Może pani wejdzie i obejrzy sobie ogród? — zaproponowała dobra czarownica.

— Chętnie... Bardzo dziękuję, ale nie chciałabym przeszkadzać.

— Ależ to żaden kłopot. Nie mam nic do roboty. Ładny dzień, nieprawdaż?

— Tak, rzeczywiście.

— Myślałam, że może zgubiła pani drogę. To się czasem zdarza.

— Po prostu zobaczyłam ten dom, kiedy zjeżdżałam ze wzgórza, i wydał mi się bardzo atrakcyjny.

— Tamta strona jest ładniejsza. Artyści ją czasem szkicują... to znaczy dawniej szkicowali.

— Tak sobie właśnie myślałam. Ja... chyba widziałam taki obraz... na którejś z wystaw. — I dodała szybko: — Obraz bardzo podobnego domu. Może to był ten?

— Całkiem niewykluczone. Zabawne, wie pani, przyjeżdża taki artysta i maluje obraz. A potem zjawiają się inni. Zupełnie jakby mieli co roku jakąś lokalną wystawę. Artyści lubią malować to samo miejsce, sama nie wiem, czemu. Zawsze musi być albo kawałek łąki ze strumykiem, albo jakiś szczególny dąb, albo kępa wierzb, albo wiecznie ten sam normański kościół. Pięć czy sześć obrazów na ten sam temat, według mnie, więszość i tak okropna, ale cóż, nie znam się na sztuce. Proszę wejść, bardzo proszę.

— Bardzo pani uprzejma. I ma pani przyjemny ogród.

— No rzeczywiście, jest niebrzydki. Mamy tu trochę kwiatów, warzyw i tak dalej. Ale mój mąż nie daje już rady wszystkiemu, a mnie brakuje czasu.

— Kiedyś widziałam ten dom z pociągu. Akurat zwolnił i mogłam się przyjrzeć. Zastanawiałam się, czy jeszcze go zobaczę. Minęło sporo czasu.

— I teraz nagle zjeżdża pani sobie samochodem ze wzgórza — i jest! Śmieszne, zdarzają się czasem takie rzeczy, prawda?

Dzięki Bogu — myślała Tuppence. — Wyjątkowo łatwo się z nią rozmawia. Nie trzeba wysilać wyobraźni, żeby znaleźć jakieś wytłumaczenie, po prostu mówi się, co przyjdzie do głowy.

— Chce pani wejść do środka? — zapytała dobra czarownica. — Widzę, jak panią to interesuje. Dom jest dość stary, w późnym georgiańskim stylu, ale potem go rozbudowano. Oczywiście my zajmujemy tylko połowę, wie pani.

— Ach, tak? Podzielono go na dwie części?

— Właściwie to jest tył — wyjaśniła kobieta. — Front jest po drugiej stronie, tej, którą widziała pani z mostku. Śmieszny pomysł taki podział, prawda? Chyba łatwiej byłoby inaczej — na prawe i lewe skrzydło, a nie na tył i przód.

— Dawno państwo tu mieszkają? — zainteresowała się Tuppence.

— Trzy lata. Kiedy mój mąż przeszedł na emeryturę, chcieliśmy przenieść się na wieś, w jakieś spokojne miejsce. No i tanie. Ten dom był tani, bo leży na odludziu. Nie ma w pobliżu wioski ani żadnych zabudowań.

— Z daleka widziałam wieżę kościelną.

— A, to w Sutton Chancellor, dwie i pół mili stąd. Należymy, oczywiście, do parafii,

ale stąd do samej wsi nie ma ani jednego domu. To zresztą bardzo mała osada. Napije się pani herbaty? Właśnie zdążyłam postawić czajnik, kiedy wyjrzałam na dwór i panią zobaczyłam. — Dobra czarownica osłoniła usta dłońmi i wrzasnęła: — Amos! Amos!

Duży mężczyzna w końcu ogrodu odwrócił głowę.

— Za minutę herbata!

Podniósł rękę na znak, że usłyszał. Kobieta otworzyła drzwi i zaprosiła Tuppence do środka.

— Nazywam się Perry — powiedziała przyjaźnie. — Alice Perry.

— A ja Beresford.

— Proszę bardzo, pani Beresford, proszę wejść i się rozejrzeć.

Tuppence zawahała się przez chwilę. Pomyślała sobie: Trochę jak z Jasiem i Małgosią. Czarownica zaprasza do domu. Może to dom z pierników? Powinien taki być.

Potem popatrzyła znowu na Alice Perry i stwierdziła, że nie jest to czarownica z piernikowego domku z bajki o Jasiu i Małgosi. To zupełnie zwyczajna kobieta. Nie, niezupełnie zwyczajna. Dość dziwna ta jej nagła serdeczność... Mogłaby rzucać czary, ale na pewno tylko dobre. Tuppence schyliła nieco głowę i przekroczyła próg domu czarownicy.

W środku było dość ciemno. Pani Perry poprowadziła ją przez ciasne korytarze i kuchnię do salonu, który najwyraźniej pełnił funkcję rodzinnego pokoju dziennego. Nie ma tu nic ekscytującego — myślała Tuppence — to pewnie wiktoriańska przybudówka do głównej części. W poziomie wydaje się dość wąska. Biegący w poprzek korytarz prowadził do rzędu pokoi. Tak, to dość dziwny sposób podziału...

— Proszę usiąść, zaraz przyniosę herbatę.

— Pomogę pani.

— Och, proszę się nie trudzić, to potrwa nie więcej niż minutę. Wszystko jest przygotowane na tacy.

W kuchni rozległ się gwizd — to zapewne czajnik doszedł do kresu wytrzymałości. Pani Perry wyszła z pokoju i rzeczywiście po chwili wróciła z tacą, na której niosła talerz placuszków, słoik dżemu i trzy filiżanki ze spodkami.

— Chyba czuje się pani nieco zawiedziona — zauważyła.

Była to chytra i bardzo bliska prawdy uwaga.

— Ależ nie — skłamała Tuppence.

— Ja na pani miejscu tak bym się czuła. Bo one w ogóle do siebie nie pasują, prawda? Mam na myśli część frontową i tylną. Ale mieszka się wygodnie. Mało pokoi, niezbyt wiele światła, ale za to znaczna różnica w cenie.

— Kto podzielił ten dom i po co?

— Ach, to się stało wiele lat temu! Przypuszczam, że temu, kto to wymyślił, dom się wydawał za duży albo po prostu mu nie odpowiadał. Może potrzebował go tylko na

weekendy? Dlatego zatrzymali te ładne pokoje — jadalnię i salon, dwie sypialnie na górze, łazienkę, a na kuchnię przerobili mały gabinet. Potem zamurowali resztę, na którą składały się dawne kuchnie, staroświeckie zmywalnie i tak dalej, trochę to wyremontowali i tyle.

— Kto mieszka w tej drugiej części? Może przyjeżdżają na weekendy?

— Nie, teraz nikt tam nie mieszka. Proszę wziąć jeszcze jeden placuszek.

— Dziękuję.

— Przynajmniej nikt tu nie przyjeżdżał w ciągu ostatnich dwóch lat. Nawet nie wiem, do kogo to teraz należy.

— A kiedy państwo pierwszy raz tu trafili?

— Bywała tu pewna młoda osoba, podobno aktorka. Tak nam mówiono, ale nie widzieliśmy jej ani razu. Czasem mignęła nam z daleka. Przyjeżdżała w soboty, nocą, po spektaklu, jak sądzę, a w niedzielę wieczorem wyjeżdżała.

— Tajemnicza postać — zauważyła Tuppence zachęcająco.

— Wie pani, właśnie tak o niej myślałam. Wyobrażałam sobie różne historie na jej temat, uważałam ją niemal za Gretę Garbo. No bo zawsze nosiła ciemne okulary i kapelusz osłaniające twarz... Dobry Boże, przecież wciąż mam to na głowie!

Roześmiała się i zdjęła swój dziwaczny kapelusz.

— To do sztuki, którą wystawiamy w parafialnych salach w Sutton Chancellor — wyjaśniła. — Taka tam bajka, przeznaczona głównie dla dzieci. Gram w niej czarownicę.

— Ach! — wykrzyknęła Tuppence, nieco zbita z tropu. — Jak śmiesznie!

— No rzeczywiście, jest śmieszny. W sam raz dla czarownicy, prawda? — Popukała się w podbródek. — Wie pani, mam odpowiednią twarz. Mam nadzieję, że nikt nie zacznie snuć żadnych przypuszczeń. Jeszcze powiedzą, że mam złe oko.

— Nie sądzę, by tak pomyśleli. Pani na pewno jest dobrą czarownicą.

— Cieszę się, że tak pani uważa. Jak już mówiłam, ta aktorka... nie pamiętam w tej chwili jej nazwiska, chyba panna Marchmont, ale może jakoś inaczej... Nie uwierzyłyby pani, co ja sobie o niej wymyślałam. A przecież nawet nie rozmawiałam z nią ani razu. Czasem wydawało mi się, że jest okropnie nieśmiała i nerwowa. Ciągnęli tu za nią reporterzy, ale nigdy ich nie przyjmowała. Albo kiedy indziej — pewnie pani weźmie mnie za idiotkę — wyobrażałam sobie różne złe rzeczy, na przykład, że ona boi się rozpoznania. Może wcale nie była aktorką? Może szukała jej policja? Może to w ogóle jakaś kryminalistka. Takie fantazje bywają bardzo ekscytujące, zwłaszcza kiedy... kiedy widuje się niewielu ludzi.

— Czy nikt tu z nią nie przyjeżdżał?

— No... nie jestem pewna. Oczywiście te ściany działowe... wie pani, te, które zbudowali po podziale domu... są dość cienkie i czasem słychać głosy i tak dalej. Chyba od czasu do czasu przywoziła kogoś na weekend. Jakiegoś mężczyznę. Pewnie dlatego po-

trzebowali takiego cichego miejsca.

— Żonaty... — powiedziała domyślnie Tuppence.

— Tak, mógł to być ktoś żonaty, prawda?

— Albo to był jej mąż. Specjalnie wybrał wiejskie ustronie, bo chciał ją zamordować i może zakopać w ogrodzie.

— Rany! — wykrzyknęła pani Perry. — Pani to ma wyobraźnię! Mnie jakoś nigdy coś takiego nie przyszło do głowy.

— Przypuszczam, że ktoś musiał wszystko o niej wiedzieć. Agenci od nieruchomości, tego rodzaju ludzie.

— Pewnie tak. Ale ja raczej wolę nie wiedzieć, jeśli mnie pani rozumie.

— O tak, doskonale rozumiem.

— Ten dom ma atmosferę, wie pani. To znaczy... ma się wrażenie, że coś się tu może wydarzyć.

— Czy ktoś przychodził do sprzątanania albo innych robót?

— Tu trudno kogoś znaleźć. W pobliżu nie ma nikogo chętnego.

Drzwi na dwór się otworzyły i wszedł wielki mężczyzna, ten sam, który przedtem pracował w ogrodzie. Odkręcił kran w zmywalni, zapewne, żeby umyć ręce, po czym zjawił się w pokoju.

— To mój mąż Amos — przedstawiła go pani Perry. — Amosie, mamy gościa: pani Beresford.

— Witam pana — powiedziała Tuppence.

Amos Perry był wysokim mężczyzną, jeszcze większym i masywniejszym, niż Tuppence z początku myślała. Chociaż poruszał się wolno i dość niezdarnie, miał potężne muskuły.

— Miło mi panią poznać.

Mimo przyjemnego głosu i uśmiechów, Tuppence zastanawiała się przez chwilę, czy ten człowiek jest rzeczywiście, jak to określała, „pozbierany”. Dostrzegła w jego oczach wyraz jakby zdumionej prostoduszności. Ciekawe, czy pani Perry dlatego poszukiwała spokojnego miejsca na odludziu, aby ukryć pewne upośledzenie umysłowe swego męża?

— Przepada za tym ogrodem — powiedziała pani domu.

W obecności jej męża rozmowa zaczęła się rwać. Pani Perry nadal dużo gadała, ale jej zachowanie jakby się zmieniło. W głosie pojawiła się pewna nerwowość, poza tym szczególną uwagę poświęcała teraz mężowi. Zachęca go — myślała Tuppence — i to w taki sposób, jak matka, która próbuje wciągnąć do rozmowy syna. Stara się go przedstawić w jak najlepszym świetle i trochę się denerwuje, że syn może nie sprostać wymaganiom. Tuppence dopiła herbatę i wstała.

— Muszę już iść. Dziękuję, pani Perry, bardzo dziękuję za gościnę.

— Przedtem musi pani zobaczyć ogród — odezwał się pan Perry. — Chodźmy, pokażę pani.

Kiedy wyszli, poprowadził ją w odległy kąt, ten sam, w którym przedtem kopał.

— Ładne kwiaty, co? Posadziłem tu trochę staromodnych róż. Proszę zobaczyć tę w biało-czerwone prążki.

— „Komendant Beaurepaire” — powiedziała Tuppence.

— My nazywamy ją „York i Lancaster”. Wojna Dwóch Róż*. Pięknie pachnie, prawda?

— Owszem.

— Piękniej niż te nowoczesne herbaciane hybrydy.

Ogród na swój sposób mówił sam za siebie. Chwasty rosły bez żadnej kontroli, ale same kwiaty były wypielegnowane starannie, chociaż po amatorsku.

— Jaskrawe kolory — mówił pan Perry. — Lubię jaskrawe kolory. Ludzie często zachodzą oglądać ten ogród. Cieszę się, że pani też przyszła.

— Bardzo panu dziękuję. Myślę, że zarówno ogród, jak dom są naprawdę miłe.

— Powinna pani obejrzeć i drugą stronę.

— Czy ma być wynajęta albo sprzedana? Pańska żona mówiła, że nikt tam teraz nie mieszka.

— My nic nie wiemy. Nie widzieliśmy nikogo, nie ma też żadnej tabliczki ani nikt nie przyjeżdża oglądać.

— Miło byłoby tam zamieszkać.

— A pani szuka domu?

— Tak — odparła Tuppence, z miejsca podejmując decyzję. — Tak, rzeczywiście rozglądamy się za jakimś małym wiejskim domostwem, żeby się tam przenieść, kiedy mój mąż przejdzie na emeryturę. To ma nastąpić w przyszłym roku, więc jest jeszcze mnóstwo czasu.

— Tu u nas jest bardzo cicho, jeśli na tym pani zależy.

— Chyba zapytam w tutejszej agencji. Czy państwo tu trafili w ten właśnie sposób?

— Przeczytaliśmy ogłoszenie w gazecie. Dopiero potem poszliśmy do agencji.

— W Sutton Chancellor, tak? Tak się nazywa wasza miejscowość?

— Sutton Chancellor? Nie, agencja jest w Market Basing. Russel & Thompson, tak się nazywają. Może pani tam pojechać i zapytać.

— Tak, mogę tak zrobić. Daleko stąd do Market Basing?

— Dwie mile do Sutton Chancellor i potem jeszcze siedem. Z Sutton Chancellor jest porządna szosa, ale tu, w okolicy, same wąskie kręte drogi.

— Rozumiem. No cóż, do widzenia, panie Perry. I jeszcze raz dziękuję za pokazanie

*W wojnie dwóch Róż (1455-85) o koronę angielską walczyły rody Lancasterów i Yorków. Pierwsi mieli w herbie różę czerwoną, drudzy białą

ogrodu.

— Chwileczkę. — Przystanął, ściał ogromną peonię i ujawszy klapę płaszcza Tuppence, włożył jej kwiat do butonierki. — O! Teraz jest ładnie.

Tuppence na chwilę ogarnęła panika. Ten dobroduszny, ślamazarny olbrzym nagle ją przestraszył. Patrzył na nią z góry, uśmiechał się... ale jakoś drapieźnie, niemal chytrze.

— Ładnie na pani wygląda — powtórzył. — Ładnie.

Dobrze, że nie jestem młodą dziewczyną — pomyślała Tuppence. — Nie wiem, czybym wtedy chciała, żeby przypinał mi kwiat. Szybko się pożegnała i odeszła.

Drzwi do domu były otwarte, więc zajrzała tam, żeby pożegnać też panią Perry. Do bra czarownica stała przy kuchennym zlewie i myła naczynia po podwieczorku. Tuppence automatycznie sięgnęła po ścierkę.

— Jeszcze raz bardzo dziękuję. Byliście oboje tacy mili i gościnni... A to co takiego?!

Zza kuchennej ściany, tam gdzie dawniej stał staromodny piec, dobiegały dzikie wrzaski, piski i odgłosy drapania.

— To pewnie kawka — wyjaśniła pani Perry. — Musiała wpaść do komina w tamtej części, to się zdarza o tej porze roku. W zeszłym tygodniu jedna wleciała do naszego. Wie pani, one zakładają w kominach gniazda.

— Co, w tym drugim domu?

— Właśnie. O, znowu. — Rzeczywiście znów rozległ się potworny krzyk przerażonego ptaka. — Tam jest pusto, nikomu to nie przeszkadza. Trzeba przeczyścić kominy, i tyle.

Gwałtowne odgłosy nie ustawały.

— Biedny ptaszek — westchnęła Tuppence.

— Wiem. Teraz już się nie wydostanie.

— Chce pani powiedzieć, że tam umrze?

— No tak. Już raz jeden wpadł do nas, jak mówiłam, całkiem młody. Wypuściliśmy go i odleciał. A drugi nie przeżył.

Ptaka nadał piszczął jak oszalały.

— Ach — powiedziała Tuppence. — Chciałabym się tam dostać.

W drzwiach ukazał się pan Perry.

— Coś się stało? — zapytał, patrząc to na jedną, to na drugą.

— Tam jest ptak, Amosie. Chyba w kominie przy salonie. Słyszysz?

— Aha. Kawka wypadła z gniazda.

— Dobrze byłoby się tam dostać.

— Ależ nic nie da się zrobić. Ona umrze ze strachu, jeśli nie z czego gorszego.

— I będzie śmierdziec — podsumowała pani Perry.

— Tutaj niczego nie poczujesz. Macie miękkie serca — znów wodził oczami od jednej do drugiej. — Jak to kobiety. Skoro chcecie, to ją wyciągniemy.

— Jak? Czyżby któreś okno było otwarte?

— Przejdziemy drzwiami.

— Jakimi?

— Zewnętrzny, od podwórza. Klucz wisi razem z innymi.

Wyszedł na dwór i w drugim końcu domu otworzył małe drzwi. Była to właściwie szopa na narzędzia, ale prowadziły z niej drzwi do drugiego budynku. Obok wisiało na ścianie kilka zardzewiałych kluczy.

— Ten pasuje — powiedział pan Perry.

Zdjął wybrany klucz i włożył go do dziurki. Po dłuższych zmaganiach udało mu się obrócić go ze zgrzytem.

— Już tu kiedyś wchodziłem. Usłyszałem, że leje się woda, ktoś zapomniał porządnie zakręcić kran.

Drzwi prowadziły do małego pokoju ze zlewem i półkami, na których wciąż stały przeróżne wazonny.

— Kwiatowy pokój, wcale mnie to nie dziwi. Specjalny pokój do układania kwiatów. Widzicie? Zostało mnóstwo wazonów.

W kwiatowym pokoju były drugie drzwi — nawet nie zamknięte na klucz. Zupełnie jakby się przechodziło do innego świata — myślała Tuppence. Podłogę korytarza pokrywał gruby dywan. Parę kroków dalej przez półotwarte drzwi dobiegały ptasie wrzaski. Pan Perry przepuścił przodem swoją żonę i Tuppence.

Okiennice były pozamykane, ale jedna się oblużowała i dzięki temu do pokoju wpadało trochę światła. Na podłodze leżał wytarty, ale piękny szarozielony dywan. Pod ścianą stał regał, ale nie było ani krzeseł, ani stołów. Meble z pewnością wywieziono, a zasłony i dywany zostały dla następnych lokatorów.

Pani Perry podeszła do kominka. Ptak leżał na ruszcie, miotając się i piszcząc jak oszalały. Podniosła go i powiedziała do męża:

— Otwórz okno, Amosie.

Posłusznie odciągnął okiennicę i przekręcił klamkę. Potem uniósł dolną szybę, która ustąpiła ze zgrzytem. Gdy tylko okno się otworzyło, pani Perry wypuściła więźnia. Kawka odleciała ciężko na trawnik i podskoczyła kilka razy.

— Lepiej ją zabić — zauważył pan Perry. — Coś z nią jest nie w porządku.

— Zostaw na razie — zaprotestowała jego żona. — Ptaki szybko wracają do siebie, to tylko strach ją poraził.

I rzeczywiście, po paru minutach kawka poderwała się z piskiem i odfrunęła.

— Mam tylko nadzieję — rzekła Alice Perry — że nie wpadnie tam znowu. Ptaki są pełne sprzeczności. Nie wiedzą, co dla nich dobre. Wpadają do pokoju, a potem nie po-

trafią wyfrunąć o własnych siłach. Ach — dodała z niesmakiem — co za chlew!

Wszyscy wpatrywali się w ruszt. Razem z ptakiem opadła masa sadzy, różnych śmieci, nawet kawałki cegieł. Najwyraźniej komin był w fatalnym stanie i pilnie wymagał remontu.

— Ktoś tu powinien zamieszkać — zauważyła pani Perry, rozglądając się dookoła.

— Ktoś powinien o to zadbać — zgodziła się z nią Tuppence. — Może jakiś budowniczy? Inaczej dom popadnie w ruinę.

— Prawdopodobnie dach przecieka i górne pokoje są pozalewane. Proszę spojrzeć na sufit.

— Ach, co za wstyd! — wykrzyknęła Tuppence. — Żeby zrujnować taki dom... Ten pokój naprawdę jest piękny.

Razem z panią Perry poddały go oględzinom. Dom zbudowany w roku 1790 prezentował całą pełnię wdzięku budowli z tego okresu. Na spłowiałych tapetach zachował się jeszcze oryginalny wzór wierzbowych listków.

— Tak, teraz to ruina — powiedział pan Perry.

Tuppence szturchnęła śmieci na ruszcie.

— Trzeba to wyczyścić — stwierdziła pani Perry.

— Ale kto zechce zawracać sobie głowę cudzym domem? — spytał jej mąż. — Lepiej zostaw to, kobieto. Jutro rano będzie w tak samo złym stanie.

Tuppence odsunęła czubkiem stopy kilka cegieł.

— Ooch! — wykrzyknęła z obrzydzeniem.

W kominku leżały dwa martwe ptaki. Na pierwszy rzut oka musiały tkwić tam od dłuższego czasu.

— To z tego gniazda, które spadło parę tygodni temu. Dziwne, że bardziej nie śmierdzi — rzekł pan Perry.

— A to co? — spytała Tuppence.

Poruszyła nogą coś na pół ukrytego w śmieciach. Potem pochyliła się i podniosła tę rzecz.

— Niech pani nie dotyka martwego ptaka! — ostrzegła pani Perry.

— To nie ptak. Coś jeszcze musiało wpaść tu przez komin... Lalka — obwieściła Tuppence, nie odrywając wzroku od znaleziska. — Dziecięca lalka.

Teraz przyjrzeni się wszyscy. Obszarpany korpusik w podartym ubranku z głową zwisającą smętnie z ramion rzeczywiście był kiedyś lalką, której zostało już tylko jedno szklane oko.

— Ciekawe — powiedziała Tuppence. — Ciekawe, w jaki sposób lalka mogła trafić do komina. To wprost zadziwiające.

Rozdział VIII

Sutton Chancellor

Po opuszczeniu domu nad kanałem Tuppence jechała wąskim i krętym traktem, który według zapewnień, miał ją doprowadzić do wsi Sutton Chancellor. Droga wiodła przez odludzie, jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnych domów, tylko bramki na pola, skąd odchodziły w głąb błotniste ścieżki. Mało kto tędy przejeżdżał — raz pojawił się traktor, potem ciężarówka z wymalowanym gigantycznym bochenkiem chleba głosiła z dumą całemu światu, że wiezie „Rozkosz matki”. Strzelista wieża, jaką Tuppence zauważyła wcześniej, kompletnie zniknęła, aby w końcu wyłonić się nagle i niespodziewanie zza pasma buków. Tuppence zerknęła na licznik; od domu nad kanałem ujechała zaledwie dwie mile.

Był to przyjemny stary kościół otoczony sporym cmentarzem. Przy drzwiach rósł samotny cis.

Tuppence zostawiła samochód przed bramą, weszła na dziedziniec i dłuższą chwilę stała, przyglądając się kościołowi i cmentarzowi. Potem podeszła do drzwi, zaokrąglonych na górze w normański łuk i poruszyła ciężką klamką. Okazało się, że nie są zamknięte na klucz, więc wsunęła się do środka.

Wnętrze nie przedstawiało się ciekawie. Niewątpliwie kościół miał swoje lata, ale w wiktoriańskich czasach poddano go gorliwemu myciu i skrobaniu. Jaskraworóżowe ławki, bijąca w oczy czerwień i ostry błękit okien zrujnowały do reszty starodawny urok. Kobieta w średnim wieku, ubrana w tweedowy kostium, układała kwiaty w miedzianych wazonach wokół pulpitu; ołtarz był już przyozdobiony. Obejrzała się na Tuppence i obrzuciła ją badawczym spojrzeniem. Pani Beresford wędrowała wolno nawą, przyglądając się tablicom pamiątkowym na ścianie. W najwcześniejszych latach najliczniej reprezentowana była rodzina Warrenderów. Wszyscy z Opactwa, Sutton Chancellor. Kapitan Warrender, Sara Elizabeth Warrender, ukochana żona George'a Warrendera. Nowsza tablica upamiętniała śmierć Julii Starke, jeszcze jednej ukochanej żony, tym

razem Filipa Starke'a, także z Opactwa, Sutton Chancellor — czyli że najwyraźniej Warrenderowie wymarli. Żaden z nich nie wydawał się specjalnie interesujący. Tuppence opuściła kościół i zaczęła obchodzić go z zewnątrz. Od tej strony wydał się jej bardziej atrakcyjny niż od środka. Wczesny gotyk — pomyślała, przypominając sobie znajome terminy związane z kościelną architekturą. Nie przepadała specjalnie za tym okresem.

Kościół był pokaźnych rozmiarów, to znaczy, że Sutton Chancellor musiało kiedyś stanowić ważniejszy niż obecnie ośrodek prowincjonalnego życia. Tuppence zostawiła samochód tam, gdzie stał, i poszła pieszo do wsi. Był tam sklepik, poczta i około tuzina niedużych domków. Parę z nich miało dachy pokryte strzechą, reszta wyglądała zupełnie zwyczajnie i nieciekawie. Przy końcu wioskowej ulicy przycupnęło nieśmiało sześć budynków należących do samorządu. Napis na mosiężnej tabliczce na drzwiach głosił: „Artur Thomas, kominiarz”.

Tuppence zastanawiała się, czy to możliwe, by jakaś odpowiedzialna agencja nieruchomości chciała narzucać swe usługi właścicielom domu nad kanałem, który jednak wyraźnie ich potrzebował. Jak głupio z jej strony, że nie zapytała nawet o nazwę posiadłości.

Szła wolno z powrotem w stronę kościoła i samochodu, przystając czasem, by przyjrzeć się uważniej cmentarzowi. Podobał się jej. Nowych nagrobków było zaledwie kilka, większość postawiono jeszcze w czasach wiktoriańskich i dawniej — zdążyły obrosnąć mchem i nabrać patyny. Te stare wydawały się ciekawsze; na szczycie niektórych tablic stały posągi aniołów ozdobionych wieńcami. Wędrowała wśród grobów, odczytując inskrypcje. Znowu Warrenderowie. Mary Warrender lat 47, Alice Warrender lat 33, pułkownik John Warrender, poległy w Afganistanie. Liczne dzieci Warrenderów pozostawiły po sobie głęboki żal i kilka wersów, wyrażających pobożne nadzieje. Ciekawe, czy ktoś z tej rodziny jeszcze żyje? Bo pochówki wyraźnie się skończyły. Tuppence nie znalazła ani jednego grobu z datą pogrzebu późniejszą niż rok 1843. Okrążywszy duży cis, wpadła znieca na starszego duchownego, pochylonego nad rzędem starych grobów nieopodal muru za kościołem. Na jej widok pastor się wyprostował.

— Dzień dobry — powiedział uprzejmie.

— Dzień dobry. Przyglądałam się właśnie kościołowi.

— Zrzuńowały go te wiktoriańskie innowacje.

Miał przyjemny głos i miły uśmiech. Wyglądał na siedemdziesiąt lat, ale Tuppence uznała, że nie jest aż tak zaawansowany wiekiem, choć bez wątplenia ma reumatyzm i nieco niepewnie trzyma się na nogach.

— W tamtych czasach było w obiegu mnóstwo pieniędzy. Zaangażowano zbyt wielu majstrów, ale ci, choć niewątpliwie pobożni, nie mieli nic wspólnego ze sztuką. Kompletny brak gustu. Widziała pani wschodnie okno?

— Tak. Okropieństwo.

— Całkowicie podzielam pani zdanie. Jestem tu pastorem — dodał niepotrzebnie.

— Tak właśnie przypuszczałam — odrzekła grzecznie Tuppence. — A od jak dawna?

— Dziesięć lat, moja droga. To miła parafia. Ludzie także są mili. Jestem tu bardzo szczęśliwy... choć parafianie nie przepadają za moimi kazaniami — dodał ze smutkiem. — Robię, co w mojej mocy, ale przecież nie będę udawał nowoczesnego. — Wskazał jej miejsce na pobliskim nagrobku. — Proszę usiąść.

Tuppence z wdzięcznością przyjęła propozycję. Pastor usadowił się na sąsiednim grobie.

— Nie mogę długo stać — wyjaśnił przepraszająco. — Czy mogę pani w czymś pomóc, czy też po prostu przejeżdżała pani tędy?

— Owszem, przejeżdżałam. Pomyślałam jednak, że rzucę okiem na kościół. Prawdę rzekłszy, pogubiłam się trochę na tych drogach.

— Tak, tak. Tu bardzo trudno gdzieś trafić. Wiele drogowskazów jest poniszczonych, wie pani, a tutejszy samorząd nie dba, tak jak powinien, o naprawy. Zresztą nie wiem, czy to takie ważne. Ludzie, którzy tędy jeżdżą, raczej nie zmiierzają do jakiegoś konkretnego celu. Tacy trzymają się głównych szos. — I po chwili dodał: — Straszne, zwłaszcza ta nowa autostrada. Przynajmniej ja tak uważam: hałas, szybkość, nierozważna jazda... Och, dobrze już, proszę nie zważać na moje gadanie. Stary tetryk ze mnie. Nigdy pani nie zgodnie, co ja tu robię.

— Widzę, że studiuje ksiądz napisy na nagrobkach. Czy chodzi o jakiś akt wandalizmu? Szalały tu nastolatki?

— Nie. Rzeczywiście, w dzisiejszych czasach to przede wszystkim przychodzi nam na myśl. Bo przecież te poniszczone budki telefoniczne i inne postęпки różnych młodych wandalii... Biedne dzieciaki, nie potrafią wymyślić nic lepszego, tak sędzę. Uważają, że nie ma nic bardziej zabawnego niż coś zdemolować. Smutne, co? Bardzo smutne. Ale nie, u nas nie zdarzają się tego rodzaju szkody. Tutejsi chłopcy to w zasadzie miłe smyki. Ja zaś szukam grobu pewnego dziecka.

Tuppence poruszyła się niespokojnie.

— Dziecka?

— Tak. Ktoś do mnie napisał w tej sprawie. Niejaki major Waters zapytał, czy przypadkiem nie leży tu dziecko o tym nazwisku. Przejrzałem oczywiście księgi parafialne, ale nie znalazłem nikogo takiego, więc teraz rozglądam się po cmentarzu. Pomyślałem sobie, że może ten, kto pisał, pomylił nazwisko.

— A jak dziecko miało na imię?

— Nie wiedział. Może Julia, po matce.

— W jakim była wieku?

— Też nie był pewien. Dziwna ta cała sprawa. Już myślałem, że chodzi o inną wioskę.

Nie pamiętam, by żyli tu jacyś Watersowie.

— A może chodzi o Warrenderów? — podsunęła Tuppence, przywołując w pamięci napisy w kościele. — W kościele jest mnóstwo tablic z tym nazwiskiem, na cmentarzu także są ich groby.

— Ach, ta rodzina już wymarła. Mieli tu piękną posiadłość, stare, czternastowieczne Opactwo. Spaliło się... niemal sto lat temu, więc jeśli jacyś Warrenderowie zostali przy życiu, to dawno stąd wyjechali. Na miejscu Opactwa pewien bogaty człowiek zbudował w wiktoriańskich czasach nowy dom. Bardzo brzydki, jak powiadają, ale komfortowy. Bardzo wygodny, łazienki i tak dalej. Myślę, że dziś to się liczy.

— Wydaje mi się dziwne — zauważyła Tuppence — że ktoś listownie pyta o grób dziecka. Jakiś krewny...?

— Ojciec dziecka. Jedna z tych wojennych tragedii, tak sądzę. Małżeństwo się rozpadło, kiedy mąż służył za granicą, żona odeszła z innym mężczyzną. Zostało dziecko, którego nigdy nie widział. Dziewczynka, gdyby żyła, byłaby dziś dorosła, miałaby jakieś dwadzieścia, może więcej lat.

— Późno się zabrał do tych poszukiwań, nieprawdaż?

— Najwyraźniej dopiero co się dowiedział, że w ogóle dziecko istniało. Informacja dotarła do niego przez przypadek. Dziwna historia, cała ta sprawa.

— Dlaczego uważa, że dziecko jest tu pochowane?

— Zdaje się, że ktoś, kto zetknął się z jego żoną podczas wojny, powiedział mu, że mieszkała w Sutton Chancellor. Zdarza się, wie pani. Człowiek spotyka znajomego, którego nie widział od lat, i nagle dowiaduje się czegoś, czego nie dowiedziałby się w żaden inny sposób. Ale ona na pewno teraz tu nie mieszka. Nie ma nikogo o takim nazwisku, odkąd tu przyjechałem, w okolicy także nie. Oczywiście matka dziecka może występować pod innym nazwiskiem... ale, jak rozumiem, ojciec zatrudnił adwokatów i prywatnych detektywów, więc pewnie w końcu czegoś się dowie. Zabierze mu to trochę czasu.

— Czy to biedne dziecko było pani... — mruknęła do siebie Tuppence.

— Słucham drogą panią?

— Nic, nic. Ktoś kiedyś zadał mi pytanie: „Czy to biedne dziecko było pani?”. Trochę mnie to zaskoczyło. Ale nie sądzę, by staruszka, która je zadała, wiedziała, o czym mówi.

— Wiem, wiem. Ze mną często bywa podobnie. Mówię coś i tak naprawdę nie wiem, co miałem na myśli. To strasznie przykre.

— Spodziewam się, że ksiądz wie wszystko o obecnych mieszkańcach?

— Cóż, nie ma ich tak dużo. A czemu pani pyta? Chodzi o kogoś konkretnego?

— Zastanawiam się, czy nie mieszkała tu kiedyś niejaka pani Lancaster.

— Lancaster? Nie, nie przypominam sobie tego nazwiska.

— I jest tu pewien dom... Jechałam dziś tędy, ot, tak, bez celu, po prostu tam, gdzie mnie prowadziły te kręte drogi...

— Wiem, są bardzo ładne. I można tu znaleźć naprawdę rzadkie gatunki. Chodzi mi o rośliny. W tych żywopłotach, wie pani. Teraz nikt nie zrywa kwiatów, nie zaglądały tu żadni turyści i tak dalej. Ale owszem, trafiają się bardzo rzadkie okazy. Na przykład bodziszek porozcinany...

— Nad kanałem jest dom. — Tuppence nie dawała się zepchnąć na botaniczne manowce. — Koło takiego łukowatego mostku, ze dwie mile stąd. Ciekawi mnie, jak się nazywa.

— Zaraz, zaraz... Kanał... Mostek... No, jest tam kilka domów. Na przykład farma Merricot.

— To nie jest farma.

— Ach, więc pewnie chodzi o dom Perrych. Amosa i Alice Perrych.

— Zgadza się, państwa Perrych.

— Ona dość dziwnie wygląda, co? Rzuca się w oczy. Bardzo interesująca, ma taką średniowieczną twarz. Będzie grać czarownicę w sztuce, którą wystawiamy z dziećmi ze szkoły. Bo i wygląda jak czarownica, czyż nie?

— Tak, ale dobra.

— Ma pani absolutną rację, moja droga. Rzeczywiście, dobra czarownica.

— Natomiast on...

— No tak, biedne chłopisko. Nie ma wszystkich klepek w porządku, ale jest nieszkodliwy.

— Byli bardzo mili. Zaprosili mnie na herbatę. Ale zapomniałam ich spytać o nazwę domu, a chciałabym ją poznać. Zajmują tylko jedną połowę, prawda?

— Tak, w dawnej części kuchennej. A dom nazywano Nad Wodą, choć przypuszczam, że dawniejsza nazwa brzmiała Nad Łąką. Dla mnie tak jest ładniej.

— A do kogo należała druga połowa?

— Cóż... na początku wszystko należało do Bradleyów. To było wiele lat temu, trzydzieści, może czterdzieści. Potem dom sprzedano, raz, potem drugi raz, a potem przez dłuższy czas stał pusty. Kiedy ja tu nastąpiłam, używano go tylko podczas weekendów. Przyjeżdżała tu pewna aktorka... zdaje się, panna Margrave, ale nie za często, ot tak, od czasu do czasu. Nigdy jej nie poznałam, nie przychodziła do kościoła, ale widywałam ją z daleka. Śliczne stworzenie...

— Kto teraz jest właścicielem? — uparcie indagowała Tuppence.

— Nie mam pojęcia. Może nadal ona? Państwo Perry swoją część tylko wynajmują.

— Rozpoznałam ten dom od razu, gdy tylko go zobaczyłam. Bo wie ksiądz, mam go na obrazie.

— Naprawdę? To na pewno Boscomb czy Boscobel, nie pamiętam dokładnie. Korn-

walijczyk, bardzo znany artysta, ale już chyba nie żyje. Tak, on tu często przyjeżdżał, szkicował wszystko, co się dało. Namalował też parę olejów, niektóre z nich to bardzo ładne pejzaże.

— Ten akurat podarowano mojej ciotce, która miesiąc temu zmarła. Ofiarodawczynią była niejaka pani Lancaster. Dlatego zapytałam o to nazwisko.

— Lancaster? Lancaster. Nie, nie pamiętam... Ach, ale jest tu ktoś, kogo musi pani zapytać. Nasza droga panna Bligh. Bardzo aktywna, wie wszystko o parafii, wszystkim tu kieruje: Instytut Kobiet, skauci, i tak dalej. Proszę ją zapytać, naprawdę jest bardzo aktywna.

Pastor westchnął. Aktywność pani Bligh zdawała się go martwić.

— Nellie Bligh, tak ją nazywają we wsi. Chłopcy wyśpiewują za jej plecami: „Nellie Bligh, Nellie Bligh”, ale to nie jest jej prawdziwe imię. Naprawdę nazywa się Gertruda czy Geraldina.

Panna Bligh, kobieta w tweedowym kostiumie, którą Tuppence widziała w kościele, zbliżała się właśnie do nich energicznym krokiem. Wciąż miała w ręku konewkę. Świdrowała Tuppence wzrokiem z niekłamana ciekawością, przyspieszając wciąż kroku, a rozmowę zaczęła, zanim się jeszcze z nimi zrównała.

— Skończyłam! — wołała wesoło. — Miałam dziś trochę ruchu, ani słowa! Oczywiście, jak ksiądz wie, zwykle sprzątam kościół rano. Ale dziś wypadło mi nadzwyczajne zebranie w sali parafialnej i nie uwierzyłby ksiądz, ile to czasu zajęło! Tak strasznie się kłócili. Doprawdy, czasem myślę, że co poniektórzy protestują przeciwko różnym rzeczom po prostu dla zabawy. Pani Partington była wyjątkowo irytująca. Domagała się pełnej dyskusji nad każdym szczegółem, zastanawiała się, czy zebraliśmy dostatecznie dużo ofert od różnych firm. Według mnie cała sprawa i tak niewiele ma kosztować, więc naprawdę jeden szyling mniej czy więcej nie gra roli. I na Burkenheadach zawsze można było polegać... Naprawdę nie sądzę, że powinien ksiądz siadać na tym grobie.

— Chce pani powiedzieć, że to brak szacunku?

— Ależ nie, w ogóle nie to miałam na myśli. Chodzi mi o kamień, bo widzi ksiądz, tu jest wilgoć, a to niedobrze na księdza reumatyzm... — Zerknęła z ukosa na Tuppence.

— Pozwoli pani przedstawić sobie pannę Bligh — zreflektował się duchowny. — To jest pani... pani...

— Beresford — dokończyła Tuppence.

— Ach, tak. Widziałam panią w kościele, prawda? Miałam chęć podejść i zwrócić pani uwagę na kilka ciekawych elementów, ale tak strasznie się śpieszyłam, żeby skończyć robotę, że...

— Powinnam pani pomóc — rzekła Tuppence słodziutkim głosem. Ale nie na wiele bym się przydała, bo widziałam, że pani dokładnie wie, gdzie wstawić każdy kwiatek.

— Cóż, miło, że pani tak mówi, ale to absolutna prawda. Układałam w tym kościele

bukiety od... ach, sama już nie pamiętam, od kiedy. Pozwalamy dzieciom ze szkoły na przygotowywanie własnych wiązanek polnych kwiatów podczas świąt, chociaż oczywiście biedactwa nie mają o tym pojęcia. Osobiście uważam, że mały instruktaż wyszedłby tylko na dobre, ale panna Peake nigdy do tego nie dopuści. Jest taka zasadnicza, mówi, że to psuje całą inicjatywę. Zatrzymała się pani tutaj?

— Jechałam do Market Basing — wyjaśniła Tuppence. — Może mogłaby mi pani polecić tam jakiś spokojny hotel?

— No... chyba się pani nieco zawiedzie. To tylko targowe miasteczko, kompletnie nie przystosowane do samochodowego ruchu. Błękitny Smok ma dwie gwiazdki, ale nie sądzę, by to cokolwiek znaczyło. Może lepsze byłoby Jagnię i Chorągiewka, jest tam ciszej. Czy chodzi o dłuższy pobyt?

— Ach, nie, najwyżej dwa dni. Chcę się rozejrzeć po okolicy.

— Obawiam się, że niewiele tu do oglądania. Nie ma ciekawych zabytków ani nic w tym rodzaju — wtrącił pastor. — Ot, zwykły rolniczy region, ale spokojny, bardzo spokojny. Jak już pani mówiłem, rośnie tu trochę interesujących kwiatów.

— Tak, tak. Słyszałam o tym i koniecznie chcę zebrać parę gatunków przy okazji małego polowania na jakiś dom.

— O, to ciekawe — zainteresowała się panna Bligh. — Zamierza pani osiedlić się w tych stronach?

— Cóż... Jeszcze nie zdecydowaliśmy się z mężem na jakąś konkretną okolicę. Nie musimy się śpieszyć, bo on dopiero za półtora roku przejdzie na emeryturę. Ale nie zaszkodzi rozejrzeć się trochę zawczasu. Ja osobiście lubię zatrzymać się w jednym miejscu na jakieś pięć dni, zrobić sobie listę małych posiadłości przeznaczonych na sprzedaż, a potem obejrzyć wszystkie po kolei. Bo jechać aż z Londynu, żeby zobaczyć raptem jeden dom, to nazbyt męczące.

— O, tak. A ma pani tu samochód?

— Mam i właśnie jutro wybieram się do agencji w Market Basing. Przypuszczam, że w tej wiosce nie znajdę żadnego noclegu?

— W zasadzie jest pani Copleigh — powiedziała z wahaniem panna Bligh. — Przyjmuje gości na lato, wie pani. Pokoje ma idealnie i czyste. Oczywiście oferuje tylko noclegi ze śniadaniem i może lekki posiłek wieczorem. Ale przyjmuje najwcześniej od sierpnia, no, ostatecznie lipca.

— Może spróbuję się dowiedzieć.

— To bardzo zacna kobieta — oświadczył pastor. — Tylko nie przestaje gadać ani na chwilę. Jej język jest w ciągłym ruchu.

— W takich małych wioskach zawsze się dużo plotkuje — dodała panna Bligh. — Może lepiej będzie, jeśli pomogę pani Beresford i sama zaprowadzę ją do pani Copleigh. Zorientujemy się, czy są jakieś szanse.

— To bardzo uprzejmie z pani strony — ucieszyła się Tuppence.

— Więc chodźmy. Widzę, że nadal ksiądz szuka? To smutna misja i raczej niezbyt owocna. Prawdę rzekłszy, sama prośba wydaje mi się bez sensu. No, do widzenia.

Tuppence pożegnała się z pastorem i obiecała, że w razie potrzeby chętnie mu pomoże.

— Mogę bez trudu spędzić ze dwie godziny wśród grobów. Mam bardzo dobry wzrok, jak na mój wiek. Czy chodzi tylko o nazwisko Waters?

— Niezupełnie. Liczy się także wiek. Dziecko mniej więcej siedmioletnie. Dziewczynka. Major Waters uważa, że jego żona mogła zmienić nazwisko i wtedy dziecko także występowałoby pod tym nowym. Ale sam go nie zna, więc dlatego to takie trudne.

— Według mnie, wręcz niemożliwe — stwierdziła panna Bligh. — Nie powinien ksiądz przyjmować takich zobowiązań. To niegodziwość żądać czegoś takiego.

— Ten biedak wydawał się taki zmartwiony... I sama historia jest smutna, z tego, co zrozumiałem. Ale nie będę pań zatrzymywał.

Starając się nadażyć za swą przewodniczką, Tuppence myślała, że wprawdzie pani Copleigh może mieć opinię gaduły, ale na pewno nie jest w stanie przegadać panny Bligh, z której ust płynął nieprzerwany potok zdań tyleż wartkich, co kategorycznych.

Domek pani Copleigh okazał się ładny i przestronny. Cofnięty nieco w stosunku do głównej ulicy, miał od frontu wypielegnowany ogród pełen kwiatów, pobielony schodek przed wejściem i wypolerowaną mosiężną klamkę. Sama gospodyni wydała się Tuppence postacią żywcem wyciętą z kart książek Dickensa: była bardzo niska i okrągła, więc miało się wrażenie, że się toczy niczym piłka, a nie idzie. Miała bystre, ruchliwe oczy, jasne włosy pozwijane w „kiełbaskowe” loki i wprost kipiała energią. Z początku nieco się wahała:

— No... zwykle tego nie robimy, wie pani. Powiedzieliśmy sobie z mężem: „Tylko letnicy, a to zupełnie co innego”, teraz każdy bierze letników, jeśli tylko może. I oczywiście, jeśli musi. Ale nie o tej porze roku, co to, to nie. Dopiero w lipcu. No, ale skoro chodzi tylko o parę dni... i jeśli pani nie przeszkodzą pewne niedogodności...

Tuppence zapewniła ją, że nie dba o „pewne niedogodności”. Poddawszy przybyłą dokładnym oględzinom, przy czym potok słów nie ustawał ani na chwilę, gospodyni wyraziła przypuszczenie, że gdyby kandydatka zechciała obejrzeć pokój, ewentualnie dałoby się coś zrobić.

W tym momencie panna Bligh była zmuszona się wycofać, czego mocno żałowała, gdyż nie zdążyła wyciągnąć z Tuppence wszystkich informacji, takich jak: skąd pochodzi, ile ma lat, co robi jej mąż, czy mają dzieci i wielu innych. Niestety miała w swoim domu zebranie, któremu zamierzała przewodniczyć, i drżała na samą myśl, że ktoś zajmie jej miejsce.

— Na pewno wszystko będzie w porządku — zapewniła Tuppence na odchodnym.

— Pani Copleigh świetnie się panią zaopiekuje. A co z samochodem?

— Och, zaraz go przyprowadzę. Pani Copleigh mi powie, gdzie najlepiej zaparkować. Może zostawię go na ulicy, bo nie jest bardzo wąska?

— Mój mąż ma lepsze rozwiązanie — rzekła pani Copleigh. — Postawi go pani na polu. To tylko kawałek dalej boczną uliczką. Jest tam nawet szopa, do której można wjechać.

Ponieważ przynajmniej ta sprawa została załatwiona w duchu wzajemnej życzliwości, panna Bligh pośpieszyła na swoje spotkanie. Do uzgodnienia pozostała jeszcze kwestia wieczornego posiłku. Tuppence zapytała, czy we wsi jest jakiś pub.

— Och, nie ma ani jednego miejsca odpowiedniego dla pań. Ale jeśli wystarczą pani ze dwa jajka, plasterek szynki, trochę chleba z domowym dżemem...

Tuppence oświadczyła, że to wspomniały posiłek. Pokój był mały, ale wesoły i przyjemny, z tapetą w pączki róż, wygodnym na oko łóżkiem. Wszystko lśniło niepokalaną czystością.

— Tak, panno Beresford, to przyjemna tapeta — przyznała pani Copleigh, która uparcie nie przyjmowała do wiadomości stanu cywilnego Tuppence. — Wybraliśmy ją, bo może jakaś para nowożeńców zechce spędzić tu miodowy miesiąc. Chodzi o tę romantyczną atmosferę, jeśli wie pani, co mam na myśli.

Tuppence zgodziła się, że romantyczna atmosfera jest bardzo pożądana.

— Teraz rzadko kiedy wyjeżdżają na miodowy miesiąc, znaczy się, młode pary. Nie mają takich nawyków. Większość oszczędza na dom albo robi przedpłaty. Inni znów kupują meble do wynajętych mieszkań i już nic im nie zostaje na szykowne podróże. Ostrożni są ci młodzi, nie szastają pieniędzmi.

Pani Copleigh poczępała na dół, nie przestając tokować po drodze. Tuppence położyła się na łóżku w zamiarze odbycia krótkiej drzemki po bądź co bądź męczącym dniu. Mimo to wiązała z panią Copleigh wielkie nadzieje. Czuła, że gdy już porządnie wypocznie, potrafi skierować rozmowę na bardziej obiecujące tematy. Z pewnością usłyszy wszystko o domu przy mostku — kto tam mieszkał, kto miał dobrą, a kto złą reputację wśród sąsiadów, jakie skandale tam wybuchały i tak dalej. Jeszcze bardziej utwierdziła się w tym przekonaniu, kiedy poznała pana domu — człowieka, który prawie nie otwierał ust. Podczas rozmowy ograniczał się do życzliwych uśmiechów, oznaczających zbieżność poglądów, z rzadka tylko z jego ust wydobywał się pomruk dezaprobaty.

Tuppence widziała, że mężczyzna z zadowoleniem patrzy na tokującą żonę, ale słucha jej niezbyt uważnie, gdyż bardziej zajmują go przygotowania do jutrzejszego targu.

Dla Tuppence nie mogło ułożyć się lepiej. Zupełnie jak w znanym sloganie: „Chcesz informacji? My ją mamy”. Pani Copleigh nie była gorsza od radia czy telewizji: wystarczyło przycisnąć guzik i już płynęły słowa, podkreślane odpowiednimi gestami i mimiką. Nie tylko z figury przypominała piłkę — jej twarz także robiła wrażenie kuli odlanej

z kauczuku. Ludzie, o których opowiadała, stawali się w oczach Tuppence niemal żywymi karykaturami.

Pani Beresford jadła bekon z jajkami, zagryzając to grubymi kromkami chleba z masłem. Wychwalała domową galaretkę z jagód — jej ulubioną, jak obwieściła z triumfem — i robiła, co w jej mocy, by wchłonąć zalewający ją potok informacji. Wieczorem zamierzała porobić odpowiednie notatki, gdyż przedłożono jej całą panoramę przeszłości tych okolic.

Pani Copleigh nie trzymała się kolejności chronologicznej, co trochę utrudniało zrozumienie. Skakała od wydarzeń sprzed piętnastu lat do dnia dzisiejszego, a potem znów cofała się w lata dwudzieste. Wszystko to wymagało uporządkowania. Tuppence zastanawiała się, czy w ogóle do czegoś w końcu dojdzie.

Pierwszy wciśnięty guzik nie przyniósł żadnego rezultatu. Chodziło o panią Lancaster.

— Myślę, że pochodziła gdzieś z tych stron — mówiła Tuppence, umyślnie niczego nie precyzując. — Miała obraz, przyjemne malowidło pędzla artysty, który podobno był tu znany.

— Jakie nazwisko pani wymieniła?

— Lancaster.

— Nie, nie pamiętam w okolicy żadnych Lancasterów. Lancaster, Lancaster... Jakiś pan miał wypadek samochodowy... Ale nie, to samochód podobnie się nazywał. Pani Lancaster? Nie. A może pani Bolton, co? Ma teraz chyba około siedemdziesiątki i mogła wyjść za Lancastera. Wyjechała stąd, ponoć podróżowała za granicę i rzeczywiście słyszałam, że się tam wydała.

— Obraz, który dała mojej ciotce, namalował niejaki pan Boscobel. Jaka pyszna galaretka!

— Nie wkładam do niej jabłek, jak większość gospodyń. Jabłka dają lepszy smak, ale zabierają cały aromat.

— Owszem — przytaknęła Tuppence. — Całkowicie się z panią zgadzam.

— Co za nazwisko wymieniła pani tym razem? Na B, ale nie dosłyszałam.

— Boscobel.

— Ach, świetnie pamiętam pana Boscowana. Zaraz, niech pomyślę. To musiało być... tak, przyjechał tu co najmniej piętnaście lat temu. Potem bywał przez kilka kolejnych lat. Lubił tę okolicę, nawet wynajął domek. Jeden z tych, które farmer Hart trzymał dla robotników. Potem zbudowano nowe, znaczy się, Rada zbudowała. Cztery nowe domki specjalnie dla robotników. Zawodowy artysta, ten cały pan B. Nosił taki śmieszny surdut, z aksamitu czy sztruksu. Zawsze miał dziury na łokciach, a do tego zielone i żółte koszule. O, to był bardzo kolorowy człowiek. Ładnie malował, nie powiem. Raz urządził wystawę, gdzieś koło Bożego Narodzenia... Nie, to musiało być w lecie, on tu zimą nie

bywał. Bardzo, bardzo przyjemne obrazki. Nic specjalnie ekscytującego, jeśli wie pani, co mam na myśli. Ot, dom, ze dwa drzewa albo krowy wyglądające zza płotu. Wszystko takie spokojne, w ładnych kolorach, nie tak jak dziś ci młodzi...

— Przyjeżdża tu dużo artystów?

— Niespecjalnie. Nie ma o czym mówić. Przyjeżdżają latem takie dwie i coś tam szkicują, ale nie mam o nich najlepszego zdania. Rok temu był młody gość, mówił, że jest artystą. Nie golił się należycie. Nie mogę powiedzieć, żeby podobały mi się jego prace, zwykle bohomyzy w zwariowanych kolorach, niczego nie można rozpoznać. Ale sporo sprzedawał, i to wcale nie tanio.

— Powinny iść za pięć funtów — wtrącił się po raz pierwszy pan Copleigh i to tak raptownie, że Tuppence aż podskoczyła.

— Mój mąż uważa — pani Copleigh postanowiła podjąć się roli tłumaczki — że żaden obraz nie powinien kosztować więcej niż pięć funtów. Farby nie kosztują aż tyle. Tak właśnie mówisz, prawda, George?

— Uhm.

— Pan Boscowan namalował dom przy mostku nad kanałem... Nad Wodą czy Nad Łąką, tak się podobno nazywa. Jechałam dziś tamtą drogą.

— Ach, przyjechała pani tamtędy? Marna droga, co? Bardzo wąska. Samotny taki ten dom, zawsze tak sobie myślałam. Nie chciałabym tam mieszkać, to zbyt wielkie odludzie. Nieprawdaż, George?

George wydał odgłos wyrażający słaby protest i może także pogardę dla babskiego tchórzostwa.

— Tam mieszka Alice Perry — dodała jego żona.

Tuppence zrezygnowała z tematu pana Boscovana na rzecz opinii o Perrych. Zawsze lepiej dostosować się do gospodyni.

— Dziwna z nich para — oznajmiła tamta.

George wydał pomruk aprobaty.

— Trzymają się tylko ze sobą. Nigdzie nie bywają. A ona wygląda jak nieboskie stworzenie, ta cała Alice Perry.

— Wariatka?

— No... nie wiem, czy tak bym powiedziała. Owszem, wygląda na szaloną, te rozwiane włosy i w ogóle. Nosi przeważnie męskie płaszcze i duże kalosze, mówi też jakoś dziwnie i czasem nie odpowiada na pytania. Ale nie nazwałabym jej wariatką. Dziwadło, ot co.

— Czy ludzie ją lubią?

— Prawie nikt jej nie zna, mieszkają tu raptem parę lat. Miejscowi opowiadają różne bajki, ale nic poza tym.

— Jakiego rodzaju bajki?

Bezpośrednie pytania nigdy nie zbijały z tropu pani Copleigh. Przeciwnie, traktowała je jako zachętę i aż nazbyt entuzjastycznie udzielała odpowiedzi.

— Podobno wywołują tam duchy. Siadają przy okrągłym stoliku i tak dalej. Ludzie gadają, że nocami wokół domu poruszają się jakieś ogniki. Ona czyta dużo mądrych książek, z takimi rysunkami — kółka i gwiazdy. Według mnie to raczej Amos Perry nie ma wszystkich klepek w porządku.

— To pocziwina — odezwał się pobłaźliwie pan Copleigh.

— Cóż, może i masz rację w tym względzie. Ale i o nim opowiadają różne rzeczy. Lubi swój ogród, chociaż niewiele umie.

— Zajmują tylko połowę domu, prawda? — spytała Tuppence. — Pani Perry była tak uprzejma, że zaprosiła mnie do środka.

— O, naprawdę? Nie wiem, czy miałabym ochotę wchodzić do tego domu.

— Ich część jest w porządku — zauważył pan Copleigh.

— A ta druga nie? — zdziwiła się Tuppence.

— Ach, różnie o tym mówią. Oczywiście nikt tam od lat nie mieszka. Ponoć z tym miejscem jest coś nie tak. Krążą różne historie. Ale jak przyjdzie co do czego, to się okazuje, że nikt tu nic nie pamięta. Ten dom ma już ponad sto lat, wie pani. Podobno jakiś dżentelmen z dworskich kręgów zbudował go dla jakiejś pięknej damy.

— Z dworu królowej Wiktorii? — zainteresowała się Tuppence.

— Raczej nie sądzę, stara królowa była dość zasadnicza. To działo się wcześniej, za któregoś z Jerzych. Ten dżentelmen przyjeżdżał tu na schadzki, ale mówią, że kiedyś pokłócił się ze swą panią i poderżnął jej gardło.

— Okropność! I co, powiesili go za to?

— Nie, nic z tych rzeczy. Bo widzi pani, on ponoć pozbył się ciała. Zamurował ją w kominku.

— W kominku?

— A znów niektórzy mówią, że ona była zakonnica i uciekła z klasztoru, i dlatego ją zamurowali. W klasztorach tak robią.

— Ale chyba nie zakonnice ją zamurowały?

— Nie, nie. To jej kochanek. I potem wyłożył cały kominek cegłami, a z tyłu przybił wielki arkusz blachy. Tak czy inaczej, nikt jej więcej nie widział. Biedna duszyczka, snuje się teraz w swoich pięknych sukniach... Oczywiście są tacy, co uważają, że ona z nim uciekła i potem mieszkali razem w jakimś mieście czy gdzie indziej. Teraz ponoć słychać tam jakieś hałasy, migoczą dziwne światelka, w każdym razie nikt tam po zmierzchu nie chodzi.

— A co się działo później? — spytała Tuppence, która uznała, że czasy przedwiktoriańskie to nieco za daleko jak na jej potrzeby.

— No, nie wiem, czy jest o czym mówić. Kiedy dom wystawiono na sprzedaż, kupił go farmer nazwiskiem Blodgick, ale też nie wytrzymał tam długo. To był wprawdzie farmer, ale zarazem dżentelmen, pewnie dlatego dom mu się spodobał, ale nie bardzo

wiedział, co zrobić z ziemią. Dlatego on też to sprzedał, a potem wciąż zmieniali się kolejni właściciele. Za każdym razem przyjeżdżali murarze i wprowadzali różne zmiany — nowe łazienki i tak dalej. Kiedyś pewna para hodowała tam kury. Ten dom uważany jest za pechowy. Wie Pani, to wszystko działo się jeszcze przed moim urodzeniem... Chyba nawet pan Boscowan chciał go kiedyś kupić. I właśnie wtedy namalował ten obraz.

— W jakim on był wieku, kiedy tu przyjeżdżał?

— Czterdziestka, może trochę więcej. Całkiem przystojny gość, tylko nieco za grubym. Pies na dziewczęta.

— Ehm — mruknął pan Copleigh, tym razem ostrzegawczo.

— No dobrze, wszyscy wiemy, jacy są artyści — powiedziała jego żona, włączając do „wszystkich” i Tuppence. — Nic, tylko jeżdżą do Francji, to i nabierają tamtejszych zwyczajów.

— Był żonaty?

— Nie, wtedy nie. Miał oko na córkę pani Charrington, ale nic z tego nie wyszło. To była śliczna dziewczyna, ale dla niego za młoda, miała najwyżej dwadzieścia pięć lat.

— A kim była pani Charrington? — spytała Tuppence, nieco oszołomiona wprowadzeniem nowej postaci.

Co ja tu, u diabła, robię? — pomyślała nagle, czując, że ogarnia ją fala zmęczenia. — Wysłuchuję plotek, wyobrażam sobie morderstwa, które nigdy się nie wydarzyły. Teraz dopiero widzę: wszystko zaczęło się od tego, że pewnej miłej, choć stukniętej starszce do reszty pomieszało się w głowie. Zaczęła snuć wspomnienia o tym Boscowanie czy kimś podobnym, kto podarował jej obraz, opowiedział o domu i krążących o nim legendach — że niby kogoś zamurowano żywcem w kominku. Z jakiegoś powodu starsza pani pomyślała, że było to dziecko. A ja tymczasem urządzam śledztwo i dopatruję się Bóg wie czego... Tommy powiedział, że jestem idiotką, i miał zupełną rację.

Czekała na przerwę w monotonnym potoku słów pani Copleigh, gdyż chciała już się pożegnać i pójść spać. Ale gospodyni nadal była w swoim żywiole.

— Pani Charrington? Ach, ona mieszkała jakiś czas w domu Nad Łąką. Razem z córką. Miła kobieta, wdowa po oficerze. Cienko przędła, ale czynsz płaciła dość niski. Dużo pracowała w ogrodzie, bardzo to lubiła, tylko z utrzymaniem domu w czystości gorzej jej szło. Parę razy przychodziłam tam do sprzątnia, potem nie dawałam już rady. Musiałabym jeździć na rowerze, a to są dwie mile z okładem. I nie ma żadnego autobusu.

— Długo tam mieszkała?

— Nie dłużej niż trzy lata. Przestraszyła się, kiedy wynikły kłopoty. Sama też miała problemy, znaczy się z córką, Lilian jej było...

Tuppence pociągnęła łyk mocnej herbaty, którą podano do posiłku. Postanowiła jednak skończyć z panią Charrington, zanim uda się na spoczynek.

— Jakie problemy z córką? Chodziło o Boscowaną?

— Nie, to nie Boscowan wpędził Lilian w kłopoty.

— A kto? Ktoś miejscowy?

— Nie, raczej nie mieszkał w tych stronach. Ona poznała go w Londynie. Wyjechała tam uczyć się na baletnicę... a może studiować sztukę? Pan Boscowan załatwił jej jakąś szkołę. A tamten... chyba nazywał się Slate.

— A nie Slade?

— Może i tak. W każdym razie poznała go, kiedy zaczęła jeździć. Matce się nie podobał, zabroniła jej się z nim spotykać, ale dużo to pomogło! Właściwie to była głupia, pani wie: jak większość żon oficerów. Taka nieżyłowa, myślała, że dzisiejsze dziewczyny robią, co im się każe. Przebywała w Indiach i tak dalej, ale przecież, gdy na horyzoncie zjawia się młody człowiek, wystarczy dziewczynę na chwilę spuścić z oka i już po sprawie. Po prostu spotykali się gdzie indziej.

— I wpadła w kłopoty? — dopowiedziała Tuppence. Użyła powszechnie znanego eufemizmu w nadziei, że nie urazi tą formą poczucia przyzwoitości pana Copleigha.

— To musiał być on, zresztą, tak czy inaczej, wyszło szydło z worka. Wiedziałam, że tak będzie, jeszcze zanim jej matka się połapała. Szkoda, takie śliczne stworzenie! Postawna, wysoka... Ale nie potrafiła stawić czoła sytuacji, kompletnie się załamała, biedaczka. Chodziła potem po okolicy z szaleństwem w oczach, mamrocząc coś pod nosem. Moim zdaniem, ten typ ją okropnie traktował. A kiedy odkrył, co się dzieje, po prostu wyjechał. Oczywiście każda inna matka znalazłaby takiego i uświadomiła mu, co powinien zrobić, ale pani Charrington nie miała na to siły. Zamknęła dom, wywiozła gdzieś dziewczynę i potem wystawiono go na sprzedaż. Wróciły tylko po rzeczy, ale nie pokazały się we wsi ani z nikim nie rozmawiały. Już ich tu nikt nie widział. Krążyły różne plotki, ale nigdy się nie dowiedziałam, czy było w nich coś z prawdy.

— Czego to ludzie nie wymyślą — odezwał się niespodziewanie pan Copleigh.

— Masz rację, George. A jednak mogła to być prawda. Takie rzeczy się zdarzają. I jak sam zauważyłeś, dziewczyna nie wyglądała na całkiem normalną.

— A co to za historia? — spytała Tuppence.

— Cóż, wolałabym o tym nie mówić. Minęło dużo czasu, a ja nie chcę powtarzać plotek, skoro nie mam pewności. To Louise od pani Badcock rozповідаła o tym po wsi. Obrzydliwa kłamczucha! Taka wszystko robi dla sensacji.

— Ale o co właściwie chodziło?

— O to, że niby córka pani Charrington zabiła dziecko, a potem popełniła samobójstwo. A jej matka o mało nie oszalała z żalu i krewni musieli ją umieścić w domu opieki.

Tuppence poczuła narastający mętlik w głowie. Zupełnie jakby wirowała razem z krzesłem. Czy pani Charrington mogła być panią Lancaster? Lekko zwariowana sta-

ruszka o zmienionym nazwisku, z obsesją na punkcie losu córki... Tymczasem pani Copleigh niezmordowanie nadawała dalej:

— Nigdy nie uwierzyłam ani jednemu jej słowu. Ta dziewczucha plecie, co jej ślina na język przyniesie. My nie słuchamy tego rodzaju pogłosek, mamy co innego na głowie. Wystarczy, że cała wieś zamarła z przerażenia po tym, co NAPRAWDĘ się tu wydarzyło...

— Tak? A co to takiego? — spytała Tuppence, zachodząc w głowę, co też mogło do tego stopnia zakłócić spokój w sielskiej okolicy Sutton Chancellor.

— Na pewno swego czasu czytała pani w gazetach. To się działo mniej więcej przed dwudziestoma laty. Morderstwa dzieci. Pierwsza była dziewięcioletnia dziewczynka; pewnego dnia nie wróciła ze szkoły. Wszyscy sąsiedzi jej szukali. Znaleziono ją udużoną w zagajniku Dingley. Jeszcze teraz trzęsę się na samą myśl. A to dopiero pierwsza ofiara, po trzech tygodniach przyszła kolej na drugą. Za Market Basing, ale w tym samym regionie. Człowiek z samochodem mógł tego z łatwością dokonać. A potem trzy następne. Czasem w odstępie zaledwie dwóch miesięcy. I jeszcze jedna, nie dalej jak dwie mile stąd, prawie w samej wsi.

— A policja? Nikt nie wie, czyja to sprawka?

— Szukali ze wszystkich sił. Dość szybko zatrzymali jakiegoś mężczyznę. Kogoś spoza Market Basing. Tłumaczył się, że pomagał w poszukiwaniach, a wie pani, co to zwykle oznacza. Już myśleli, że go mają. Potem złapali kilku następnych, ale wszystkich musieli wypuścić po dwudziestu czterech godzinach, bo każdy miał jakieś wytłumaczenie: albo nie mógł tego zrobić, albo w ogóle nie był w tych stronach, albo ktoś mu dał alibi.

— Nic nie wiesz, Liz — wtrącił się pan Copleigh. — Może policja zna mordercę. Co do mnie, jestem o tym przekonany. To znana metoda, tak przynajmniej słyszałem. Wiedzą, ale nie mają dowodów.

— Wszystko przez żony, ot co! Żony, matki, czasem też ojcowie. Nawet policja nie ma na nich sposobu, bez względu na to, co myśli. Taka matka powiada: „Syn był u mnie na obiedzie tego wieczoru”. Albo młoda osoba oświadcza, że akurat była z tym gościem w kinie i nie rozstawała się z nim ani na chwilę. Albo ojciec — że pracowali razem w polu. I co? Głową muru nie przebijesz. Policja może doskonale wiedzieć, że kłamia, ale póki ktoś inny się nie zgłosi i nie zezna, że widział tego typa w zupełnie innym miejscu, nie ma na to rady. To były straszne czasy. Wszyscy odchodziliśmy wprost od zmysłów. A kiedy usłyszeliśmy, że następne dziecko zniknęło, sami grupkami wyruszyliśmy na poszukiwania.

— Tak jest, bardzo słusznie — wtrącił pan Copleigh.

— Czasem znajdowali je od razu, a czasami szukali tygodniami. Czasem zwłoki były tuż przy domu, w miejscu, które, zdawałoby się, już przeszukali. Maniak jakiś, czy co... To obrzydliwe, obrzydliwe, że po ziemi chodzą tacy ludzie — ciągnęła pani Copleigh

z przekonaniem. — Powinno się ich rozstrzeliwać. Albo dusić. Sama udusiłabym takiego, gdyby mi pozwolono, każdego, kto zabija dziecko albo je krzywdzi. Po co wsadzać ich do wariatkowa i zapewniać wszelkie wygody? Prędzej czy później wypuszcza się ich do domów, bo rzekomo są wyleczeni. Tak właśnie zdarzyło się w Norfolk, mam tam siostrę, wszystko mi opowiedziała. Wrócił taki typ do domu i dwa dni później zrobił to samo. Ci doktorzy są sami niespełna rozumu!

— I nie macie pojęcia, kto popełniał te zbrodnie? Naprawdę uważacie, że to ktoś obcy?

— Może dla nas obcy. Ale musiał mieszkać gdzieś w okolicy, powiedzmy, w promieniu dwudziestu mil. Chociaż raczej nie w naszej wiosce.

— Zawsze myślałaś, że właśnie w naszej, Liz.

— Ty chyba masz źle w głowie — oburzyła się na męża pani Copleigh. — Wmówiłeś sobie, że to ktoś od nas, bo się tego obawiasz. Lubię przypatrywać się ludziom, ty także, George. I tak sobie myślisz: A może to ten? Wygląda jakoś dziwnie. I stąd to wszystko.

— A ja sądzę, że on wcale nie wygląda dziwnie, tylko całkiem zwyczajnie — powiedziała Tuppence.

— Tak, może być w tym coś z racji. Ja także słyszałam, że nigdy nie wiadomo, że to nie żaden szaleniak. Ale inni powiadają, że tacy ludzie mają coś przerażającego w oczach.

— Jeffreys, ówczesny sierżant policji zawsze powtarzał, że ma pewien pomysł, ale nic nie da się zrobić — dodał pan Copleigh.

— I nikogo ostatecznie nie złapali?

— Nie. Trwało to pół roku, może więcej. A potem cała sprawa ucichła. I odtąd nie zdarzył się już żaden wypadek. Ja tam myślę, że facet się stąd wyniósł. Dlatego ludzie uważają, że policja może wiedzieć, kim on jest.

— Na podstawie tego, kto stąd wyjechał?

— Oczywiście, dlatego jest tyle gadania.

Tuppence zawahała się nieco przed następnym pytaniem, ale w końcu uznała, że przy gadatliwości pani Copleigh nie ma to znaczenia.

— A pani kogo podejrzewała?

— Cóż, to już tak dawno temu, że wolałabym nie mówić. Ale owszem, wymieniano pewne nazwiska i przyglądano się niektórym osobom. Wspominano, na przykład, o panu Boscowanie.

— Naprawdę?

— Tak, że niby artysta i w ogóle, a artyści to dziwacy. Ale ja tak nie myślę.

— Bardziej podejrzewano Amosa Perry'ego — dodał pan Copleigh.

— Męża pani Perry?

— Tak. On rzeczywiście jest trochę nie tego... Taki prostoduszny. On rzeczywiście mógł to zrobić.

— A oni tu wtedy mieszkali?

— Tak, ale nie w domu Nad Łąką. Mieli domek około pięciu mil stąd. Policja miała na niego oko, jestem pewien.

— Ale nie mogła się do niczego przyczepić — zauważyła pani Copleigh. — Żona zawsze za nim świadczyła: mąż wieczory spędza z nią w domu. Zawsze. Czasem tylko w sobotę zajrzy do pubu, ale żadne z tych morderstw nie wydarzyło się w sobotę, więc nic z tego. Poza tym Alice Perry należy do kobiet, którym się wierzy, kiedy składają zeznania. Nigdy nie zmięknie ani się nie wycofa. Nie pozwoli się też zastraszyć. No w każdym razie to nie jest Amos Perry i ja tam nigdy go nie posądzałam. Mam takie dziwne wrażenie... Już gdybym miała kogo wskazać palcem, to prędzej sir Filipa.

— Sir Filip? — Tuppence znów zawirowało w głowie. Jeszcze jedna osoba! — A kim on jest?

— Sir Filip Starke mieszka w Warrender House. Dawniej, za czasów Warrenderów, nazywano tę posiadłość Starym Opactwem, ale to jeszcze przed pożarem. Może pani zobaczyć ich groby na cmentarzu, w kościele także jest tablica. Warrenderowie byli tu zawsze, właściwie od króla Jakuba.

— A sir Filip jest ich krewnym?

— Nie. Zrobił pieniądze w wielkim stylu, on albo jego ojciec. Konstrukcje stalowe czy coś w tym rodzaju. To dziwny człowiek, ten sir Filip. Fabryki ma na północy, a mieszka tutaj, i to sam, jak jakiś... no...

— Pustelnik — odpowiedziała jej Tuppence.

— Właśnie, pustelnik. Błady taki, chudy, kościsty... I uwielbia kwiaty, jest botanikiem. Zbiera te wszystkie głupie chwasty, niewarte nawet spojrzenia. Chyba napisał o nich książkę. O tak, to mądrała, wielki mądrała. Jego żona była miła i bardzo przystojna, tylko smutna...

Pan Copleigh wydał jeden ze swych pomruków.

— Głupia jesteś, jak możesz tak myśleć? Sir Filip przepadał za dziećmi. Ciągłe wydawał dla nich przyjęcia.

— Tak, wiem. Urządzał festyny, rozdawał piękne nagrody, wyścigi z jajkiem na łyżce, truskawki ze śmietaną i tak dalej. Bo wie pani, on nie miał własnych dzieci. Często zaczepiał dzieciaki na ulicy, dawał im słodczyki albo sześciopensówki, żeby coś sobie kupiły. No, ale sama nie wiem, trochę za bardzo się z tym afiszował. Dziwak, ot co. Pomyślałam sobie, że coś z nim nie w porządku, jak żona go nagle opuściła.

— Kiedy to się stało?

— Mniej więcej pół roku po tym, jak zaczęły się te wszystkie kłopoty. Zamordowano wtedy troje dzieci. Lady Starke wyjechała nagle na południe Francji i nigdy już nie wróciła. Taka spokojna, szanowana osoba... Nie wyglądało, by zostawiła go dla jakiegoś mężczyzny, to nie ten typ kobiety. Więc dlaczego? Zawsze mówiłam, że coś musia-

ła wiedzieć albo wykryć.

— A on tu nadal mieszka?

— Nie przez cały czas. Przyjeżdża dwa razy do roku, a przez resztę czasu dom pozostaje zamknięty i pilnuje go stróż. Panna Bligh dogląda jego spraw, była kiedyś jego sekretarką.

— A co z żoną?

— Umarła, biedactwo. Niedługo po wyjeździe. W kościele jest tablica poświęcona jej pamięci. To musiało być dla niej straszne. Może z początku nie była pewna, dopiero potem nabrała podejrzeń, i w końcu zdobyła dowody. Nie mogła tego znieść i wyjechała.

— Czego to baby nie wymyślą — burknął pan Copleigh.

— Ja tylko mówię, że coś z sir Filipem było nie w porządku. Za bardzo kochał dzieci, to nie mogło być naturalne.

— Babskie fantazje.

Pani Copleigh wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

— W samą porę — skomentował to jej mąż. — Ta pani będzie miała przez ciebie złe sny. Miesz z jęzorem o dawnych sprawach, z którymi nikt tu nie ma nic wspólnego.

— Ciekawie było posłuchać. — Tuppence wzięła gospodynię w obronę. — Ale jestem już bardzo śpiąca i chyba pójdę się położyć.

— O, my także kładziemy się wcześniej — powiedziała pani Copleigh. — A pani rzeczywiście miała męczący dzień.

— Właśnie. — Tuppence ziewnęła potężnie. — No to dobranoc i bardzo dziękuję.

— Życzy sobie pani rano filiżankę herbaty? O ósmej nie będzie za wcześnie?

— Nie, w sam raz. Ale proszę nie robić sobie kłopotu.

— Ależ to żaden kłopot — zapewniła ją pani Copleigh.

Tuppence powlokła się na górę. Otworzyła torbę, wyjęła kilka rzeczy, rozebrała się, umyła i padła na łóżko. Prawdę powiedziała pani Copleigh: była śmiertelnie zmęczona. Zasłyszane wiadomości przesuwwały się jej przez głowę niczym w kalejdoskopie, razem z ruchomymi figurami osób i koszmarnymi wizjami. Martwe dzieci... za dużo tych martwych dzieci. Tuppence potrzebowała tylko jednego — tego z za kominka. Kominek ma coś wspólnego z Waterside. Lalka... Jakieś dziecko, zabite przez obłąkaną dziewczynę, wypchnięte z jej słabego umysłu przez fakt, że kochanek ją opuścił... Mój Boże, co za melodramatyczny język — myślała Tuppence. — Istny mętlik... poplątana chronologia... Nie wiadomo, co tak naprawdę i kiedy się wydarzyło.

Zasnęła. Przysniła się jej dama w rodzaju Pani z Shalott*, wyglądająca z okna domu nad kanałem. Z komina dobiegało jakieś skrobanie, a z za arkusza blachy walenie jakby młotem. Łup łup łup... Tuppence się obudziła; okazało się, że to pani Copleigh puka do

*Bohaterka poematu Tennysona

drzwi. Weszła energicznym krokiem, postawiła przy łóżku filiżankę herbaty, ściągnęła zasłony i wyraziła przypuszczenie, że pani Beresford dobrze spała. Uosobienie optymizmu — myślała Tuppence. — Już ona na pewno nie miała złych snów.

Rozdział IX

Ranek w Market Basing

— No i dobrze — powiedziała pani Copleigh, zmierzając do drzwi. — Mamy nowy dzień. Zawsze to sobie powtarzam, kiedy się obudzę.

Nowy dzień? — myślała Tuppence, sącząc mocną, czarną herbatę.

— Czyżbym robiła z siebie idiotkę? Możliwe... Żeby tak móc pogadać z Tommym. Ostatni wieczór sprawił, że wszystko mi się płacze.

Przed wyjściem z pokoju zapisała w notesie fakty i nazwiska, o których dowiedziała się poprzedniego dnia. Wieczorem nie starczyło jej na to siły. Melodramatyczne historie z przeszłości, kryjące może kilka ziaren prawdy, a zwłaszcza różne pogłoski, plotki, sentymentalne domysły.

Doprawdy — myślała — zaczynam poznawać miłosne historie ludzi aż do osiemnastego wieku. Ale do czego to wszystko prowadzi? I czego właściwie szukam? Już nawet tego nie wiem. To okropne, że tak się uwikłałam i teraz nie mogę tego zostawić.

Powziąwszy trafne podejrzenie, że pierwszą osobą, na którą się natknie, będzie panna Bligh — ów postrach Sutton Chancellor — wywinęła się zgrabnie ze wszystkich proponowanych uprzejmości i czym prędzej odjechała do Market Basing. Zatrzymała się tylko na chwilę, kiedy mimo wszystko dopadły ją ogłuszające wrzaski. Wytłumaczyła panie Bligh, że ma pilne spotkanie. Kiedy wróci? Tuppence nie była pewna. Czy zje z nią lunch? To bardzo uprzejmie ze strony panny Bligh, ale Tuppence się obawia...

— A zatem podwieczorek. Czekam o wpół do piątej.

Zabrzmiało to niczym królewski rozkaz. Tuppence uśmiechnęła się, skinęła głową i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Być może, jeśli uda się wyciągnąć coś ciekawego z agencji w Market Basing, Nelli Bligh także na coś się przyda. Należy do tego rodzaju kobiet, które za punkt honoru uważają wiedzieć wszystko o wszystkich. Szkopuł w tym, że za wszelką cenę chce wzbogacić swą wiedzę o sprawy pani Beresford. Ale do podwieczorku daleko, może do tej

pory Tuppence na tyle oprzytomnieje, że coś wymyśli.

— Pamiętaj o pani Blenkinsop — powiedziała sobie, biorąc ostry zakręt i wciskając się w żywopłot, by nie dać się staranować rozszalałemu traktorowi. W Market Basing odstawiła samochód na parking na rynku, a potem znalazła pocztę, gdzie weszła do budki telefonicznej.

Głos Alberta, który jak zwykle odpowiedział tylko jednym słowem „halo”, brzmiał nieco podejrzliwie.

— Słuchaj, Albercie, jutro wracam. W porze obiadu, może trochę wcześniej. Pan Beresford powinien także zdążyć, chyba że zadzwoni. Przygotuj nam coś, może być kurczak.

— Tak jest, proszę pani. Gdzie pani teraz...

Ale Tuppence już się rozłączyła.

Życie Market Basing zdawało się koncentrować wokół rynku. Przed wyjściem z poczty Tuppence zajrzała do informatora; trzy z czterech agencji nieruchomości mieściły się właśnie przy głównym placu, czwarta usytuowana była przy George Street.

Tuppence zapisała sobie nazwy i ruszyła na poszukiwania.

Zaczęła od firmy Lovebody’ego i Slickera, która wydała się jej najbardziej okazała.

Przyjęła ją piegowata dziewczyna.

— Chciałabym się dowiedzieć o jakieś domy — zagaiła Tuppence.

Na dziewczynie nie zrobiło to wrażenia. Równie dobrze Tuppence mogła zapytać o rzadki okaz zwierzęcia.

— No nie wiem... — Dziewczyna rozglądała się dookoła, nie mogąc się zdecydować, któremu z kolegów ją przekazać.

— Dom — powtórzyła Tuppence. — To jest agencja nieruchomości, czyż nie?

— Tak, zajmujemy się także aukcjami. W środę jest aukcja w Cranbery Court, jeśli to panią interesuje. Katalog kosztuje dwa szylingi.

— Nie interesują mnie aukcje. Pytałam o dom.

— Umeblowany?

— Nieumeblowany. Chcę kupić albo wynająć.

Pięgi rozchmurzyły się nieco.

— Najlepiej skontaktuję panią z panem Slickerem.

Tuppence o nic więcej nie chodziło. Po chwili siedziała w małym pokoiku naprzeciwko młodego człowieka w tweedowym garniturze. Pan Slicker wertował katalog rezydencji, mrużąc do siebie uwagi:

— Mandeville Road 8 — budowa pod nadzorem architekta, trzy sypialnie, amerykańska kuchnia... Ach, nie, to już poszło. Amabel Lodge... malownicza rezydencja, cztery akry, cena obniżona, do szybkiej sprzedaży...

Tuppence przerwała mu stanowczo:

— Widziałam pewien dom, który mi się spodobał. W Sutton Chancellor, czy raczej w pobliżu Sutton Chancellor. Przy kanale...

— Sutton Chancellor... — Pan Slicker miał wątpliwości. — Chyba nie mamy teraz stamtąd żadnych ofert. Jak się nazywa ten dom?

— Nazwa nie jest nigdzie wypisana. Coś w rodzaju Nad Wodą czy Nad Rzeką... kiedyś podobno Przy Mostku. Jest podzielony na dwie części, w jednej mieszkają lokatorzy. Nie wiedzą jednak nic o drugiej połowie, która wychodzi na kanał, a właśnie ona mnie interesuje. Zdaje się, że jest wolna.

Pan Slicker odpowiedział powściągliwie, że niestety nie może jej pomóc, ale zniżył się do udzielenia informacji. Jest pewna agencja (sądząc z tonu urzędnika, absolutne dno) niejakich panów Blodgeta i Burgessa. Oni powinni coś wiedzieć.

Tuppence przemieściła się potulnie do firmy Blodget i Burgess, na drugą stronę placu. Siedziba agencji na oko nie różniła się od poprzedniej — w oblepionych brudem oknach wisiały takie same ogłoszenia o wyprzedazach i aukcjach. Frontowe drzwi świeżo odmalowano na kolor jadowitej zieleni, co należało zaliczyć firmie na plus. Po równie zniechęcającej rozmowie w recepcji, Tuppence skierowano do pana Scriga, starszego człowieka o dość pesymistycznym nastawieniu.

Pan Scrig przyznał, że wie o istnieniu rzeczony rezydencji, ale nie kwapił się do pomocy, ani też nie wydawał się zainteresowany.

— Tego domu nie ma w ofercie. Właściciel nie chce go sprzedać.

— Kto jest właścicielem?

— Doprawdy nie wiem. Często się zmieniali... Mówiło się nawet o przymusowej sprzedaży.

— A na co lokalnym władzom taki dom?

— Naprawdę, pani... — zerknął do notatnika — pani Beresford, gdyby znała pani odpowiedź na to pytanie, byłaby pani mądrzejsza niż większość ofiar przestępstw. Sposoby działania lokalnych rad i towarzystw są zawsze osnute mgłą tajemnicy. W tylnej części budynku przeprowadzono kilka niezbędnych prac remontowych, po czym wynajęto ją po wyjątkowo niskiej cenie państwu... państwu Perry. Co do aktualnych właścicieli, to pan ów mieszka za granicą i chyba stracił zainteresowanie tym budynkiem. Zdaje się, że wynikły jakieś problemy z niepełnoletnim dziedzicem i posiadłością administrowali wykonawcy testamentu. Były też drobne kłopoty prawne — usługi prawnicze są dość kosztowne. Według mnie właściciel nie ma nic przeciwko temu, żeby dom się zawalił. Poza częścią wynajętą Perryem nie dokonuje się tam żadnych remontów. Oczywiście ziemia zawsze ma swoją wartość, natomiast renowacje zrujnowanych domów rzadko kiedy się opłacają. Jeśli panią interesują tego typu posiadłości, to chętnie zaproponujemy pani coś wartościowszego. Czemu, jeśli wolno wiedzieć, interesuje panią ten akurat dom?

— Podoba mi się z wyglądu. Jest bardzo ładny, widziałam go z pociągu i...

— Ach, rozumiem. — Pan Scrig starał się ze wszystkich sił ukryć wyraz twarzy, który głosił: „Głupota kobiet jest wprost niewiarygodna”. Spróbował łagodnej perswazji: — Na pani miejscu zapomniałbym o tym domu.

— Może napisałby pan do właścicieli i zapytał, czy zechcieliby go sprzedać. Albo sama napiszę, tylko poproszę o adres.

— Skoro pani nalega, nawiążemy kontakt z adwokatami właściciela. Ale nie żywiłbym wielkich nadziei.

— Zdaje się, że dziś ze wszystkim trzeba chodzić do adwokata. — Głos Tuppence brzmiał naiwnie, a zarazem niespokojnie. — A oni są tacy powolni...

— No tak, prawo skłania do gry na zwłokę.

— Banki są takie same!

— Banki? — zdziwił się pan Scrig.

— Dziś mnóstwo ludzi podaje do korespondencji adres swego banku. To bardzo męczące.

— Tak, tak... Skoro pani tak twierdzi... Ale z drugiej strony ludzie zrobili się dość ruchliwi, często się przeprowadzają, wyjeżdżają za granicę i tak dalej. — Otworzył szufladę. — O, mam tu taką przyjemną posiadłość: Crossgate, dwie mile od Market Basing. Bardzo dobry stan, ładny ogród...

Tuppence wstała.

— Nie, dziękuję.

Pożegnała się zdecydowanie i wyszła na plac.

Złożyła jeszcze krótką wizytę w trzecim biurze, które zdawało się jednak zajmować głównie sprzedażą bydła, kurzych farm i w ogóle gospodarstw rolnych w opłakanym stanie.

Na koniec zostawiła sobie Robertsa i Wileya przy George Street — agencję małą, ale prężną i skorą do usług. Nikt tam jednak nie wiedział nic o Sutton Chancellor i nikogo owa wioska nie obchodziła. Zależało im wyłącznie na sprzedaży wybudowanych już częściowo rezydencji po jakichś astronomicznych cenach. Na widok jednego z takich budynków Tuppence aż się zatrzęsła. Gorliwy młody człowiek, nie chcąc dopuścić do dezercji jedynej ewentualnej klientki, przyznał wreszcie niechętnie, że istnieje takie miejsce jak Sutton Chancellor.

— Sutton Chancellor, powiada pani. Radzę spróbować u Blodgeta i Burgessa na rynku. Obracali tam jakimis̄ okolicznymi nieruchomościami, ale wszystkie były w fatalnym stanie, same ruiny...

— Jest ładny dom koło mostku nad kanałem. Widziałam go z pociągu.

— O! Znam go, to chyba dom Nad Rzeką. Nikt tam nie chce mieszkać, mówią, że jest nawiedzony.

— Ma pan na myśli duchy?

— Tak ludzie gadają. Krąży mnóstwo historii. Jakieś nocne hałasy, jęki... Według mnie, to kołatki.

— Ojej — zmartwiła się Tuppence. — A wygląda tak miło i ustronnie...

— Za bardzo ustronnie, zdaniem większości ludzi. Proszę pomyśleć o powodziach zimowych.

— Widzę, że w ogóle mam wiele do przemyślenia.

Kierując się w stronę hoteliku Jagnię i Chorągiewka, gdzie spodziewała się wzmocnić nadwątlone siły, mruzczała do siebie:

— Tak jest, mnóstwo do przemyślenia: powodzie, kołatki, duchy, brzęczące łańcuchy, nieobecni właściciele i dziedzice, adwokaci, banki... A wszystko z powodu domu, którego nikt nie chce i nie kocha, z wyjątkiem, być może MNIE. Och, no już dobrze. Teraz przede wszystkim muszę coś zjeść.

Jadło w Jagnięciu i Chorągiewce było smaczne i obfite — solidne dania dla farmerów, a nie żadne francuskie dziwactwa dla przejeżdżających turystów: gęsta, aromatyczna zupa, nóżki wieprzowe z sosem jabłkowym, na deser stiltonski ser albo śliwki w kremie do wyboru (Tuppence wybrała ser).

Pokręciła się jeszcze trochę bez celu po ulicach, a potem odnalazła samochód i ruszyła z powrotem. Nie miała jakoś wrażenia, że spędziła owocny ranek.

Kiedy zza ostatniego zakrętu wyłonił się kościół w Sutton Chancellor, zobaczyła, że z cmentarza wychodzi pastor. Poruszał się z widocznym wysiłkiem. Tuppence zatrzymała samochód.

— Ksiądz wciąż szuka tego grobu?

Duchowny trzymał się jedną ręką za krzyż.

— O Boże! — westchnął. — Mój wzrok nie jest już taki jak dawniej. Wiele napisów się pozacierało i jeszcze ten kręgosłup... Większość kamieni leży płasko na ziemi i czasem mi się wydaje, że jak się jeszcze raz pochylę, to już się nie wyprostuję.

— Ja na miejscu księdza dałabym sobie spokój. Skoro sprawdził ksiądz w księgach i tak dalej, to zupełnie wystarczy.

— Wiem, ale temu biedakowi tak bardzo zależało! Jestem przekonany, że to stracony czas, a jednak czuję się w obowiązku zrobić, co w mojej mocy. Ciągle jeszcze nie sprawdziłem jednego zakątka, tego między cisem a murem. Wprawdzie tam są groby głównie z osiemnastego wieku, ale mimo to chcę mieć pewność, że spełniłem moje zadanie do końca. Dopiero wtedy będę mógł spać spokojnie. Zostawiłem sobie ten kawałek na jutro.

— Bardzo słusznie. Nie powinien ksiądz robić za dużo naraz. Ale mam pomysł: idę teraz do panny Bligh na herbatę, a potem wrócę tu i sama przyjrzę się tym nagrobkom. Między cisem a murem, powiada ksiądz?

— Och, nie chciałbym pani fatygować...

— Nie szkodzi, nie szkodzi. Zrobię to z przyjemnością. Taki obchód może być bardzo ciekawy. Wie ksiądz, stare napisy podsuwają czasem obraz człowieka, który kiedyś tu żył, i tak dalej. Naprawdę się na to cieszę, a ksiądz niech wraca do domu i wypocznie.

— No dobrze, rzeczywiście powinienem pomyśleć o wieczornym kazaniu. Bardzo pani uprzejma, naprawdę... To się nazywa prawdziwy przyjaciel.

Uśmiechnął się do niej promiennie i odszedł w stronę plebani. Tuppence zerknęła na zegarek i ruszyła dalej. Zatrzymała się przy domu panny Bligh. Przynajmniej będę ją miała z głowy — pomyślała, wchodząc przez otwarte drzwi. Panna Bligh akurat niosła do bawialni świeżo upieczone placuszki.

— Ach, więc jest pani nareszcie, droga pani Beresford! Tak się cieszę, że panią widzę! Herbata jest prawie gotowa, właśnie nastawiłam czajnik i wystarczy tylko zaparzyć. Mam nadzieję, że zakupy się udały? — spytała, patrząc znacząco na ewidentnie pustą torbę zwisającą z ramienia Tuppence.

— Cóż, w zasadzie nie miałam zbyt wiele szczęścia — odparła Tuppence, robiąc dobrą minę do złej gry. — Wie pani, jak to czasem bywa... taki pechowy dzień, kiedy akurat brakuje konkretnego koloru czy gatunku. Ale zawsze lubię obejść każde nowe miejsce, nawet jeśli nie wydaje się interesujące.

Przenikliwy gwizd czajnika przywołał gospodynię do porządku. Pognała w te pędy do kuchni, rozsypując po drodze listy przygotowane do wysłania na stoliku w hallu.

Tuppence pochyliła się, by je pozbiierać. Zauważyła, że jeden z nich, ten, który leżał na wierzchu, zaadresowany jest do niejakiej pani Yorke w domu dla starszych pań — Rosetrellis Court w Cumberland.

Doprawdy — pomyślała — zaczynam odnosić wrażenie, że cały kraj składa się wyłącznie z domów dla starców! Pewnie ani się obejrzymy, jak sami zamieszkamy w następnym.

Nie tak dawno temu pewna usłużna przyjaciółka napisała do nich, rekomendując bardzo miłą placówkę w Devon. Dla par małżeńskich, przeważnie emerytowanych pracowników wywiadu. Całkiem niezła kuchnia... przywozi się własne meble i osobiste drobiazgi...

W drzwiach ukazała się gospodyni z dzbankiem herbaty i obie panie zasiadły do podwieczorku.

Rozmowa z panną Bligh nie była tak dramatyczna i barwna jak z panią Copleigh. Gospodyni koncentrowała się raczej na wyciąganiu informacji niż udzielaniu takich.

Tuppence mamrotała coś niejasno na temat lat spędzonych w służbie państwowej za granicą, trudnościach domowych w Anglii, opowiedziała to i owo o swym żona-

tym synu i zamężnej córce oraz ich dzieciach. Potem ostrożnie skierowała rozmowę na działalność panny Bligh w Sutton Chancellor. Okazało się, że gospodyni udziela się w przeróżnych instytucjach, takich jak Instytut Kobiet, organizacje skautów obojga płci, Unia Konserwatystek, liczne koła zainteresowań (grecka sztuka, przygotowywanie dżemów, układanie kwiatów, szkicowanie), Towarzystwo Miłośników Archeologii i tak dalej. Zdrowie pastora... pilnowanie, żeby dbał o siebie... jego roztargnienie... niefortunne różnice zdań wśród parafian...

Tuppence pochwaliła placuszki, podziękowała za gościnę i wstała.

— Jest pani tak naładowana energią, panno Bligh! Nie umiem sobie wyobrazić, jak też pani godzi to wszystko. Muszę wyznać, że po całodziennej wycieczce i zakupach najchętniej położyłabym się na jakie pół godzinki. Mam takie wygodne łóżko... Muszę pani raz jeszcze podziękować za polecenie mnie pani Copleigh...

— Prawie niezawodna kobieta, chociaż, oczywiście, za dużo gada...

— Ach, to nic, te miejscowe ploteczki mocno mnie ubawiły.

— Przeważnie ona sama nie wie, o czyni mówi. Długo pani tu zostanie?

— O nie, jutro wyjeżdżam. Czuję się zawiedziona, bo nie słyszałam o żadnej odpowiedniej posiadłości. A taką miałam chrapkę na ów malowniczy dom nad kanałem...

— Lepiej trzymać się od niego z daleka. Ten dom jest w bardzo kiepskim stanie. Właściciele ciągle nieobecni... to hańba.

— Nawet nie ustaliłam, do kogo on należy. A może pani wie? Pani wie przecież wszystko o tych stronach...

— Nigdy się tym nie interesowałam. Dom często przechodził z rąk do rąk, trudno było to śledzić. W jednej połowie mieszkają państwo Perry, a ta druga popada w ruinę.

Tuppence raz jeszcze powiedziała „do widzenia” i pojechała do pani Copleigh. W domu najwyraźniej nikogo nie było. Poszła do swego pokoju, zostawiła pustą torbę na zakupy, umyła twarz, przypudrowała nos i na palcach wymknęła się z powrotem na ulicę. Spojrzała najpierw w jedną, potem w drugą stronę i zostawiwszy samochód na miejscu, podążyła szybkim krokiem w stronę najbliższego rogu. Następnie skręciła w polną ścieżkę wiodącą, jak się spodziewała, do przełazu na cmentarz.

Rzeczywiście niebawem znalazła się u celu. Cmentarz w promieniach zachodzącego słońca wydał się jej oazą spokoju. Tak jak obiecała, zajęła się studiowaniem napisów na nagrobkach. Nie kierowała się żadnym specjalnym motywem, nie spodziewała się wielkich odkryć — ot, czysta uprzejmość. Stary pastor jest taki kochany, zasługuje na to, by odzyskać spokój sumienia. Zabrała ze sobą notes i ołówek, na wypadek, gdyby trzeba było coś zapisać. Miała tylko rozejrzeć się za grobem dziecka w stosownym wieku. Większość jednak pochodziła ze znacznie wcześniejszych czasów. Nie były specjalnie interesujące ani dostatecznie stare, by budzić ciekawość czy wzruszenie. Upamiętniały przede wszystkim starsze osoby. Mimo to Tuppence zwlekała z odejściem, two-

rząc mentalne wizerunki nieboszczyków. Jane Elwood odeszła z tego świata 6 stycznia w wieku 45 lat. William Marl odszedł 5 stycznia, pozostawiając w głębokim żalu... Mary Treves lat 5, 14 marca 1835... To zbyt dawno. „W Twojej obecności jest pełnia radości”. Szczęściara z tej Mary Treves.

Niemal dochodziła już do muru. Groby w tej części były zaniedbane i obrośnięte chwastami, wyraźnie tym skrawkiem cmentarza nikt się nie opiekował. Wiele nagrobków się poprzekrzywiało, niektóre leżały na ziemi, mur się kruszył, miejscami był popękany.

Z drogi tego miejsca nie widać, zasłania je kościół. Na pewno dzieciaki się tu zakradają i dewastują co się da. Tuppence pochyliła się niżej nad jedną z tablic. Oryginalne litery były mocno zatarte, ale uniósłszy płytę, Tuppence zobaczyła kilka nabazgranych liter i słów, także częściowo zarośniętych mchem.

Zaczęła wodzić po nich palcem i wreszcie odczytała niektóre wyrazy:

Ktokolwiek... zgorzły... jedno z tych najmniejszych...

Młyński kamień... Młyński kamień... Młyński kamień...

I pod spodem, wyryte nierówno, po amatorsku:

Tu leży Lily Waters.

Tuppence gwałtownie wciągnęła powietrze. Była świadoma, że z tyłu czai się jakiś cień, ale nim zdążyła się obejrzeć, poczuła silny cios w tył głowy. Padła twarzą na grób, pogrążona w bólu i ciemności.

Księga trzecia

Zaginiona żona

Rozdział X

Konferencja i później

1

— No dobra, Beresford — powiedział generał major sir Josiah Penn, któremu po nazwisku przysługiwał imponujący ciąg skrótów takich jak CB* DSO* tonem stosownym do imponującego ciągu literek po nazwisku. — Co myślisz o tym całym klituś-bajduś?

Tommy zrozumiał z tej uwagi, że Stary Josh, jak nazywano go za plecami, nie jest zachwycony wynikami konferencji, w której obaj uczestniczyli.

— Picu picu przy księżycu — burczał sir Josiah. — Byle dużo gadać, ale nic nie powiedzieć. A jak już komuś wymknie się czasem coś sensownego, to zaraz wstaje ze czterech buców i zaczyna ujadać. Zupełnie nie wiem, co my do tego mamy. Natomiast wiem, dlaczego ja tu jestem: bo nie mam nic lepszego do roboty. Gdybym nie przyjeżdżał na te nasiadówki, musiałbym tkwić w domu, a wiesz, co mnie tam spotyka, Beresford? Po prostu mnie terroryzują. I to kto? Moja własna gospodyni, mój własny ogrodnik! Ten stary Szkot, ni mniej, ni więcej, nie daje mi dotknąć moich własnych brzaskwiń. No więc co miałem robić, przyjechałem tutaj, puszę się jak indor i udaję przed samym sobą, że robię coś pożytecznego dla bezpieczeństwa tego kraju. Stek bzdur! Ale co z tobą? Jesteś stosunkowo młody. Po co tracisz czas na takie bzdety? Nawet jeśli powiesz coś ciekawego, i tak nikt cię nie będzie słuchał.

Tommy, nieco ubawiony, że mimo (jego zdaniem) zaawansowanego wieku sir Josiah Penn uważa go za młodzieniaszka, potrząsnął tylko głową. Sam generał major musi mieć wprawdzie osiemdziesiątkę z okładem, jest głuchawy, cierpi na zadyszkę, ale nikt nie powie, że jest głupi!

*kawaler Orderu Łąźni

*Distinguish Sernice Order, przyznawany oficerom w wojsku i marynarce

— Nigdy by do niczego nie doszli, gdyby nie pańska obecność, generale.

— Sam także lubię tak myśleć. Bezzębny za mnie buldog, ale zawsze mogę szczekać. A jak tam pani Tommy? Dawno jej nie widziałem.

Tommy zapewnił go, że Tuppence ma się świetnie i jest bardzo aktywna.

— Zawsze taka była. Czasem przywodzi mi na myśl ważkę. Wciąż ugania się za czymś, co wydaje się absolutnie bez sensu, a potem się okazuje, że miała rację. Świetna zabawa! — mówił generał z uznaniem. — Nie tak jak te wszystkie podstarzałe entuzjastki, co to im w głowie tylko jakaś tam Sprawa przez duże S. A te dzisiejsze dziewczęta... — Pokręcił ze smutkiem głową. — Nie takie były za moich młodych lat. Śliczne jak obrazeczki, w muślinowych sukniach... I nosiły kapelusze w kształcie dzwonu, pamiętasz? Nie, no przecież chodziłeś wtedy do szkoły. Trzeba było dobrze zaglądać pod rondko, żeby zobaczyć twarz. Co za męka! I te szelmutki o tym wiedziały. Przypominam sobie teraz... to była twoja krewna, zdaje się, ciotka? Ada. Ada Fanshawe...

— Ciotka Ada?

— Najładniejsza dziewczyna, jaką znałem.

Tommy z trudem ukrył zaskoczenie. Ciotka Ada ładna? To wprost nie do wiary. Stary Josh jednak mówił dalej i głos mu nieco drżał.

— Tak, śliczna jak obrazek. I taka z biglem. Wesoła! Prawdziwa trzpiotka. Ach, pamiętam, kiedy ją widziałem po raz ostatni, jako młodszy oficer tuż przed wyjazdem do Indii. Byliśmy na plaży, na pikniku w świetle księżyca. Odeszliśmy od innych, usiedliśmy sobie na skale i patrzyliśmy na morze...

Tommy przyglądał mu się z wielkim zainteresowaniem. Widział dwa podbródki, łysą głowę i ogromne brzuszysko. Pomyślał też o ciotce Adzie, o jej wąsikach, sarkastycznym uśmiechu, stalowosiwych włosach, złośliwym błysku w oczach. Czas... Co też on z ludźmi wyprawia! Tommy próbował sobie wyobrazić młodego oficerka z ładną dziewczyną w świetle księżyca, ale nic z tego nie wyszło.

— Romantyk ze mnie... — westchnął sir Josiah. — Tak, tak, romantyk... Najchętniej oświadczyłbym się jej wtedy, ale cóż... Nie można prosić dziewczyny o rękę przy tak niskiej randze. Nie ta pensja! Musielibyśmy czekać pięć lat, a nie wypada wymuszać na pannie tak długiego narzeczeństwa. Sam wiesz, jak to bywa... No więc wyjechałem do Indii i dużo czasu minęło, nim wyrwałem się na urlop. Pisywaliśmy trochę do siebie, ale potem to się urwało, jak zwykle w takich wypadkach. Już nigdy jej nie zobaczyłem, a jednak... A jednak jej nie zapomniałem. Często o niej myślę. Raz, wiele lat później, omal do niej nie napisałem. Podobno była w okolicy, w której i ja się znalazłem z pewnymi ludźmi. Pomyślałem, że pojedę, zapytam, czy mogę ją odwiedzić. Ale potem powiedziałem sobie w duchu: „Ty stary kretynie! Przecież ona zupełnie inaczej teraz wygląda”. Minęło jeszcze parę lat i znów ktoś o niej wspomniał. Powiedział, że jest najbrzydszą staruchą na świecie. Nie wierzyłem własnym uszom, ale cóż... Może miałem

szczęście, że jednak jej nie widziałem. Co też się z nią teraz dzieje? Żyje?

— Nie, umarła. I to zaledwie parę tygodni temu.

— Naprawdę, naprawdę? No tak... Miałaby teraz jakieś siedemdziesiąt pięć czy sześć lat. Może trochę więcej.

— Miała osiemdziesiąt.

— No patrzcie! Ada, taka żywa czarnulka... Gdzie umarła? W domu opieki, czy też miała kogoś do towarzystwa? Bo chyba nie wyszła za mąż, prawda?

— Nie, nie miała męża. Mieszkała w domu dla starszych pań, nawet dość przyjemnym, o nazwie Słoneczne Wzgórze.

— Tak, słyszałem o nim. Mieszkała tam znajoma mojej siostry, pani... pani Carstairs. Zetknąłeś się z nią może?

— Nie, właściwie nikogo tam nie znam. Każdy kto przyjeżdża, odwiedza tylko swoich krewnych.

— To chyba musi być trudne, co? Bo przecież nie ma o czym z nimi rozmawiać.

— Ciotka Ada miała wyjątkowo trudny charakter. Istna sekutnica.

— Całkiem możliwe — zachichotał generał. — Już jako dziewczyna była z piekła rodem. — Po chwili dodał z westchnieniem: — Diabelska sprawa, ta starość. Jedną z przyjaciółek mojej siostry miewała urojenia. Biedaczka wyobrażała sobie, że kogoś zabiła.

— Dobry Boże! To prawda?

— Ach, nie, nie przypuszczam. Nikt jej o to nie posądza. Ale owszem — dodał po namyśle — uważam, że byłaby zdolna do morderstwa. Jeśli ktoś rozpowiada takie rzeczy bez najmniejszego skrepowania, nikt mu nie wierzy, prawda? Zabawny pomysł...

— A kogo miałyby zabić?

— Ba, gdybym to ja wiedział. Nie mam bladego pojęcia. Kiedy ją poznałem, była już wdową. Cóż... przykro mi z powodu Ady. Nie zauważyłem nekrologu, gdybym wiedział, przysłałbym kwiaty. Bukieciak z paczków róż czy coś w tym rodzaju. Taki, jakie młode dziewczęta przypinały do wieczorowych sukien. Bardzo to było ładne. Pamiętam Adę w wieczorowej sukni koloru hortensji, lilaróż. I do tego różowe różyczki, nawet mi jedną dała... Oczywiście były sztuczne. Latami ją przechowywałem... Wiem, wiem — dodał, patrząc na minę Tommy'ego — ciebie to pewnie śmieszy, co? Ale powiem ci jedno: kiedy naprawdę się zestarzejesz, też się zrobisz taki sentymentalny. No, chyba powinienem obejrzeć ostatni akt tych śmiesznych popisów. Pozdrów serdecznie panią T.

Następnego dnia w pociągu Tommy wrócił myślą do tej rozmowy. Uśmiechając się do siebie, próbował raz jeszcze wykreować przed oczami wizerunek swej srogiej ciotki i zapalczywego generała w czasach ich młodości.

— Muszę opowiedzieć o tym Tuppence — mruknął. — Ale się uśmieje. Ciekawe, co też ona robiła w czasie mojej nieobecności?

Raz jeszcze uśmiechnął się do swych myśli.

2

Wierny Albert z powitalnym uśmiechem na twarzy otworzył drzwi.

— Cieszę się, że pan już wrócił.

— Ja też się cieszę. Gdzie pani Beresford?

— Jeszcze jej nie ma, proszę pana.

— Chcesz powiedzieć, że nie wróciła z podróży?

— Wyjechała cztery dni temu. Ale ma wrócić na obiad, wczoraj dzwoniła i tak powiedziała.

— Co ona knuje, Albercie?

— Nie wiem, proszę pana. Wzięła samochód, ale także mnóstwo rozkładów jazdy. Powiedziałbym, że może być wszędzie.

— Rzeczywiście, powiedziałbyś. Na przykład w John o’Groat’s... na Land’s End... I w drodze powrotnej pewnie spóźniła się na połączenie w Little Dither on the March. Niech Bóg ma w opiece Brytyjskie Koleje! Dzwoniła wczoraj, powiadasz? A nie mówiła, skąd?

— Nie.

— O której to było godzinie?

— Rano, przed lunchem. Powiedziała tylko, że wszystko w porządku. Nie była pewna, o której dotrze do domu, ale chciała wrócić przed obiadem i prosiła o kurczaka. Może być, prawda?

— Tak, tak — odparł Tommy, zerkając na zegarek. — Ale będzie musiała nieźle naciskać na gaz.

— Zatrzymam tego kurczaka.

Tommy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Bardzo słusznie, trzymaj. Najlepiej za ogon. A ty jak się miewasz, Albercie? W domu wszystko dobrze?

— Obawiałem się odry, ale już jest w porządku. Lekarz mówi, że to pokrzywka po truskawkach.

— No i dobrze — zamknął temat Tommy.

Poszedł na górę, pogwizdując pod nosem. Ogolił się, umył i rozejrzał po sypialni. Wyglądała dziwnie pusto, jak to bywa z niektórymi wnętrzami opuszczonymi przez użytkownika, gdzie aż w oczy bije chłód... Wszystko było porządnie poukładane i wysprzątane. Tommy pomyślał smutno, że tak chyba muszą czuć się wierne psy po wyjeździe pani... Sypialnia sprawiała wrażenie, jakby Tuppence nigdy w niej nie mieszkała. Ani rozsypanego pudru, ani otwartej książki odłożonej grzbietem do góry...

— Proszę pana?

W progu stał Albert.

— No?

— Zaczynam się martwić o tego kurczaka.

— Do diabła z kurczakiem! Zdaje się, że działa ci na nerwy.

— Cóż, przejmuję się tak samo jak pan. Nie powinna być później niż o ósmej.

— Też tak uważam. — Tommy spojrział na zegarek. — Dobry Boże, jest już po wpół do dziewiątej?

— Tak, proszę pana. A ten kurczak...

— Daj spokój, Albercie, po prostu wyjmij go z piecyka i podziel na nas dwóch. Dobrze jej tak! To ma być „przed obiadem”?!

— Oczywiście niektórzy jadają później. Kiedyś byłem w Hiszpanii i proszę mi wierzyć, nie dostanie się tam nic do jedzenia przed dziesiątą. Dziesiątą wieczorem! Co za naród, ani krzty kultury!

— Aha — zgodził się z roztargnieniem Tommy. — Nawiasem mówiąc, nie wiesz czasem, gdzie ona właściwie była przez cały ten czas?

— Znaczący się, pani? Nie wiem. Pewnie kręciła się tu i tam. Z początku chciała jeździć w różne miejsca pociągiem, z tego, co zrozumiałem. Ciągłe przeglądanie rozkładów jazdy i tak dalej.

— Dobrze, w końcu każdy zabawia się na swój sposób. Moja żona, jak się zdaje, najbardziej lubi podróże pociągami. Swoją drogą, gdzie ona się podziewa? Jak nic, siedzi w damskiej poczekalni w Little Dither on the March.

— Przecież wiedziała, że pan dziś przyjeżdża, prawda? Więc jakoś tu dotrze. Na pewno.

Tommy zrozumiał, że właśnie ofiarowano mu akt lojalności. On i Albert złączyli swe siły i wspólnie potępili Tuppence, która wskutek swych flirtów z Brytyjskimi Kolejami nie wróciła na czas do domu i lekceważąc swe obowiązki, nie zgotowała strudzonemu mężowi stosownego powitania.

Albert poszedł do kuchni uwolnić kurczaka od zagrażającej mu kremacji w piekarniku.

Tommy, który już miał udać się za nim, zatrzymał się nagle wpół kroku i spojrział w stronę kominka. Postąpił parę kroków i ogarnął wzrokiem wiszący na ścianie obraz. Śmieszne, że Tuppence tak mocno obstawała przy tym, jakoby widziała przedtem ów dom. On, Tommy, z całą pewnością go nie widział. Zresztą to całkiem zwyczajny dom, jakich wiele.

Wspiął się na palce, ale że nie miał dobrej perspektywy, zdjął obraz ze ściany, by przyjrzeć mu się lepiej przy świetle. Cichy, spokojny dom. Na dole podpis artysty — nazwisko zaczynało się na B, dalej nie dawało się dokładnie odcyfrować. Bosworth... Bouchier... Tommy wziął lupę, by zbadać rzecz dokładnie. W tym momencie w hallu roz-

legł się wesoły dźwięk krowiego dzwonka. Albert z wielkim uznaniem odniósł się do szwajcarskich dzwonek, które Tommy i Tuppence przywieźli kiedyś z Grindelwaldu, i po pewnym czasie stał się prawdziwym wirtuozem owego instrumentu. Obiad na stole... Tommy posłusznie zszedł do jadalni. Dziwne, że Tuppence dotąd się nie zjawiała. Nawet jeśli złapała gumę, co wydawało się prawdopodobne, powinna zadzwonić i wytłumaczyć spóźnienie.

— Mogłaby się domyślić, że się niepokoję — powiedział do siebie.

Oczywiście tak naprawdę nigdy się nie martwił o żonę. Z nią zawsze wszystko było w porządku. Albert jednak nie podzielał tego zdania.

— Mam nadzieję, że nie miała wypadku — zauważył, podając Tommy'emu półmisek z kapustą.

— Zabierz to. Dobrze wiesz, że nie znoszę kapusty. Co za pomysł z tym wypadkiem? Przecież jest dopiero wpół do dziesiątej.

— Dzisiejsze drogi to czysty horror. Każdy może mieć wypadek.

Zadzwonił telefon.

— To ona! — krzyknął Albert.

Czym prędzej odstawił półmisek na kredens i wybiegł z pokoju.

Tommy także zostawił talerz z kurczakiem i pośpieszył do hallu, wołając: „Już odbieram”, ale Albert go wyprzedził.

— Tak? Tak, pan Beresford jest w domu, już podchodzi. — Obrócił się do Tommy'ego. — Jakiś doktor Murray do pana.

— Doktor Murray? — Tommy zastanawiał się przez chwilę. Nazwisko wydało mu się znajome, ale jakoś nie potrafił sobie przypomnieć, kto to taki. Jeśli Tuppence miała wypadek... Nagle go olśniło. To przecież doktor Murray opiekował się staruszkami w Słonecznych Wzgórzach. Pewnie chodzi o jakieś formalności związane z pogrzebem ciotki Ady. Tommy, prawdziwe dziecko swoich czasów, od razu pomyślał o takich czy innych dokumentach — o czymś, co on albo doktor Murray muszą podpisać.

— Halo, tu Beresford.

— O, cieszę się, że pana złapałem. Pamięta mnie pan, mam nadzieję? Opiekowałem się pańską ciotką, panną Fanshawe.

— Tak, oczywiście. Czym mogę panu służyć?

— Chciałbym zamienić z panem kilka słów. Może moglibyśmy się spotkać w mieście któregoś dnia?

— Czemu nie, bardzo chętnie. A... czy chodzi o coś, czego nie można powiedzieć przez telefon?

— To raczej nie jest sprawa na telefon. Wprawdzie nie ma wielkiego pośpiechu, ale chciałbym z panem pogadać.

— Mam nadzieję, że to nic złego? — spytał Tommy, zachodząc w głowę, skąd mu się

wzięło takie przypuszczenie. Dlaczego miałoby chodzić o coś złego?

— Nie, właściwie nie. Być może robię z igły widły, prawie na pewno tak jest. Ale w Słonecznych Wzgórzach dzieją się dziwne rzeczy.

— Chyba nie chodzi o panią Lancaster?

— O panią Lancaster? — lekarz zdawał się zaskoczony. — Ach, nie. Ona wyjechała jakiś czas temu, jeszcze przed śmiercią pańskiej ciotki. To coś zupełnie innego.

— Nie było mnie w domu, dopiero co wróciłem. Zadzwoń do pana jutro rano, to się umówimy, dobrze?

— W porządku. Podam panu numer, do dziesiątej będę w ambulatorium.

— Złe wieści? — spytał Albert, gdy Tommy wrócił do jadalni.

— Na miłość boską, przestań krakać! Nie, oczywiście, że nic złego.

— Myślałem, że może pani...

— Nic jej nie jest. Jak zawsze. Prawdopodobnie zwęszyła jakąś zwierzynę i teraz ją śledzi. Wiesz, jaka ona jest. Nie zamierzam się więcej martwić. Zabierz talerz. Za długo trzymałeś tego ptaka w gorącym piecu i teraz jest niejadalny. Przynieś mi kawę, a potem idę spać.

— Jutro na pewno będzie list. Opóźnienie na poczcie, wie pan, jak to jest. A może zadesperuje albo zadzwoni.

Ale następnego dnia nie było ani listu, ani depeszy, ani telefonu.

Albert zerkał spod oka na Tommy'ego. Wiele razy otwierał usta i znowu je zamykał, trafnie osądzając, że ponure przepowiednie nie będą mile widziane.

W końcu Tommy'emu zrobiło się go żal. Przełknął ostatni kęs grzanki z dżemem, popił go kawą i przerwał milczenie:

— No dobra, Albercie, powiem to pierwszy: Gdzie ona jest? Co się z nią stało? I co wobec tego robimy?

— Zgłosimy na policję?

— Nie jestem pewien. Widzisz...

— Bo jeśli był wypadek...

— Miała przy sobie prawo jazdy. I parę innych dokumentów. Szpitale dość szybko zgłaszają takie sprawy... nawiązują kontakt z krewnymi i tak dalej. Nie chcę przesądzać, ale... ona sama mogła sobie tego nie życzyć. Ty absolutnie nie masz pojęcia, dokąd pojechała? Nic nie mówiła? Może wspomniała chociaż nazwę hrabstwa albo jakiegoś miejsca?

Albert potrząsnął tylko głową.

— A w jakim była nastroju? Zadowolona? Podekscytowana? Zmartwiona?

Tym razem padła natychmiastowa odpowiedź.

— Radosna jak ptaszek. Aż tryskała zadowoleniem.

— Niczym terier na tropie — mruknął Tommy.

— Właśnie tak, proszę pana. Sam pan wie, jak...

— Jak ona się czego uczepli, co? Ale zastanawia mnie jedno... — Tommy umilkł.

Coś rzeczywiście musiało wyjść na jaw i jak powiedział do Alberta, Tuppenca ruszyła do przodu z nosem przy ziemi niczym terier. Ale dlaczego nie wróciła? Może teraz, w tej chwili, siedzi gdzieś i łże jak z nut, tak tym pochłonięta, że nie ma głowy do niczego innego.

Jeśli zaangażowała się w pościg, to przecież wpadłaby w furję, gdyby Tommy popsuł jej szyki, udając się jak ten baran na policję i zgłaszając zaginięcie żony. Już słyszał te wymówki: „Jak mogłeś być taki głupi! Przecież świetnie potrafię dać sobie radę, jeszcze się nie nauczył?”. Ale czy rzeczywiście potrafi?

Nigdy nie wiadomo, dokąd Tuppenca zaprowadzi jej wyobraźnia.

W niebezpieczeństwo? Jak dotąd nie ma żadnego dowodu, że coś jej może zagrażać... z wyjątkiem, jako się rzekło, jej własnej wyobraźni.

A gdyby jednak poszedł na policję i oświadczył, że żona nie wróciła do domu w spodziewanym czasie? No cóż, staraliby się sprawiać wrażenie szalenie taktownych, a w duchu by się śmiali. Potem — nadal bardzo oględnie — wypytaliby go o zaprzyjaźnionych z nią mężczyzn.

— Znajdę ją — oznajmił z mocą Tommy. — Gdzieś przecież musi być. Nie mam pojęcia, czy na wschodzie, zachodzie, północy albo południu... Głupia gęś! Że też nie zostawiła żadnej informacji, kiedy tu dzwoniła.

— Może jakiś gang ją porwał — podsunął mu Albert.

— Och, dorośnijże wreszcie, Albercie! Za stary jesteś na takie bajdy!

— Więc co pan zamierza?

— Jadę do Londynu — odparł Tommy, zerkając na zegarek. — Najpierw zjem w klubie lunch z doktorem Murrayem, który ma mi coś do powiedzenia w sprawie mojej zmarłej ciotki. Może podsunie mi jakiś ślad, w końcu cała ta sprawa zaczęła się w Słonecznych Wzgórzach. Zabiorę też ten obraz znad kominka w sypialni.

— Zabierze go pan do Scotland Yardu?

— Nie, na Bond Street.

Rozdział XI

Bond Street i doktor Murray

1

Tommy wyskoczył z taksówki, zapłacił kierowcy i zabrał się do wyciągania z pojazdu dość niezgrabnie zapakowanego obrazu. Wcisnąwszy go sobie z trudem pod pachę, wszedł do New Athenian, jednej z najbardziej zasłużonych galerii sztuki w Londynie.

Choć nie należał do mecenasów sztuki, przyjaźnił się z człowiekiem, który w New Athenian piastował urząd.

„Piastował urząd” to jedyne możliwe określenie, a to z powodu atmosfery owego miejsca; życzliwe zainteresowanie, przyciszone głosy, miłe uśmiechy — wszystko to kojarzyło się bardziej ze świątynią niż galerią.

Na spotkanie Tommy'ego wyszedł młody blondyn, wyraźnie ucieszony widokiem znajomego.

— Cześć, Tommy, wieki cię nie widziałem. Co tam taszczysz pod pachą? Tylko mi nie mów, że na stare lata zacząłeś malować. Wielu ludzi tak robi... zwykle z opłakany-
mi rezultatami.

— Twórczość artystyczna raczej nie należy do moich mocnych stron. Chociaż muszę przyznać, że kiedyś bardzo mnie zainteresowała pewna książeczka, która w najprost-
szych słowach objaśniała pięciolatkom tajniki malarstwa akwarelowego.

— I zamierzasz się do tego stosować? Niech Bóg ma nas w opiece!

— Prawdę rzekłszy, Robercie, chcę cię tylko prosić o małą ekspertyzę. Zależy mi na
twojej opinii w sprawie tego tu...

Robert bez słowa wziął od Tommy'ego obraz i rozwinął go z papieru z wprawą czło-
wieka przywykłego do pakowania i rozpakowywania dzieł sztuki o najrozmaitszych
wymiarach. Ustawił malowidło na krześle, przyjrzał mu się najpierw z bliska, potem

z odległości kilku kroków.

— No i o co chodzi? — spytał, zwracając się do Tommy'ego. — Co chciałbyś wiedzieć? Zamierzasz sprzedać ten obraz, tak?

— Nie, nie. Chcę tylko czegoś się o nim dowiedzieć. Po pierwsze: kto go namalował?

— Właściwie — rzekł Robert — gdybyś miał chęć go sprzedać, to wziąłbyś całkiem niezłą sumkę. Jeszcze dziesięć lat temu nie byłoby to możliwe, ale Boscowan wyraźnie znów wchodzi w modę.

— Boscowan? To nazwisko artysty? Widziałem, że podpis zaczyna się na B, ale dalej nie mogłem odczytać.

— Ależ tak, to Boscowan. Ćwierć wieku temu cieszył się dużą popularnością. Dobrze się sprzedawał, miał dużo wystaw. Technicznie był bardzo dobry, ale potem, zwykłą kolejną rzeczy, wypadł z obiegu. Długo nikt się nim nie interesował, ale ostatnio — owszem. On, Stitchwort i Fondella znów wracają na rynek.

— Boscowan — powtórzył Tommy.

— B-o-s-c-o-w-a-n — przeliterował Robert.

— Czy on nadal maluje?

— Nie, zmarł kilka lat temu. W dość podeszłym wieku, chyba miał ze sześćdziesiąt pięć lat. Był płodnym malarzem, zostawił sporo płócien. Właściwie myślimy o urządzeniu wystawy jego obrazów za jakie pięć miesięcy. Spodziewamy się niezłe na tym wyjść. A czemu tak się nim interesujesz?

— To długa historia. Kiedyś zaproszę cię na lunch i opowiem wszystko od początku. Będzie to opowieść długa, skomplikowana i w sumie dość idiotyczna. A teraz chciałbym tylko dowiedzieć się wszystkiego o tym Boscowanie i może przypadkiem wiesz, gdzie znajduje się ten dom?

— Tego ostatniego na razie ci nie powiem. Rozumiesz, on sporo takich rzeczy namalował. Wiejskie domki położone w ustronnych zakątkach, czasem jakaś zagroda, kilka krów, na dalszym planie furmanka, takie tam pejzażyki, spokojne, nieprzeładowane szczegółami. Tło nieraz jest gładkie jak emalia. To dość osobliwa technika i ludziom się podoba. Dużo płócien powstało we Francji, głównie w Normandii, kościoły... Nawet teraz mam tu jeden jego obraz. Poczekaj, pokażę ci. — Podeszedł do schodów i zawołał kogoś z dołu. Niebawem wrócił z niedużym płótnem. — O, widzisz? Kościół w Normandii.

— No tak. Ten sam styl. Moja żona mówi, że w tym domu nikt nigdy nie mieszkał... Wiesz, w domu na tym moim obrazie. Teraz rozumiem, co miała na myśli; w tym kościele też nikt nie słucha nabożeństwa. I nigdy nie słuchał.

— Cóż, może twoja żona to uchwyciła: cicha, spokojna budowla, ale bez ludzkiej obecności. On rzadko malował ludzi. Czasem na tle krajobrazu widać jedną postać, naj-

wyżej dwie. Myślę, że do pewnego stopnia na tym polega urok jego malarstwa — to wrażenie wyizolowania... Zupełnie jakby specjalnie usunął wszystkich ludzi, żeby nie mącili spokoju krajobrazu. I może dlatego tak bardzo trafia w powszechne gusty? Dziś wszędzie jest za dużo wszystkiego: ludzi, samochodów, hałasu. Spokój, błogi spokój... Zostawmy to wszystko Naturze.

— Tak, też się temu nie dziwię. A jaki on był jako człowiek?

— Nie znałem go osobiście, jestem za młody. Ale na pewno był bardzo zarozumiały. Uważał się za lepszego malarza niż miał do tego prawo. Trzymał się na uboczu. W sumie dawał się lubić. Podobno pies na dziewczyny.

— I naprawdę nie wiesz, co za miejsce jest na tym obrazie? Mam nadzieję, że to Anglia.

— Tak, raczej tak. Chcesz, żebym się dowiedział?

— A mógłbyś?

— Najlepiej będzie zapytać żonę... to znaczy wdowę. To Emma Wing, znana rzeźbiarka. Niezbyt produktywna, wykonuje dość monumentalne dzieła. Możesz do niej pójść, mieszka w Hampstead. Ostatnio korespondowaliśmy z sobą, bo jak wiesz, szykujemy tę wystawę. Mamy też kilka jej mniejszych rzeźb. Zaraz ci dam adres.

Podszedł do biurka, przewrócił kartki rejestru, wreszcie zapisał coś na kartce.

— Masz. Nie wiem, co to znowu za straszna tajemnica, ale ty zawsze byłeś tajemniczy, prawda? Bardzo przyjemny ten twój Boscowan, chętnie wzięlibyśmy go na wystawę. Napiszę do ciebie, jak będzie zbliżał się termin.

— Znasz może panią Lancaster?

— Nie powiem ci tak od ręki. To jakaś artystka?

— Nie, raczej nie. Staruszka, która przez ostatnich kilka lat mieszkała w domu opieki. A pytam dlatego, że była właścicielką tego obrazu, póki nie podarowała go mojej ciotce.

— Cóż, nazwisko nic mi nie mówi. Lepiej pogadaj z panią Boscowan.

— Jaka ona jest?

— Znacznie młodsza od męża. I co za charakter... Tak, charakter to ona ma. Zresztą sam się przekonasz.

Robert wziął obraz i podał go na dół z poleceniem ponownego zapakowania.

— Miło mieć całą armię na każde skinienie — zauważył Tommy. Dopiero teraz rozejrzał się uważnie po galerii. — Co tu masz? — spytał, krzywiąc się z niesmakiem.

— Paul Jaggerowski, interesujący młody Słowianin. Podobno wszystko tworzy pod wpływem narkotyków. Nie podoba ci się?

Tommy wpatrywał się w dużą sznurkową torbę, która zdawała się płatać po metalicznie zielonym polu, pełnym zniekształconych krów.

— Szczerze mówiąc, nie.

— Filister! Chodźmy na jakiś lunch.
— Nie mogę. Umówiłem się w klubie z pewnym lekarzem.
— Ale nie jesteś chory?
— Wprost przeciwnie, tryskam zdrowiem. Mam tak dobre ciśnienie, że sprawiam zawód każdemu lekarzowi, który je bada.
— Więc po co spotykasz się z lekarzem?
— Ach, muszę z nim pogadać o zwłokach — rzucił beztrąsko Tommy. — Dzięki za pomoc. Do widzenia.

2

Tommy powitał doktora Murraya z pewną ciekawością. Przewidywał, że chodzi mu o jakąś formalność w związku ze zmarłą ciotką, ale czemu, u licha, nie wspomniał ani słowa na ten temat przez telefon?

— Przepraszam za to małe spóźnienie — powiedział doktor Murray, ściskając rękę Tommy'emu — ale są potworne korki, a na dodatek nie byłem pewien, jak jechać. Nie znam zbyt dobrze tej części Londynu.

— Cóż, współczuję, że musiał pan przepychać się aż tutaj. Mogliśmy przecież spotkać się w wygodniejszym miejscu.

— Ma pan teraz trochę czasu?

— Tak, w tej chwili tak. W zeszłym tygodniu wyjeżdżałem.

— Wiem, ktoś mi o tym powiedział, kiedy dzwoniłem.

Tommy wskazał mu krzesło, zaproponował coś do picia, podsunął papierosy i zapalki. Kiedy obaj siedzieli już wygodnie, doktor Murray zaczął rozmowę:

— Na pewno wzbudziłem pańską ciekawość, ale widzi pan, mamy w Słonecznych Wzgórzach pewne kłopoty. To trudna i dość nieprzyjemna sprawa, chociaż nie ma nic wspólnego z panem. Właściwie nie mam prawa pana niepokoić, ale może przypadkiem wie pan coś, co mogłoby mi pomóc.

— Oczywiście, zrobię, co w mojej mocy. Czy chodzi o moją ciotkę?

— Nie, przynajmniej nie bezpośrednio. Chociaż w pewien sposób jest ona powiązana ze sprawą. Ale... czy mogę liczyć na pańską dyskrecję?

— Tak, naturalnie.

— W rzeczy samej rozmawiałem kiedyś z naszym wspólnym znajomym. Opowiedział mi trochę o panu. Jak zrozumiałem, podczas wojny pełnił pan dość delikatną misję?

— Och, nie traktowałbym tego aż tak poważnie — odparł Tommy z kamiennym wyrazem twarzy.

— Nie, nie, doskonale rozumiem, że o tym się nie mówi.

— Te sprawy raczej nie mają teraz znaczenia. Od wojny minęło tyle lat... Byliśmy wtedy z żoną bardzo młodzi.

— Tak czy inaczej, to, o czym chcę z panem pogadać, nie ma z tamtą sprawą nic wspólnego. Wiem jednak, że mogę mówić szczerze i w zaufaniu, że niczego pan nie powtórzy, choć oczywiście wszystko to może kiedyś wyjść na jaw.

— Ma pan na myśli te kłopoty w Słonecznych Wzgórzach?

— Właśnie. Niedawno zmarła jedna z naszych pacjentek, niejaka pani Moody. Nie wiem, czy pan się kiedyś z nią zetknął, a może ciotka wspominała to nazwisko?

— Pani Moody? — zastanowił się Tommy. — Nie, nie przypominam sobie.

— Nie należała do tych najstarszych. Nie przekroczyła siedemdziesiątki i w zasadzie nic jej nie dolegało. Ot, po prostu starsza pani bez bliskich krewnych i bez osoby, która mogłaby się nią zaopiekować w domu. Ja tę kategorię kobiet nazywam „kwoczki”. Z wiekiem coraz bardziej się do nich upodabniają: „gdaczą”, zapominają o różnych rzeczach, wpadają w kłopoty, ciągle się martwią. Robią z igły widły. Ale tak naprawdę nic im nie jest, pod względem umysłowym także są w porządku.

— I tylko gdaczą.

— No właśnie. Pani Moody gdakała. Przysparzała pielęgniarce mnóstwa kłopotów, chociaż nawet dość ją lubiły. Miała zwyczaj zapominać, że dopiero co zjadła posiłek, a potem awanturowała się, że jej nie podano.

— Ach! — Tommy doznał olśnienia. — Pani Kakao!

— Co, proszę?

— Przepraszam, to moja żona tak ją nazwała. Kiedyś przechodziliśmy korytarzem i ta pani okropnie wydzierała się na pielęgniarkę Jane, bo rzekomo nie dostała kakao. Taka miła, drobna kobietka. Uśmieśliśmy się wtedy i odtąd nazywamy ją między sobą „pani Kakao”. A więc umarła?

— Nawet mnie to specjalnie nie zdziwiło. Praktycznie nie da się przewidzieć, kiedy taka staruszka umrze. Kobiety w bardzo złym stanie zdrowia, którym po badaniu nie dajemy więcej niż rok, żyją czasem i dziesięć. Potrafią czepiać się życia z siłą, jakiej byle dolegliwość nie jest w stanie naruszyć. A znów inne, zdawałoby się, całkiem zdrowe, takie, które powinny dożyć sędziwego wieku, łapią nagle bronchit albo grypę. Potem się okazuje, że nie są już w stanie odzyskać dawnych sił i wprost niewiarygodnie szybko umierają. Dlatego jako lekarz domu opieki nigdy się nie dziwię, kiedy wzywają mnie do nagłego zgonu. Ale przypadek pani Moody różnił się nieco od innych. Umarła we śnie, bez jakichkolwiek wcześniejszych objawów choroby i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że ta śmierć rzeczywiście była czymś niezwykłym. W „Makbecie” Szekspira zawsze intrygowało mnie pewne zdanie, które Makbet wypowiada o swej żonie: „Powinna była umrzeć nieco później”^{*}. Co właściwie miał na myśli?

^{*}Akt V, scena V, tłum Józef Paszowski

— Tak, pamiętam, że też się zastanawiałem, o co Szekspirowi tutaj chodziło. Zapomniałem, kto to reżyserował i kto grał Makbeta, ale w tej akurat inscenizacji bardzo mocno sugerowano, że Makbet dawał wcześniej do zrozumienia medykowi, by usunął królową z drogi. I medyk aluzję zrozumiał, lecz Makbet, który po śmierci żony poczuł się wprawdzie wolny od zagrożenia jej niedyskrecjami, wyraża tu swój prawdziwy żal: „Powinna była umrzeć nieco później”.

— Tak! Właśnie takie miałem wrażenie po śmierci pani Moody. Powinna umrzeć później. Nie trzy tygodnie temu, i to bez żadnego wyraźnego powodu.

Tommy nie odpowiedział. Patrzył tylko na lekarza pytającym wzrokiem.

— Medycy mają swoje problemy — ciągnął tamten. — Jeśli głośisz się nad przyczyną śmierci pacjenta, masz tylko jeden sposób, by poznać prawdę: przeprowadzić sekcję. Rodzina zwykle protestuje, toteż jeśli lekarz upiera się przy swoim, a sekcja wykaże śmierć z przyczyn naturalnych albo z rozpoznanej wcześniej choroby, wtedy jego kariera może być poważnie zagrożona. Bo nie postawił właściwej diagnozy...

— Rozumiem, że to dość kłopotliwe.

— W tym przypadku krewni okazali się dalekimi kuzynami. Wziąłem na siebie uzyskanie ich zgody, gdyż przyczyna śmierci interesowała nas ze względów medycznych. Kiedy pacjentka umiera we śnie, zaleca się, by przy okazji wzbogacić wiedzę medyczną. Nawiasem mówiąc, powiedziałem im to bardzo oględnie, nie chciałem być zbyt wielkim formalistą. Na szczęście wcale ich to nie obeszło, więc kamień spadł mi z serca. Przy pomyślnym wyniku sekcji mógłbym bez przeszkód wypisać świadectwo zgonu. Każdy może umrzeć na to, co po amatorsku określa się zapaścią, wywołaną taką czy inną przyczyną. Serce pani Moody w zasadzie było w dobrym stanie, jak na jej wiek. Cierpiała na artretyzm i reumatyzm, miała też czasem kłopoty z wątrobą, ale żadna z tych chorób nie powoduje śmierci we śnie.

Doktor Murray przerwał swój wywód. Tommy otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Lekarz skinął głową.

— Tak, panie Beresford. Dobrze pan zrozumiał, do czego zmierzam. Śmierć nastąpiła w wyniku przedawkowania morfiny.

— Dobry Boże! — wyrwało się Tommy'emu.

— Tak. Wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne, ale od wyniku się nie ucieknie. Pytanie brzmi: w jaki sposób pacjentce podano morfinę? Nie była narkomanką. Nie miała ostrych bóli. Istniały jednak trzy możliwości: mogła paść ofiarą przypadku. Nieprawdopodobne. Mogła wejść w posiadanie leku innej pacjentki i przyjąć go omyłkowo. Też raczej wykluczone. Pacjentkom nie powierza się morfiny i nie pozwala na posiadanie tego typu leków. No i wreszcie w grę wchodzi samobójstwo, ale też bym ostrożnie podchodził do takich przypuszczeń. Pani Moody, chociaż łatwo się denerwowała, miała dość pogodne usposobienie i na pewno nie myślała o śmierci. Pozostaje jeszcze

jedna możliwość: że ową fatalną dawkę podano jej umyślnie. Ale kto to zrobił i dlaczego? Oczywiście w domu jest zapas morfiny i innych środków odurzających. Panna Packard jako dyplomowana pielęgniarka jest w pełni uprawniona do ich posiadania i na pewno trzyma je pod kluczem. W takich chorobach jak rwa kulszowa czy ostry reumatyzm bóle są bardzo silne i wtedy czasami podajemy morfinę. Mieliśmy nadzieję, że natrafimy na jakieś okoliczności, w których podano pani Moody tak niebezpieczną dawkę. Może sama ją sobie zaaplikowała w przekonaniu, że to lekarstwo na przykład na biegunkę albo bezsenność? Niestety nie udało nam się niczego takiego ustalić i za radą panny Packard podjęliśmy następne kroki. Przejrzeliśmy skrupulatnie wszystkie dokumenty związane z podobnymi przypadkami w Słonecznych Wzgórzach na przestrzeni ostatnich dwóch lat. Nie było ich wiele, co mnie cieszy, najwyżej siedem. W tej grupie wiekowej jest to całkowicie dopuszczalne. Dwa zgony na bronchit — poza wszelkim podejrzeniem, dwa na grypę, która zimą napotyka na bardzo słaby opór u kruchych staruszek, natomiast trzy pozostałe...

Doktor Murray zawiesił głos.

— Panie Beresford — rzekł po chwili milczenia. — Nie widzę uzasadnienia dla owych trzech przypadków, a już na pewno dla jednego... Wszystkie wydawały się całkowicie prawdopodobne, a jednak... Żaden z nich po dogłębnym zbadaniu nie znajduje wytłumaczenia. Należy przyjąć do wiadomości fakt, że w Słonecznych Wzgórzach mamy mordercę. Może to być ktoś z zaburzeniami umysłowymi i na pewno stoi poza wszelkim podejrzeniem.

Zapadła cisza. Tommy westchnął ciężko.

— Nie wątpię w prawdziwość pańskich słów — rzekł po chwili — ale szczerze mówiąc, brzmi to nieprawdopodobnie. Takie rzeczy... nie mogą się przecież zdarzać.

— Ależ tak — odparł ponuro lekarz — zdarzają się, zdarzają. Wystarczy przyjrzeć się kilku patologicznym przypadkom. Kobieta podejmuje pracę służącej. Jest kucharką w różnych domach — miła, uprzejma, o przyjemnej aparycji, lojalna wobec chlebobawców, dobrze gotująca. A jednak prędko czy później coś się zaczyna dziać. Przeważnie chodzi o talerz kanapek. Czasem o jedzenie na piknik. Bez żadnego wyraźnego powodu ktoś dosypuje arseniku do kilku kanapek. Nie wiadomo, kto je weźmie — to kwestia przypadku. Nie, to nie jest żadna osobista zemsta. Bywa i tak, że tragedia się nie wydarza. Ta sama kobieta pracuje gdzieś przez kilka miesięcy — i nic, żadnego śladu choroby. A potem przechodzi do innego domu i po kilku tygodniach dwie osoby umierają po zjedzeniu bekonu na śniadanie. Każdy z tych wypadków zdarza się w różnych częściach Anglii i w nieregularnych odstępach czasu, dlatego morderczyni znika, zanim policja wpadnie na jej trop. Występuje pod różnymi nazwiskami, oczywiście. Ale jest przecież tyle sympatycznych kobiet w średnim wieku, które potrafią gotować, że nie sposób ją wysledzić.

— Po co to robi?

— Chyba tak naprawdę nikt tego nie wie. Istnieje kilka różnych teorii, wymyślonych zwłaszcza przez psychologów. Ona jest dość religijna, więc może to na tym tle... Mogła sobie wmówić, że to Bóg każe jej usunąć ze świata pewnych ludzi, ale sama raczej nie czuła do nich żadnych animozji.

Albo taka Jeanne Gebron, Francuzka. Tę znów nazywano Aniołem Miłosierdzia. Tak bardzo się martwiła, kiedy jej sąsiadom chorowały dzieci, że sama podejmowała się ich pielęgnacji. Siadywała przy łóżeczkach, poświęcała mnóstwo czasu i dopiero po dłuższym czasie ludzie zorientowali się, że żadne dziecko, którym się opiekowała, nie wyzdrowiało. Przeciwnie, wszystkie poumierają. I znów: dlaczego? To prawda, że w młodości sama straciła dziecko. Wydawała się nieutulona w żalu. Może tu leżała przyczyna jej przestępczej kariery? Skoro jej dziecko nie żyje, niech inne także umierają. Ale mogło być i tak, że jej własne dziecko było jedną z ofiar.

— Aż się zimno robi — mruknął Tommy.

— Podałem panu tylko najbardziej dramatyczne przykłady. Tu wszystko może być znacznie prostsze. Pamięta pan Armstronga? Każdego, kto go w jakikolwiek sposób obraził, naprawdę czy tylko w imaginacji, czym prędzej zapraszał na podwieczorek i częstował kanapkami z arsenikiem. Taki rodzaj nadwrażliwości. Ale pierwsze zbrodnie popełniał dla osobistej korzyści. Żeby odziedziczyć pieniądze, żeby pozbyć się żony i poślubić inną kobietę.

I jeszcze siostra Warriner, która prowadziła dom starców. Przekazywali jej wszystkie posiadane środki i mieli zagwarantowaną opiekę i komfort do samej śmierci... Ale śmierć nie dawała długo na siebie czekać. Tam też podawano morfinę. Bardzo sympatyczna kobieta, cóż, skoro zupełnie pozbawiona skrupułów. Uważała się za ich dobrodziejkę.

— I nie ma pan pojęcia, jeśli oczywiście pańskie podejrzenia co do przyczyn tych śmierci są słuszne, kto to może być?

— Nie. Brak jakichkolwiek wskazówek. Przyjąwszy, że zabójca jest psychopatą, musimy wziąć pod uwagę, że niektóre choroby umysłowe są nadzwyczaj trudne do rozpoznania. Powiedzmy, że ta osoba nie lubi starszych, bo ktoś w podeszłym wieku zrujnował kiedyś jej życie, a przynajmniej ona tak uważa? A może ma manię na punkcie zabijania z litości? Myśli, że każdy, kto skończył sześćdziesiąt lat, powinien podlegać łagodnej eksterminacji. To naprawdę może być każdy. Pacjentka, ktoś z personelu, pielęgniarka, sprzątaczką...

Odbyłem na ten temat długą rozmowę z Millicent Packard, kierowniczką tej placówki. To bardzo kompetentna osoba, sprytna, obrotna, o bystrym spojrzeniu zarówno na gości, jak na własny personel. Upiera się, że absolutnie nikogo nie podejrzewa i o niczym nie ma pojęcia. Jestem pewien, że to prawda.

— Ale dlaczego zwrócił się pan do mnie? Co ja mogę zrobić?

— Pańska ciotka, panna Fanshawe, była kobietą wielkiego rozumu, chociaż często udawała, że jest inaczej. Lubiła niekonwencjonalne zabawy i często robiła z siebie zramolałą staruszkę. A co do pana, panie Beresford, to chciałbym, żeby pan razem z żoną spróbował sobie przypomnieć, czy panna Fanshawe kiedykolwiek wspomniała o czymś, co mogłoby nam dać jakąś wskazówkę? Może coś zauważyła, może ktoś jej coś powiedział, może coś ją zdziwiło? Starsze panie dużo widzą, a taka bystra osoba jak panna Fanshawe mogła mieć zaskakująco dużą wiedzę o tym, co działo się w Słonecznych Wzgórzach. One tam nie mają nic do roboty, za to mnóstwo czasu na rozglądanie się wokół siebie i snucie domysłów. Czasem dochodzą do wniosków, które wydają się czytać fantazją, a są całkowicie słuszne.

Tommy potrząsnął głową.

— Wiem, o co panu chodzi. Ale nie przypominam sobie nic w tym rodzaju.

— Pańska żona, jak rozumiem, jest teraz poza domem. Nie sądzi pan, że mogła zapamiętać coś, co pana w ogóle nie zastanowiło?

— Zapytam ją, ale wątpię. — Tommy zawahał się nieco i nagle powziął decyzję. — Wie pan... Coś rzeczywiście nie dawało jej spokoju. To się wiązało z niejaką panią Lancaster.

— Z panią Lancaster?

— Moja żona dowiedziała się, że panią Lancaster zupełnie nagle zabrali ze Słonecznych Wzgórz tak zwani krewni. Tak się złożyło, że owa pani podarowała mojej ciotce obraz. Po śmierci ciotki żona uznała, że powinna go zwrócić pierwotnej właścicielce, więc próbowała nawiązać z nią kontakt, aby zapytać, czy chce go z powrotem.

— Cóż, to bardzo ładnie z jej strony.

— Ale okazało się, że pani Lancaster nie można odnaleźć. Żona wzięła adres hotelu, w którym ta pani miała się zatrzymać z rodziną, ale nikt tam o nich nie słyszał i takie nazwisko w ogóle nie figuruje w rejestrze.

— Ach, tak? To dziwne.

— Właśnie. Tuppence też to zastanowiło. W Słonecznych Wzgórzach nie mieli innego adresu. Podjęliśmy kilka prób nawiązania kontaktu z panią Lancaster albo tą... chyba panią Johnson, jej krewną, ale wszystko na próżno. Jest jakiś adwokat, który ponoć płacił rachunki i załatwiał sprawy z panną Packard. Skomunikowaliśmy się z nim, ale mógł nam podać jedynie adres banku. A banki — dodał sucho Tommy — nie udzielają żadnych informacji.

— Chyba że na życzenie klienta.

— Żona napisała do pani Lancaster i także do pani Johnson na adres tego banku, ale nie otrzymała odpowiedzi.

— To dość niezwykłe. Chociaż niektórzy ludzie nie zawsze odpowiadają na listy. Te

panie mogły wyjechać za granicę.

— W rzeczy samej. Mnie to wcale nie niepokoi, ale żona się martwi. Wydaje się przekonana, że z panią Lancaster stało się coś złego. I w czasie mojej nieobecności podjęła pewne kroki... nie wiem dokładnie, co zamierzała, może odwiedzić ten hotel czy bank osobiście, może chciała spotkać się z adwokatem? W każdym razie usiłowała zdobyć jakieś informacje.

Doktor Murray słuchał go uprzejmie, lecz w jego zachowaniu dawało się wyczuć pewne znużenie.

— A co podejrzewała?

— Że pani Lancaster grozi niebezpieczeństwo. A nawet, że zło już się stało.

Lekarz uniósł brwi.

— Och... Raczej nie sądzę...

— To może wydawać się głupie, ale widzi pan... Moja żona dzwoniła do domu i zostawiła wiadomość, że następnego dnia wraca. Chodziło o wczorajszy wieczór, ale dotąd jej nie ma.

— Powiedziała, że na pewno przyjedzie?

— Tak. Wiedziała, że ja też wracam tego dnia ze swojej konferencji, więc zadzwoniła do naszego służącego. Miała dotrzeć na obiad.

— I widzi pan w tym coś niezwykłego? — Lekarz przyglądał się Tommy'emu z niejakim zainteresowaniem.

— Tak. To zupełnie do niej niepodobne. Gdyby miała się spóźnić albo zmieniła plany, zatelefonowałyby jeszcze raz albo przysłała telegram.

— Martwi się pan o nią?

— Owszem.

— Hmm... A radził się pan policji?

— Nie. Co by sobie pomyśleli? Bo wie pan, ja w zasadzie nie mam powodu, by podejrzewać jakieś kłopoty. Przecież gdyby miała wypadek albo coś w tym rodzaju, ktoś by nas zawiadomił, prawda?

— No... chyba tak, jeśli miała przy sobie dokument tożsamości.

— Miała prawo jazdy. I pewnie jakieś listy oraz inne rzeczy.

Doktor Murray zmarszczył brwi, ale Tommy pośpiesznie mówił dalej:

— A teraz zjawił się pan z tą całą historią o Słonecznych Wzgórzach. O pacjentkach, które umarły, chociaż nie powinny. Więc przypuśćmy, że ta starowinka na coś wpadła... coś zauważyła czy podejrzewała i zaczęła o tym rozpowiadać. Trzeba ją było jakoś uciszyć, dlatego czym prędzej usunięto ją z domu i zabrano gdzieś, gdzie nie można jej wysledzić. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to wszystko się z sobą wiąże.

— Tak, to rzeczywiście jest dziwne. I co pan proponuje?

— Zamierzam przyjrzeć się tej sprawie. Przede wszystkim skontaktuję się z adwokatami. Może są w porządku, ale chciałbym się z nimi spotkać i wysnuć własne wnioski.

Rozdział XII

Tommy spotyka starego przyjaciela

1

Z przeciwległej strony ulicy Tommy przypatrywał się siedzibie firmy Partingdale, Harris, Lockeridge i Partingdale.

Kancelaria wyglądała na wybitnie szacowną i staroświecką. Mosiężna tabliczka była mocno wysłużona, ale porządnie wypolerowana. Tommy przeciął jezdnię i wszedł przez wahadłowe drzwi, zza których dobiegał monotony stukot pracujących pełną parą maszyn do pisania.

Skierował się na prawo, do mahoniowego okienka z napisem „Informacja”.

W niewielkim pokoju pracowały trzy maszynistki. Dwóch pochyłonych nad biurkami urzędników kopiowało pilnie dokumenty.

W pomieszczeniu unosił się lekko stęchły, typowo prawniczy zapaszek.

Od maszyny podniosła się wypłowiała blondynka po trzydziestce z surowym wyrazem twarzy i w okularach.

— Czym mogę służyć? — spytała, podchodząc do okienka.

— Chciałbym się widzieć z panem Ecclesem.

Zmarszczka na czole kobiety pogłębiła się jeszcze bardziej.

— Był pan umówiony?

— Niestety nie. Jestem w Londynie przejazdem.

— Niestety pan Eccles jest dziś bardzo zajęty. Może któryś z pozostałych panów...

— Zależy mi właśnie na panu Ecclesie. Korespondowaliśmy już ze sobą.

— Ach, tak? Zechce pan podać nazwisko?

Tommy podał nazwisko i adres. Blondynka wycofała się do swego biurka i podniosła słuchawkę telefonu. Wymieniwszy ściszym głosem kilka zdań, wróciła.

— Urzędnik wskaże panu poczekalnię. Pan Eccles będzie wolny za jakieś dziesięć minut.

Tommy'ego uroczyście poprowadzono do pokoju z biblioteką pełną starych, opasłych kodeksów. Na okrągłym stoliku leżały różne pisma z dziedziny finansów. Czeka-
jąc, powtarzał sobie w pamięci plan działania. Kiedy wreszcie poproszono go do gabi-
netu i pan Eccles wstał, by się z nim przywitać, Tommy uznał, że właściwie nie ma konkret-
nego powodu, by go nie lubić. Ciekawe, czemu dotąd czuł do prawnika taką antypatię?
Pan Eccles był mężczyzną między czterdziestką a pięćdziesiątką, o siwiejących włosach,
lekko przeredzonych na skroniach. W pociągłej, pozbawionej wyrazu twarzy błyszczą-
ły przenikliwe oczy. Wrodzoną melancholię oblicza ożywiał czasem znienacka zupełnie
przyjemny uśmiech.

— Pan Beresford?

— Tak. To właściwie błahostka, ale moja żona naprawdę się niepokoi. Pisała do pana,
może także telefonowała? Chciała od pana uzyskać adres niejakiej pani Lancaster.

— Pani Lancaster... — powtórzył prawnik, przybierając idealnie pokerowy wyraz
twarzy. Nie było to nawet zapytanie, nazwisko po prostu zawisło w powietrzu.

Ostrożny gość — pomyślał Tommy. — No cóż, ostrożność to druga natura prawni-
ków. Chciałoby się mieć takiego za doradcę.

— ...ostatnio zamieszkała w Słonecznych Wzgórzach, domu opieki dla starszych
pań. To bardzo dobra placówka, moja ciotka czuła się tam znakomicie.

— Ach, tak, oczywiście, teraz sobie przypominam. Pani Lancaster. Zdaje się, że już
tam nie mieszka, prawda?

— Owszem.

— W tej chwili nie pamiętam, o co dokładnie chodziło — Eccles wyciągnął rękę po
słuchawkę — ale zaraz odświeżę sobie...

— Mogę to panu powiedzieć w paru prostych słowach. Moja żona szukała adresu
pani Lancaster, ponieważ tak się składa, że w jej posiadaniu znajduje się coś, co przed-
tem należało do tej pani. To obraz, który pani Lancaster podarowała mojej ciotce, pan-
nie Fanshawe. Ciotka niedawno zmarła i jej rzeczy trafiły do nas, włącznie z rzeczonym
obrazem. Moja żona bardzo go polubiła, ale czuje się trochę nie w porządku. Uważa, że
dla pani Lancaster może on mieć dużą wartość, a jeśli tak, gotowa jest go zwrócić.

— Ach, rozumiem. To bardzo przyzwoicie ze strony pańskiej żony.

— Nigdy nie wiadomo — ciągnął Tommy z uśmiechem — co starsi ludzie czują do
swego dobytku. Ta pani na pewno z radością obdarowała ciotkę, ale może uznałyby, że
obraz zbyt krótko był w jej posiadaniu i nie chciałyby, żeby przeszedł w zupełnie obce
ręce. Nie jest zatytułowany — po prostu przedstawia dom na wsi. Z tego, co wiem, mógł
to być dom kogoś z jej rodziny.

— W rzeczy samej, ale nie sądzę, aby...

Zapukano do drzwi i wszedł urzędnik, który położył przed panem Ecclesem jakąś kartkę.

— Ach, tak — wykrzyknął prawnik. — Tak, już pamiętam. Pani... — zerknął na wizytówkę Tommy'ego — Beresford rzeczywiście telefonowała i zamieniliśmy kilka słów. Poradziłem jej, by nawiązała kontakt z oddziałem Hammersmith Banku Zachodnich Hrabstw. To jedyny adres, jaki znam. Listy przesłane tam z adnotacją „z korespondencją pani Richardowej Johnson” na pewno zostaną dostarczone. Pani Johnson, jak sądzę, jest daleką krewną pani Lancaster. To ona załatwiała ze mną sprawę umieszczenia staruszki w Słonecznych Wzgórzach. Prosiła, żebym zebrał wszystkie informacje o tej placówce, gdyż ona zna ją tylko ze słyszenia. Zapewniam pana, że zrobiliśmy to z wielką starannością. Pani Johnson, jak się wydaje, wróciła dość niespodziewanie z Afryki Wschodniej — tyle ludzi ostatnio stamtąd wraca. Przez wiele lat mieszkała z mężem w Kenii. Poczyli różne przygotowania i byli gotowi podjąć się teraz osobiście opieki nad swoją ciotką. Niestety, nie mam pojęcia o obecnym miejscu pobytu pani Johnson. Owszem, przysłała mi list z podziękowaniem, uregulowała rachunki i prosiła, by w razie czego kontaktować się z nią przez bank, gdyż sama nie wie, gdzie zamieszkają. I to jest, panie Beresford, wszystko, co wiem.

Mówił bardzo uprzejmie, ale stanowczo. Nie zdradzał ani śladu niepokoju, od wyroku jednak nie było odwołania. Na koniec dodał nieco łagodniej:

— Nie martwiłbym się tak na pańskim miejscu, panie Beresford. I żonie także nie pozwoliłbym się martwić. Pani Lancaster to zapewne dość sędziwa osoba i jako taka ma słabą pamięć. Prawdopodobnie dawno zapomniała o tym obrazie. Ma chyba przeszło siedemdziesiąt pięć lat, w tym wieku łatwo się zapomina.

— Zna ją pan osobiście?

— Nie, właściwie nigdy się z nią nie zetknąłem.

— Ale panią Johnson pan zna?

— Spotykałem się z nią doraźnie, przy okazji załatwiania spraw. Wydawała się miłą i rzeczową. Całkowicie kompetentna w tym, do czego zmierzała. — Pan Eccles wstał.

— Przykro mi, że nie mogłem panu pomóc.

To była uprzejma, lecz zdecydowana odprawa.

Tommy wyszedł na Bloomsbury Street i rozejrzał się za taksówką. Paczka, którą niósł, nie była specjalnie ciężka, ale miała niewygodny kształt. Raz jeszcze obejrzał się na dopiero co opuszczony budynek. Tak, to firma niewątpliwie szacowna, o długiej tradycji. Nie było się o co przyczepić do panów Partingdale'a, Harrisa, Lockeridge'a i Partingdale'a, pan Eccles także wydawał się bez zarzutu. Tommy nie zauważył żadnych objawów popłochu, wątpliwości czy skrępowania. W powieści na samą wzmiankę o pani Lancaster czy pani Johnson rozmówca by się wzdrygnął, uciekł spojrzeniem w bok, czy też jakoś inaczej dał do zrozumienia, że coś jest nie w porządku, ale w prawdziwym ży-

ciu takie rzeczy raczej się nie zdarzają. Pan Eccles to po prostu człowiek zbyt uprzejmy, by miał odmówić poświęcenia paru chwil na czyjeś prywatne śledztwo.

A jednak go nie lubię, myślał Tommy, przywołując w pamięci mgliste wspomnienia innych osób, których z różnych powodów nie darzył sympatią. Bardzo często jego domysły — gdyż wszystko opierało się wyłącznie na domysłach — okazywały się słuszne. Ale może sprawa jest jeszcze prostsza: jeśli ktoś ma w życiu tak wiele do czynienia z ludzkimi charakterami, to po pewnym czasie nabiera pewnej instynktownej wiedzy, zupełnie jak antykwariusz, który jeszcze przed badaniami ekspertów potrafi wyczuć „na nosa” falsyfikat. Po prostu wie, że coś jest nie tak. Podobnie zachowuje się kasjer w banku, kiedy próbują mu wręczyć idealnie podrobiony banknot.

Na oko jest w porządku — myślał Tommy. — Wygląda, jak trzeba, mówi, jak trzeba, a mimo to... Zamachał gwałtownie na taksówkę, ale szofer obrzucił go lodowatym spojrzeniem i dodał gazu.

— Świnia! — mruknął do siebie Tommy.

Wędrował wzrokiem to w górę, to w dół ulicy, w nadziei na pojawienie się innego pojazdu. Na chodniku było sporo przechodniów; jedni się śpieszyli, inni spacerowali, po drugiej stronie ulicy jakiś mężczyzna przystanął przed mosiężną tabliczką. Po skrupulatnym przestudiowaniu napisu obrócił się i w tym momencie oczy Tommy'ego rozszerzyły się ze zdumienia. Znał tę twarz. Nie odrywał teraz wzroku od mężczyzny. Ten dotarł do końca ulicy, a następnie przystanął i zawrócił. Z budynku za plecami Tommy'ego ktoś wyszedł, a wtedy mężczyzna po przeciwnej stronie przyśpieszył nieco kroku i zrównał się z nim. W człowieku, który dopiero co opuścił siedzibę firmy Partingdale, Harris, Lockeridge i Partindale i teraz oddalał się chodnikiem, Tommy z niemal całkowitą pewnością rozpoznał pana Ecclesa. W tej samej chwili przy krawężniku kusząco zwolniła taksówka. Tommy zatrzymał ją gestem i wszedł.

— Dokąd?

Tommy zerknął na paczkę i zawahał się nieco. Już miał podać adres, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i powiedział:

— Lyon Street 14.

Kwadrans później znalazł się u celu. Zapłacił należność, nacisnął dzwonek i zapytał o pana Ivora Smitha. Kiedy wszedł do pokoju na piętrze, mężczyzna siedzący przy biurku twarzą do okna obrócił się w fotelu z lekkimi oznakami zdziwienia.

— Jak się masz, Tommy, miło cię znów widzieć! Tyle czasu... Co tu robisz? Rundka po starych znajomych?

— Aż tak dobrze to nie jest.

— Pewnie wracasz do domu po konferencji?

— Owszem.

— Dużo gładzenia, co? I jak zwykle żadnych konkretów, żadnych wniosków...

— Jak byś przy tym był. Czysta strata czasu.

— Głowę dam, że przez większość tego czasu gęgał stary Bogie Waddock. Co za nudziarz! Z roku na rok z nim gorzej.

— No wiesz... — Tommy usiadł na podsuniętym krześle i przyjął papierosa. — Właśnie się zastanawiałem, czy... wprawdzie szansę są bardzo znikome, ale może wiesz coś o nieczystych sprawkach niejakiego Ecclesa, adwokata z firmy Partingdale, Harris, Lockeridge i Partingdale?

— Patrzcie, patrzcie — mruknął człowiek zwany Ivoem Smithem, unosząc brwi. Były to brwi jakby stworzone do unoszenia; końce bliższe nosa szły ostro w górę, a te przy skroniach opadały w dół, ciągnąc się niemal w nieskończoność. Ich właściciel przy najmniejszym zdziwieniu wyglądał, jakby doznał ciężkiego szoku. — Więc nadzieję się gdzieś na Ecclesa, tak?

— Problem w tym, że nic o nim nie wiem.

— I chciałbyś się dowiedzieć.

— Tak.

— Hm. Dlaczego przyszedłeś z tym do mnie?

— Zobaczyłem na ulicy Andersena. Dawno go nie wdziałem, ale mimo to rozpoznałem. Śledził kogoś, kto wyszedł z budynku, który dopiero co opuściłem. Mieszczą się tam dwie kancelarie prawnicze i jedna firma rachunkowa. Oczywiście śledzona osoba mogła wyjść z każdej z tych firm, ale człowiek, który oddalał się ulicą, wyglądał mi na Ecclesa. I tak sobie pomyślałem: czyżby szczęśliwy traf zrządził, że akurat jemu Andersen poświęca tyle uwagi?

— Hm. No cóż, Tommy, zawsze byłeś dobry w rozwiązywaniu zagadek.

— Kim jest Eccles?

— Nie wiesz? Zupełnie nie masz pojęcia?

— Nie mam. Chciałem po prostu zasięgnąć u niego informacji na temat starszej pani, która niedawno opuściła jeden z domów opieki. Adwokatem, który załatwiał jej sprawy, był właśnie Eccles. Robił to przy zachowaniu wszelkich form i bardzo kompetentnie. Chciałem dostać od niego adres tej pani, ale powiedział mi, że go nie ma. Całkiem możliwe, że nie ma, a jednak coś mi nie daje spokoju. Bo widzisz, na nim urywa się wszelki ślad.

— A ty chcesz ją odnaleźć?

— Tak.

— Chyba nie na wiele ci się przydam, choć zrobię, co w mojej mocy. Eccles to bardzo znany adwokat. Cieszy się doskonałą opinią, osiąga znaczne dochody i ma mnóstwo godnych szacunku klientów. Z jego usług korzystają właściciele ziemscy, specjaliści wysokiej klasy, emerytowani wojskowi, generałowie, admiralicja i tak dalej. Po prostu wcielona uczciwość. Z tego, co mówisz, nie wyobrażam sobie, by mógł działać ina-

czej niż ściśle w granicach prawa.

— A jednak się nim interesujesz.

— O tak, jesteśmy bardzo zainteresowani panem Jamesem Ecclesem. — Ivor Smith westchnął. — Obserwujemy go od co najmniej sześciu lat, ale nie zrobiliśmy wielkich postępów.

— Ciekawe. Zapytam jeszcze raz: kim właściwie jest pan Eccles?

— Masz na myśli: o co go podejrzewamy? Cóż, żeby określić to jednym zdaniem: uważamy go za mózg najlepiej zorganizowanej bandy przestępców w tym kraju.

— Działalność kryminalna? — zdziwił się Tommy.

— Ależ tak. I bynajmniej nie w rodzaju płaszczka i szpady. Nie chodzi też o sprawy wywiadu czy kontrwywiadu. Ot, po prostu najzwyczajsze w świecie przestępstwa. Z tego, co dotąd udało się ustalić, wynika, że człowiek ten nigdy w życiu nie naruszył prawa. Niczego nie ukradł, nie popełnił fałszerstwa, nie sprzeniewierzył żadnych funduszy, słowem, nie mamy przeciwko niemu żadnych dowodów. A mimo to, kiedy dochodzi do zorganizowanego rabunku na wielką skalę, zawsze gdzieś w tle czai się nieskazitelny pan Eccles.

— Sześć lat... — mruknął z namysłem Tommy.

— A może i jeszcze dłużej. Minęło trochę czasu, zanim wpadliśmy na pewne schematy. Napady na banki, kradzieże biżuterii, wszystko, gdzie można liczyć na duże pieniądze. Istnieje grupa fachowców, w której każdy działa według określonego wzoru. Trudno oprzeć się wrażeniu, że robotę planuje zawsze ten sam mózg. Ci, którzy kierują całym przedsięwzięciem i wykonują zadania, nie muszą w ogóle o niczym myśleć. Po prostu idą, gdzie im się każe, i spełniają rozkazy. A pracę myślową odwała za nich kto inny.

— Jak wpadliście na Ecclesa?

Ivor Smith kręcił w zamyśleniu głową.

— Za długo by mówić. Ten człowiek ma mnóstwo znajomych i przyjaciół. Z jednymi grywa w golfa, inni zajmują się jego samochodem, są firmy maklerskie, które działają w jego imieniu, są też spółki o nieposzlakowanej reputacji, stanowiące przedmiot jego zainteresowań. Plan staje się coraz bardziej przejrzysty, ale nie udział w nim pana Ecclesa, poza tym, że jego nieobecność przy pewnych okazjach aż bije w oczy. Wielki, sprytnie zorganizowany napad na bank (nawiasem mówiąc, nie oszczędzono kosztów) łącznie z ucieczką z miejsca przestępstwa i tak dalej — i gdzie podziewa się pan Eccles podczas całej akcji? W Monte Carlo albo w Zurychu, a może łowi łososie w Norwegii. Można być w stu procentach pewnym, że nie uświadczy się go w promieniu stu mil od miejsca przestępstwa.

— A jednak go podejrzewacie.

— O tak, w duchu jestem przekonany o jego winie. Ale czy go kiedy złapiemy, to inna

sprawa. Ani ten, kto przekopał tunel pod podłogą banku, ani ten, kto uciszył strażnika, ani kasjer, który siedział w tym od początku, ani dyrektor banku, który dostarczał informacji — żaden z nich nie znał Ecclesa, a prawdopodobnie nie widział go nigdy na oczy. Z całego łańcucha ludzi każdy zna co najwyżej jedno kolejne ogniwo.

— Stara, sprawdzona struktura komórkowa?

— Ni mniej, ni więcej, z tym, że są też pewne oryginalne pomysły. Pewnego dnia los się do nas uśmiechnie. Ktoś, kto nie powinien wiedzieć nic, coś jednak będzie wiedział. Coś głupiego i zwyczajnego, ale na tyle dziwnego, że wreszcie będziemy mieli dowód.

— Czy on ma żonę? Rodzinę?

— Nie, nie podjął takiego ryzyka. Mieszka sam, tylko z gospodynią, ma też ogrodnika i osobistego służącego. Przyjmuje czasem gości, ale zachowuje umiar i mógłbym przysiąc, że każdy, kto przekracza próg jego domu, jest czysty jak łąza.

— A może ktoś się bogaci?

— Trafna uwaga, Tommy. Ktoś POWINIEN się bogacić, i to w widoczny sposób. Ale tę stronę zorganizowano wyjątkowo sprytnie. Wielkie wygrane na wyścigach, udane inwestycje giełdowe, wszystko, co w naturalny, choć nieco ryzykowny sposób daje duże pieniądze, a w ślad za tym idą dopiero prawdziwe transakcje. Dużo gotówki ulokowano za granicą, w różnych krajach i miejscach. To wielka, ogromna fabryka pieniędzy, które są w nieustannym ruchu i ciągle przepływają z miejsca na miejsce.

— Taak. No to życzę wam szczęścia. Mam nadzieję, że kiedyś go dopadniecie.

— Też tak sędzę. Gdyby ktoś go wytrącił z rutyny, wtedy byłby cień nadziei.

— W jaki sposób miałby go wytrącić?

— Przez poczucie zagrożenia. Sprawić, by przestał czuć się bezpiecznie, utracił pewność siebie. Kiedy człowiek wpada w panikę, może zrobić coś głupiego, popełnić błąd. Tak właśnie ich łapiemy. Bierzesz największego spryciarza, który potrafi wszystko genialnie zaplanować i nigdy mu się noga nie powinie, aż pewnego dnia coś wprawia go w popłoch — i już jest nasz. Więc nie tracę nadziei. A teraz chciałbym usłyszeć twoją historię. Może wiesz coś, co się nam przyda.

— To nie ma nic wspólnego z żadnym przestępstwem, po prostu małe piwo. Bardzo małe.

— Posłuchamy, zobaczymy.

Tommy opowiedział mu o wszystkim bez zbędnych przeprosin za brak sensacyjnego posmaku. Wiedział, że stary przyjaciel nie należy do ludzi, którzy mają pospolitłość w pogardzie. Zresztą Ivor od razu trafił w samo sedno:

— Powiadasz, że twoja żona zniknęła?

— To do niej niepodobne.

— Poważna sprawa.

— Dla mnie na pewno.

— Wyobrażam sobie. Raz tylko się z nią zetknąłem. Jest bystra.

— Kiedy raz wpadnie na trop, zachowuje się jak terier. Nie popuści.

— Nie byłeś na policji, co?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo nie wierzę, by stało się coś złego. Z Tuppenca zawsze wszystko jest w porządku. Po prostu pogoniła za jakimś „zającem”, który jej się nawinął. Mogła nie mieć czasu, by mnie zawiadomić.

— Hmm. Nie bardzo mi się to podoba. Szukała domu, powiadasz? To może być ciekawe, bo widzisz, wśród wielu rozmaitych detali, które niewiele nam dały, przewija się wątek agencji nieruchomości.

— Agencji nieruchomości?

— Tak jest. Miłe, nierzucające się w oczy agencjki, rozsiane po licznych miasteczkach w różnych regionach Anglii. Kancelaria pana Ecclesa ma z nimi sporo do czynienia. On sam występuje jako adwokat to strony kupującej, to znów sprzedającej, często też w imieniu swych klientów korzysta z usług różnych agencji. Niekiedy budzi to nasze zdziwienie, bo nie jest to specjalnie dochodowe zajęcie.

— Ale uważacie, że to coś oznacza albo do czegoś prowadzi?

— Cóż, może pamiętasz ten wielki napad na Londyński Bank Południowy przed paroma laty? Mówiło się wtedy o domu. Wiejskim, samotnym domu, w którym spotykali się bandyci. Nie rzucali się zbyt w oczy, ale tam właśnie zgromadzono łupy i tam je rozdzielano. Sąsiedzi zaczęli snuć różne domysły na temat dziwnych mieszkańców, którzy przyjeżdżają i wyjeżdżają o dość niezwykłych porach. Samochody różnych marek pojawiały się nieraz w środku nocy, by zaraz wyruszyć z powrotem, a ludzi na prowincji ciekawi życie bliźnich. W końcu policja urządziła najazd, zgarnęli trochę gotówki i aresztowali trzech mężczyzn, w tym jednego, którego zidentyfikowali.

— I co, nigdzie was to nie doprowadziło?

— Właściwie nie. Aresztowani nie chcieli mówić, mieli dobrych obrońców i chociaż dostali długie wyroki, w półtora roku byli na wolności. Bardzo sprytnie to załatwiono.

— Zdaje się, że czytałem coś na ten temat. Jeden z oskarżonych wyparował ze spacerniaka, gdzie pilnowało go dwóch strażników.

— Tak właśnie było. Ucieczkę świetnie przygotowano i wydano na to bająćskie sumy. Uważamy jednak, że ten, kto odpowiadał za pracę drobnych płotek, zrozumiał poniewczasie swój błąd. Po prostu zbyt długo korzystali z jednego domu i w ten sposób ściągnęli na siebie uwagę okolicznych mieszkańców. I być może ktoś potem wykombinował, że lepiej mieć nawet trzydzieści domów, ale w różnych miejscach. Jacyś ludzie — na przykład matka z córką albo emerytowany wojskowy z żoną — przychodzą i kupują dom. Mili, spokojni mieszkańcy zabierają się do remontu, angażują miejscowych

hydraulików i innych fachowców, potem sprowadzają z Londynu dekoratorów wnętrz i tak dalej. Po paru latach pod byle pretekstem wystawiają dom na sprzedaż i wynoszą się za granicę. I tak się to odbywa. Wszystko w naturalny sposób, miłutko i przyjemnie. Wprawdzie podczas ich zamieszkiwania dom służył do dość niezwykłych celów, ale coś takiego nikomu nie przyjdzie do głowy. Odwiedzali ich przyjaciele, nie za często, od czasu do czasu. Pewnego wieczora odbyło się większe przyjęcie — może rocznica ślubu, może urodziny. Brało w nim udział kilka par w średnim i bardziej podeszłym wieku. Przyjechało dużo samochodów... Powiedzmy, że w ciągu pół roku miało miejsce pięć poważnych rabunków, ale gotówka za każdym razem spływała nie do jednego, tylko do pięciu różnych domów w pięciu różnych częściach kraju. To zaledwie przypuszczenie, drogi Tommy, na razie wciąż nad nim pracujemy. A gdyby ta twoja staruszka podarowała komuś obraz z wizerunkiem któregoś z tych właśnie domów? Gdyby twoja żona gdzieś go rozpoznała i udała się na przeszpiegi? Komuś mogłoby się to nie spodobać i wtedy...

— To bardzo daleko idące.

— O tak, zgadzam się z tobą. Ale żyjemy w „bardzo daleko idących” czasach, a w naszym szczególnym świątku zdarzają się niewiarygodne rzeczy.

2

Tommy na nieco miękkich nogach wysiadł z czwartej tego dnia taksówki i obrzucił aprobusującym spojrzeniem najbliższą okolicę. Znajdował się w małym *cul-de-sac** wciśniętym skromnie pod jedną z wypukłości Hampstead Heath i zabudowanym z tak zwanym artystycznym rozmachem. Każdy dom różnił się diametralnie od swego sąsiada, a ten konkretny składał się z dużej pracowni ze świetlikami w dachu i doczepionej do niej z jednej strony (niczym narośl na dziąśle) przybudówki z trzema sypialniami. Do pracowni prowadziły z zewnątrz drabinowe schody, pomalowane na jaskrawozielony kolor. Tommy otworzył furtkę, ścieżką dotarł do drzwi i nie zauważywszy dzwonka, posłużył się kołatką. Nie doczekał się odpowiedzi, więc po chwili zapukał ponownie, tym razem nieco energiczniej.

Drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że o mało co nie upadł. W progu stała kobieta — na pierwszy rzut oka najzwyczajniejsza w świecie. Miała okrągłą, płaską jak naleśnik twarz z ogromnymi oczami, z których każde miało inny kolor — jedno było zielone, drugie zaś piwne. Nad wyniosłym czołem sterczał dziki gąszcz włosów. Nosiła fioletowy kombinezon, pokryty plamami z gliny, ale dłoń przytrzymująca drzwi była niezwykłej wprost piękności.

*Zaulek

— Och — mruknęła. — O co chodzi? Jestem zajęta.

— Pani Boscowan?

— Tak. Czego pan chce?

— Nazywam się Beresford. Czy mógłbym z panią zamienić kilka słów?

— Sama nie wiem. A musi pan? Czy może chodzi o jakiś obraz? — Zerknęła na pakunek pod pachą Tommy'ego.

— Owszem, sprawa dotyczy jednego z obrazów pani męża.

— Chce pan go sprzedać? Mam ich tu całe mnóstwo, nie zamierzam więcej kupować. Proszę go zanieść do którejś z galerii czy gdzieś. Zaczynają go teraz kupować. Nie wygląda pan na takiego, który musi sprzedawać.

— Ach, nie, nie chcę niczego sprzedawać.

Tommy'emu wyjątkowo ciężko szła ta rozmowa. Oczy kobiety, chociaż tak się od siebie różniły, były bardzo piękne i patrzyły teraz ponad jego ramieniem w stronę ulicy z wyrazem szczególnego zainteresowania czymś odległym.

— Proszę — rzekł. — Proszę pozwolić mi wejść. Tak trudno mi wytłumaczyć...

— Jeśli jest pan malarzem, to nie chcę z panem gadać. Malarze zawsze mnie nudzili.

— Nie jestem malarzem.

— Cóż, na pewno pan na niego nie wygląda. — Zmierzyła go spojrzeniem od góry do dołu. — Raczej przypomina pan urzędnika państwowego — dodała z dezaprobatą.

— Czy mogę wejść?

— Nie jestem pewna. Proszę poczekać.

Zamknęła drzwi dość gwałtownie. Tommy czekał. Po mniej więcej czterech minutach otworzyła je znowu.

— Dobrze, może pan wejść.

Poprowadziła go wąskimi schodami do obszernej pracowni. W kącie stał posąg, obok leżały różne narzędzia — dłuta i młotki — oraz gliniana głowa. Całe wnętrze wyglądało jak po chuligańskim napadzie.

— Nigdy nie ma gdzie usiąść — westchnęła pani Boscowan. Zrzuciła parę rzeczy ze stołka i popchnęła go w stronę gościa. — Proszę. Niech pan siada i mówi.

— To bardzo uprzejmie, że mnie pani wpuściła.

— Może, ale wyglądał pan na zmartwionego. Bo martwi się pan czymś, prawda?

— Owszem.

— Tak myślałam. A co pana gnębi?

— Moja żona — odparł Tommy, zaskakując siebie samego tą odpowiedzią.

— Ach, więc martwi się pan o żonę? Cóż, nic w tym niezwykłego. Mężczyźni na ogół martwią się o swe żony. A co się właściwie stało? Uciekła z kimś, wycięła jakiś numer?

— Nie, nic z tych rzeczy.

— Umiera? Ma raka?

— Nie, nie. Po prostu nie wiem, gdzie jest.

— I myśli pan, że ja mogę wiedzieć? Więc proszę mi podać jej imię i parę innych szczegółów. Nawiasem mówiąc, wcale nie jestem pewna, czy chcę ją odnaleźć. Ostrzegam pana.

— Dzięki Bogu, rozmawia mi się z panią łatwiej, niż przypuszczałem.

— A co obraz ma z tym wspólnego? Bo to obraz, prawda? Poznają po kształcie. Tommy rozwinął papier.

— To obraz sygnowany przez pani męża. Chciałbym dowiedzieć się o nim możliwie jak najwięcej.

— Rozumiem. A o co konkretnie panu chodzi?

— Kiedy został namalowany i gdzie znajduje się to miejsce.

W oczach pani Boscowan po raz pierwszy pojawił się nieznaczny błysk zainteresowania.

— Cóż, to nic trudnego. Mogę panu opowiedzieć wszystko, co wiem. Mąż namalował ten obraz jakieś piętnaście... nie, znacznie więcej, chyba ze dwadzieścia lat temu. To jedna z jego wczesnych prac.

— A wie pani, gdzie to jest? Mam na myśli miejsce.

— O tak, pamiętam doskonale. Miły pejzażyk, zawsze go lubiłam. Ten łukowaty mostek i dom... Miejscowość nazywa się Sutton Chancellor, leży około ośmiu mil od Market Basing. Sam dom znajduje się w odległości dwóch mil od wioski. Ładne miejsce, ustronne.

Pochyliła się nad obrazem i przyjrzała mu się bliżej.

— To śmieszne — mruknęła. — Bardzo dziwne. Ciekawe, czy...

Tommy jej nie słuchał.

— Jak brzmi nazwa tego domu? — spytał.

— Naprawdę nie pamiętam. Zresztą nazwa się zmieniała, i to kilkakrotnie. Nie wiem, o co dokładnie chodziło. Zdaje się, że wydarzyło się tam parę dość tragicznych wypadków i kolejni właściciele woleli nazwać dom po swojemu. Kiedyś nazywał się Dom Nad Kanałem czy po prostu Nad Kanałem, kiedy indziej Dom Przy Mostku, Dom Nad Łąkami, Dom Nad Rzeką.

— Kto tam mieszkał? Czy raczej: kto mieszka w nim teraz?

— Nikt, kogo bym znała. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, mieszkał w nim mężczyzna z dziewczyną. Przyjeżdżali na weekendy, chyba nie mieli ślubu. Dziewczyna była tancerką czy aktorką... nie, jednak tancerką. Baletnicą. Dość ładna, ale tępa. Prosta, niedouczone. William miał do niej słabość.

— Malował ją?

— Nie. W ogóle rzadko malował ludzi. Czasem mawiał, że zamierza zrobić szkic, ale nigdy wiele nie zdziałał. Przy dziewczynach kompletnie głupiał.

— Czy ci ludzie przebywali tam, kiedy mąż namalował ten dom?

— Tak, przynajmniej przez pewien czas. Bo oni przyjeżdżali tylko na weekendy. Po-tem wybuchła jakaś awantura, pokłócili się i albo on ją zostawił, albo ona jego. Nie było mnie tam wtedy, pracowałam w Coventry nad rzeźbą. W późniejszym czasie mieszkała tam tylko guwernantka i dziecko. Nie wiem, co to za dziecko i skąd się wzięło, ale przypuszczam, że guwernantka opiekowała się nią — to była dziewczynka. Potem coś się z stało, guwernantka ją wywozła, czy też mała umarła. Co można wiedzieć o ludziach sprzed dwudziestu lat? To idiotyczne.

— Chcę usłyszeć o tym domu wszystko, co tylko się da. Widzi pani, moja żona pojechała go obejrzeć. Zdawało się jej, że widziała go z okna pociągu.

— Miała rację. Linia kolejowa przebiega zaraz po drugiej stronie mostku. Na pewno z pociągu dom widać jak na dłoni. — I po chwili spytała: — A czemu chciała go odnaleźć?

Tommy podał jej mocno skróconą wersję. Pani Boscowan nie wydawała się przekonana.

— Nie uciekł pan czasem z domu wariatów czy czegoś podobnego? A może wypuścili pana na przepustkę?

— Wiem, że na to wygląda, ale w rzeczywistości sprawa jest banalnie prosta. Żonie zależało na odnalezieniu tego domu, więc próbowała podróży różnymi pociągami. Myśle, że w końcu doszła prawdy i pojechała do tego... coś tam-Chancellor.

— Sutton Chancellor. To kiedyś była mała osada, ale teraz kto wie? Może się rozbudowała i nawet została takim modnym miastem-sypialnią?

— Mogło się zdarzyć wszystko — ciągnął Tommy. — Dzwoniła, że wraca, ale nie wróciła. Chcę wiedzieć, co się stało. Pewnie zaczęła śledzić ten dom i może... może spotkało ją coś złego.

— A cóż ją mogło spotkać?

— Nie wiem. Nikt tego nie wie. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że grozi tam jakieś niebezpieczeństwo, ale ona wiedziała.

— Postrzeżenie pozazmysłowe?

— Możliwe. Miewała takie skłonności. Czy w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie obilo się pani o uszy nazwisko Lancaster? A może pani знаła kobietę o tym nazwisku?

— Lancaster? Nie, nie sądzę. Zapamiętałabym takie historyczne nazwisko. A o co chodzi?

— Tak nazywała się właścicielka obrazu. Podarowała go w odruchu przyjaźni mojej ciotce, a potem dość nagle opuściła dom opieki. Zabrali ją krewni i teraz próbuję ją odnaleźć, ale to niełatwe.

— Które z was ma taką wyobraźnię, pan czy pańska żona? Coś mi się zdaje, że dużo z tej historii pan sobie wymyślił i teraz się pan denerwuje, jeśli wolno mi zauważyć.

— Pewnie, że wolno — odparł Tommy. — Jestem zdenerwowany, chociaż nie mam czym. To właśnie chce pani powiedzieć, prawda?

— Nie. — Głos pani Boscowan złągodniał nieco. — Nie powiedziałabym, że nie mam czym.

Tommy spojrział na nią badawczo.

— Jedna rzecz w tym obrazie mnie dziwi — mówiła pani Boscowan. — Nawet bardzo mnie dziwi. Doskonale go pamiętam, jak zresztą większość obrazów Williama, choć tak dużo ich namalował.

— A pamięta pani, komu go sprzedał? I czy w ogóle sprzedał?

— Nie, tego nie pamiętam. Ale owszem, obraz był sprzedany. Na jednej z wystaw sprzedano sporą partię obrazów Williama. Wracały przez jakieś cztery lata przedtem i ze dwa lata potem. Dużo zostało sprzedanych, niemal wszystkie. Ale nie pamiętam w tej chwili, kto je kupił, za dużo pan wymaga.

— I tak jestem wdzięczny za wszystko, co pani zapamiętała.

— Nie zapytał mnie pan jeszcze, co mnie w tym obrazie zdziwiło.

— Myśli pani, że namalował go kto inny, nie pani mąż?

— Ach, nie. To obraz Williama. „Dom Nad Kanałem”, tak chyba brzmiał tytuł katalogowy. Chodzi o co innego. Widzi pan, coś z nim jest nie tak.

— Co mianowicie?

Pani Boscowan wyciągnęła ubrudzony gliną palec i stuknęła w miejsce tuż pod mostkiem spinającym brzegi kanału.

— Tu. Widzi pan to? Pod mostkiem jest uwiązana łódka, prawda?

— Tak — przyznał zaintrygowany Tommy.

— No więc kiedy widziałam ten obraz po raz ostatni, łódki na nim nie było. William jej nie namalował i na wystawie także jej nie widziano.

— Chce pani powiedzieć, że ktoś ją potem domalował?

— Tak. To dziwne, prawda? Zastanawiam się, dlaczego. Najpierw zdumiałam się, widząc łódkę w miejscu, na którym nigdy jej nie było, a potem kiedy zobaczyłam, że to nie William ją namalował. Zrobił to ktoś inny. Pytam się, kto? — Zerknęła na Tommy'ego. — I po co?

Tommy nie miał na podorędziu żadnego rozwiązania. Przyglądał się pani Boscowan z namysłem. Ciotka Ada nazwałaby ją stukniętą, ale Tommy widział to inaczej. Rzeźbiarka była nieco roztargniona, miała zwyczaj przeskakiwać z nienacka z tematu na temat. Rzeczy, które mówiła, zdawały się mieć niewiele wspólnego z poprzednią wypowiedzią. Należała do osób wiedzących znacznie więcej, niż chciały wyjawić. Kochała swego męża, była o niego zazdrosna, czy może nim gardziła? Nie sposób było to wnioskować ani z jej zachowania, ani z tego, co mówiła. Tommy odnosił jednak wrażenie, że sprawa domalowanej łódki wprawiła ją w zakłopotanie. Nie podobało się jej to.

Nagle zaczął mieć wątpliwości, czy aby można jej wierzyć. Czy po tak wielu latach mogła pamiętać, że Boscowan nie namalował tej łódki? To przecież nic nie znaczący szczegół. Gdyby od czasu, kiedy widziała obraz, minął rok, to co innego, ale tak? I wprawiło ją to w zakłopotanie. Patrzyła na niego nie wyzywająco, tylko z namysłem. Z bardzo poważnym namysłem.

— Co pan teraz zamierza? — spytała.

Na to pytanie mógł odpowiedzieć bez trudu.

— Wracam do domu jeszcze dziś wieczorem. Muszę sprawdzić, czy nie ma wiadomości od żony. Jeśli nie, to jutro wybiorę się do tego Sutton Chancellor. Mam nadzieję, że ją tam odnajdę.

— To zależy.

— Zależy? Od czego? — spytał ostro.

Pani Boscowan zmarszczyła brwi. Potem mruknęła, wyraźnie tylko do siebie:

— Zastanawiam się, gdzie ona jest?

— To znaczy kto?

Pani Boscowan uciekła wzrokiem w bok.

— Ach... Myślałam o pańskiej żonie. — I po chwili milczenia dodała: — Mam nadzieję, że wszystko z nią w porządku.

— A dlaczego by nie? Pani Boscowan, proszę mi powiedzieć, czy z tym miejscem jest coś nie tak?

— Z Sutton Chancellor? Z samą miejscowością? — Zreflektowała się nagle. — Nie, nie sędzę. To nie chodzi o miejsce.

— Miałem na myśli dom. Dom nad kanałem, nie Sutton Chancellor.

— Ach, dom. To dobry dom, naprawdę. Jak stworzony dla kochanków.

— I rzeczywiście mieszkali tam kochankowie?

— Niekiedy. Nie za często. Skoro dom jest zbudowany dla kochanków, to chyba powinni w nim mieszkać.

— A nie przekazywać do użytku komu innemu.

— Szybki pan jest! Zrozumiał pan, o co mi chodzi, prawda? Nie wolno dopuścić, żeby dom przeznaczony do pewnego celu wykorzystywano nie tak, jak należy. Domy tego nie lubią.

— Wie pani coś o ludziach, którzy tam wtedy mieszkali?

Potrząsnęła głową.

— Nie. W ogóle nie wiem nic o tym domu. Nie był dla mnie ważny, rozumie pan.

— A jednak coś pani chodzi po głowie... nie, nie coś, tylko ktoś.

— Tak... Chyba ma pan rację. Rzeczywiście o kimś myślę.

— I nie może mi pani powiedzieć, o kim?

— Naprawdę nie ma o czym mówić. Czasem człowiek się zastanawia, gdzie teraz są

dane osoby. Co się z nimi stało, jak potoczyły się ich losy... — Zamachała rękami. — Ma pan ochotę na śledzia?

— Śledzia? — zdziwił się Tommy.

— Bo wie pan, mam tu kilka śledzi i pomyślałam sobie, że powinien pan coś zjeść przed podróżą. Dworzec Waterloo. Znaczą, stamtąd jedzie się do Sutton Chancellor. Przesiadka w Market Basing. Bo chyba nadal zamierza pan jechać?

To była odprawa i Tommy się z tym pogodził.

Rozdział XIII

Albert na tropie

1

Tuppence zamrugała oczami; pole widzenia było dość zamazane. Próbowwała podnieść głowę, ale przeszył ją ostry ból i opadła z powrotem na poduszkę. Przymknęła oczy, zaraz jednak je otworzyła i ponownie zamrugała.

Z satysfakcją rozpoznała swoje otoczenie. Jestem w szpitalu. Zadowolona z postępu, nie próbowała bardziej wysilać mózgu. Była w szpitalu i bolała ją głowa. Dlaczego? Tu już nie miała pewności. Wypadek?

Przy łóżkach kręciły się pielęgniarki, to dość naturalne. Tuppence zamknęła oczy i ostrożnie spróbowała się skupić. Na mentalnym ekranie ukazał się słaby zarys postaci w sutannie.

— Pastor? — odezwała się z wahaniem. — Czy to pastor?

Nie mogła sobie przypomnieć, ale tak przypuszczała. Co ja robię w szpitalu jako pacjentka? — myślała. — Przecież jestem pielęgniarką, powinnam być w fartuchu, a właściwie w mundurze VAD*.

— O Boże... — westchnęła.

Przy łóżku pojawiła się pielęgniarka.

— No jak tam, lepiej się czujemy? — zapytała z fałszywą wesołością w głosie. — To miło, prawda?

Tuppence nie była pewna, czy to takie miłe. Pielęgniarka wspomniała coś o filiżance dobrej herbatki.

— Zdaje się, że jestem pacjentką? — powiedziała Tuppence do siebie niezadowolono-

*Voluntary Aid Detachment — Ochotniczy Oddział Pomocy [rannym]

nym tonem. Potem leżała cicho, ożywiając w umyśle przeróżne oderwane myśli i słowa.
— Żołnierze... VAD... No jasne. Jestem z VAD.

Pielęgniarka przyniosła herbatę w specjalnym kubeczku dla chorych i podtrzymała jej głowę przy picciu.

— VAD! Należę do VAD — oświadczyła Tuppence. Pielęgniarka spojrzała na nią, jakby nic nie rozumiała. — Głowa mnie boli — dodała Tuppence, stwierdzając fakt.

— Niedługo będzie lepiej — pocieszyła ją pielęgniarka. I przechodząc obok innej siostry, zameldowała: — Czternastka się obudziła. Jest jednak wciąż nieco zamroczona.

— Mówiła coś?

— Powiada, że jest VIP-em.

— Zobaczymy. I proszę się pośpieszyć. Chyba nie zamierza siostra snuć się cały dzień z tym kubkiem.

Tuppence leżała nieruchomo, wciąż czując senność. Nie wyszła jeszcze z dotychczasowego stadium chaotycznie przelatujących myśli.

Ktoś powinien tu być. Ktoś, kogo dobrze znała. Z tym szpitalem jest coś dziwnego, to nie jest ten, który pamiętała i w którym pielęgnowała chorych. Miała służbę na chirurgii. Rzędy A i B... Otworzyła oczy i raz jeszcze uważnie się rozejrzała. Nie, tego szpitala nigdy dotąd nie widziała i nie obsługiwała tu żadnych chorych, ani wojskowych, ani innych.

— Zastanawiam się, gdzie jestem — powiedziała. — W jakiej miejscowości? — Próbowała przypomnieć sobie nazwę, ale do głowy przychodziły jej tylko Londyn i Southampton.

Tym razem przy łóżku zjawiała się oddziałowa.

— Mam nadzieję, że czujemy się lepiej?

— Wszystko w porządku — odparła Tuppence. — Co się właściwie stało?

— Uderzyła się pani w głowę. Chyba dosyć boleśnie, co?

— Wciąż mnie boli. Gdzie jestem?

— W Królewskim Szpitalu w Market Basing.

Tuppence rozważyła tę informację, ale nic jej to nie dało.

— Stary pastor — powiedziała.

— Słucham?

— Nie, nie, nic.

— Nie umieściliśmy dotąd pani nazwiska na tabliczce z dietą. — Trzymała w pogotowiu pióro, przyglądając się dociekliwie chorej.

— Mojego nazwiska?

— Tak. Potrzebne nam do rejestru — dodała usłużnie.

Tuppence się nie odzywała. Nazwisko. Jak brzmi jej nazwisko?

— Głupio mi, ale chyba go nie pamiętam — mamrotała do siebie. — A przecież

muszę się jakoś nazywać... — Nagle na jej twarzy pojawił się cień ulgi. Przed oczami mignął obraz starego duchownego. — Oczywiście — rzekła zdecydowanym tonem. — Prudence.

— P-r-u-d-e-n-c-e?

— Tak jest.

— Ale to imię. A nazwisko?

— Cowley. C-o-w-l-e-y.

— No. Przynajmniej jedno jasne — odetchnęła z ulgą pielęgniarka i oddaliła się z miną osoby, która wreszcie nie musi się martwić o rejestry.

Tuppence także poczuła coś w rodzaju zadowolenia. Prudence Cowley. Prudence Cowley z VAD-u, córka pastora z... z jakiejś tam parafii, w końcu jest wojna i...

— Śmieszne — mruknęła do siebie. — Zdaje się, że wszystko poplątałam. To wszystko wydarzyło się chyba dawno temu. Czy to biedne dziecko było pani?

To ona wypowiedziała przed chwilą te słowa? A może ktoś powiedział je do niej? Pielęgniarka wróciła.

— Pani adres, panno... czy też może pani Cowley. Pytała pani o dziecko?

— Czy to biedne dziecko było pani? Ktoś mnie o to zapytał, czy też ja pytałam?

— Na pani miejscu, złociutka, przespałabym się teraz.

Odeszła, aby uzyskaną informację przekazać tam, gdzie powinna trafić.

— Wydaje się, doktorze, że przychodzi do siebie. Powiedziała, że nazywa się Prudence Cowley, ale adresu nie pamięta. I mówiła też coś o dziecku.

— No dobrze — rzucił lekarz niefrasobliwie, jak zawsze. — Poczekamy jeszcze ze dwadzieścia cztery godziny. Całkiem nieźle radzi sobie z tym wstrząsem.

2

Tommy gmerał kluczem w zamku. Zanim zdołał go przekręcić, drzwi się otworzyły i w progu stanął Albert.

— No? — spytał Tommy. — Wróciła?

Albert wolno pokręcił głową.

— I nie odezwała się ani słowem? Nie zadzwoniła, nie zadepeszowała?

— Nic, proszę pana. Absolutnie nic, ani od niej, ani od nikogo innego. Przyczaili się... ale ją mają. Tak właśnie myślę: że ją dorwali.

— Co za diabeł w ciebie wstąpił? Jak to: dorwali? Te twoje lektury... Kto ją dorwał?

— Przecież pan wie. Gang.

— Jaki znowu gang?

— Może jeden z tych ze sprężynowymi nożami? Albo jakiś międzynarodowy?

— Nie gadaj bzdur. Wiesz, co ja o tym sędzę?
 Albert spojrział pytająco na chlebobawcę.
 — Że to skrajna bezmyślność z jej strony. Powinna dać jakoś znać.
 — Ach, tak? No cóż, rozumiem. Można i w ten sposób... — I dodał dość niefortunnie: — Skoro panu z tym lepiej... — Odebrał od Tommy'ego paczkę. — Widzę, że przywiózł go pan z powrotem.
 — Tak, przywiozłem ten cholerny obraz. Dużo mi z niego przyszło.
 — Niczego pan się z niego nie dowiedział?
 — To nie do końca prawda. Czegóż tam się dowiedziałem, ale czy ta informacja na coś mi się przyda, to się jeszcze okaże. Nie dzwonił do mnie doktor Murray? Albo pana Packard ze Słonecznych Wzgórz? Czy w ogóle ktoś...?
 — Nikt oprócz faceta z warzywniaka. Podobno ma ładne bakłażany, a wie, że pani je lubi, więc zawsze ją zawiadamia. Powiedziałem mu, że pani chwilowo nie może podejść. Mam dla pana kurczaka na obiad.
 — Że też ty nigdy nie wymyślisz nic innego!
 — Tym razem to taki, którego nazywają *poussin*. Chudzina.
 — Niech będzie.
 Zadzwonił telefon. Tommy w jednej chwili znalazł się przy aparacie.
 — Halo... Halo?
 Odezwał się słaby, daleki głos:
 — Pan Tomasz Beresford? Przyjmie pan osobistą rozmowę z Invergashly?
 — Tak.
 — Proszę nie odkładać słuchawki.
 Tommy czekał. Podniecenie powoli ustępowało. Musiał czekać jeszcze jakiś czas, po czym odezwał się inny głos — świeży i rzeczowy. Głos jego córki Debory.
 — Halo, to ty, tatusiu?
 — Debora!
 — Tak. Coś ty taki zdyszany, biegłeś?
 Córkom zawsze coś się nie podoba.
 — Czasem się zasapuję, w moim podeszłym wieku to normalne. A jak ty się miewasz?
 — Ja? W porządku. Słuchaj, tato, widziałam w gazecie coś dziwnego. To notatka o kimś, kto miał wypadek i leży w szpitalu.
 — I co? Nic takiego nie zauważyłem. A czemu cię to niepokoi?
 — To nic specjalnie groźnego, pewnie jakaś stłuczka czy coś. W każdym razie chodzi o kobietę... starszą kobietę. Podano jej nazwisko: Prudence Cowley, ale nie mają adresu i...
 — Prudence Cowley? Chcesz powiedzieć...?

- No właśnie. Trochę mnie to... zdziwiło. Bo to panięskie nazwisko mamy, prawda?
- Oczywiście.
- Zawsze zapominam o tej Prudence. To znaczy... nigdy nie myślimy o niej jako o Prudence, ani ty, ani ja, ani Derek.
- Nie. Bo to nie jest imię, jakie można by sobie kojarzyć z waszą matką.
- Wiem, że nie. Ale się trochę zdziwiłam. Czy to może być jakaś jej krewna?
- Może i tak. A gdzie ona leży?
- Zdaje się, że w szpitalu w Market Basing. Jak rozumiem, chcą się dowiedzieć o niej czegoś więcej. Pomyślałam, że... cóż, może to głupie, ale na świecie musi być sporo osób nazwiskiem Cowley i równie dużo o imieniu Prudence. Ale dzwonię, bo chcę się upewnić, czy mama jest w domu i czy wszystko w porządku.
- Rozumiem. Tak, rozumiem.
- No dobra, tato, gadaj. Jest w domu?
- Nieee. Nie ma jej w domu i nie wiem także, czy wszystko z nią w porządku.
- Co to znaczy? Co mama robi? Bo ty pewnie ziewałeś w Londynie razem z tymi zramolałymi niedobitkami szpiegów z czasów wojny?
- Masz absolutną rację. Wczoraj wróciłem z Londynu.
- I nie zastałeś mamy w domu. Wiedziałaś, że gdzieś się wybiera? Daj spokój, tato, powiedz mi o wszystkim. Martwisz się, poznaję po głosie. Co ona kombinuje? W jej wieku powinna siedzieć spokojnie w domu i nie mieszać się do niczego.
- Była niespokojna. Martwiła się pewną sprawą, związaną ze śmiercią ciotki Ady.
- Jaka to sprawa?
- No... Jedna z pacjentek domu opieki coś jej powiedziała i mama się o nią niepokoi. Kiedy pojechalśmy po rzeczy ciotki, chcieliśmy porozmawiać z tą panią, ale okazało się, że wyjechała, i to dość nagle.
- To chyba całkiem normalne?
- Przyjechali po nią jacyś krewni.
- Nadal nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Co tę mamę ugryzło?
- Wbiła sobie do głowy, że staruszce coś się stało.
- Aha.
- Nie chcę, jak to się mówi, stawiać kropki nad i, ale ta pani chyba zniknęła. Niby wszystko normalnie, za wiedzą prawników, banków i tak dalej, tylko nie możemy ustalić miejsca jej pobytu.
- I mama pojechała na poszukiwania?
- Tak. I dotąd jej nie ma, chociaż dwa dni temu telefonowała, że wraca.
- Nie masz żadnych wiadomości?
- Nie.

— Że też ty nie potrafisz porządnie jej przypilnować — wytknęła mu córka surowo.
— Nikt z nas tego nie potrafi. Ty także nie, gdyby przyszło co do czego. Podczas wojny też wyjeżdżała i robiła mnóstwo rzeczy, które do niej nie należały.

— Ale teraz jest inaczej. To znaczy, teraz ona jest dość leciwa. Powinna siedzieć w domu i zadbać trochę o siebie. Przypuszczam, że się nudziła i stąd ta cała afera.

— Powiedziałaś: Market Basing?

— W hrabstwie Melford. Około półtorej godziny pociągiem z Londynu.

— To jest to! A w pobliżu leży wioska o nazwie Sutton Chancellor.

— I co z tego?

— Za długo by mówić teraz. To się wiąże z pewnym obrazem, przedstawiającym dom przy mostku nad kanałem.

— Chyba nie za dobrze cię słyszę — poskarżyła się Debora. — O czym ty mówisz?

— Mniejsza z tym. Zaraz zadzwonię do szpitala w Market Basing i dowiem się paru szczegółów. Mam wrażenie, że to mimo wszystko wasza mama. Ludzie po wstrząsie mózgu często pamiętają to, co wydarzyło się znacznie wcześniej, jeszcze w ich dzieciństwie, i bardzo powoli wracają do teraźniejszości. Wróciła do panińskiego nazwiska. Mogła mieć wypadek samochodowy, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby po prostu ktoś walnął ją w głowę. Twojej matce zdarzają się takie rzeczy, jeśli w coś się wmiesza. Dam ci znać, czego się dowiedziałem.

Czterdzieści minut później Tommy Beresford zerknął na zegarek, wydał ciężkie westchnienie i odłożył ostatecznie słuchawkę na widełki. W drzwiach ukazał się Albert.

— Proszę pana, co będzie z obiadem? Nic pan jeszcze nie jadł, a ja na śmierć zapomniałem o kurczaku. Spalił się biedak na węgiel.

— Nie będę nic jadł — oświadczył Tommy. — Natomiast muszę się napić. Przynies mi podwójną whisky.

— Już się robi.

W parę minut później postawił szklanekę z napitkiem przy spłowiałym, lecz wygodnym fotelu, zarezerwowanym do osobistego użytku pana domu.

— A teraz pewnie chciałbyś coś usłyszeć — powiedział miłosiernie Tommy.

— W rzeczy samej, proszę pana — odrzekł Albert z lekkim poczuciem winy — prawie wszystko już wiem. Bo widzi pan, ponieważ chodziło o panią i w ogóle, pozwoliłem sobie na podniesienie słuchawki w sypialni. Chyba nie ma mi pan za złe, skoro to dotyczyło pani?

— Nie, nie mam do ciebie pretensji. Właściwie nawet jestem ci wdzięczny. Bo gdybym musiał zaczynać wszystko od początku...

— Dotarł pan do nich wszystkich, prawda? Mam na myśli szpital, lekarza i przełożoną pielęgniarek.

— Nie ma potrzeby do tego wracać.

— Szpital w Market Basing... Nigdy nie wysnęło się jej ani jedno słowo na ten temat. Nie zostawiła żadnego adresu ani w ogóle nic.

— Nie zamierzała się tam zatrzymywać. Z tego, co mi powiedziano, prawdopodobnie ktoś ją uderzył w głowę w jakimś ustronnym miejscu. Potem zaciągnął ją do samochodu i wyrzucił na poboczu, tak żeby to wyglądało na wypadek z ucieczką sprawcy. Obudź mnie jutro o szóstej trzydzieści, muszę wcześniej być na nogach.

— Przepraszam za tego spalonego kurczaka. Wsadziłem go do piecyka tylko po to, żeby się zagrzał, i zupełnie zapomniałem.

— Co tam jakiś kurczak. Zawsze uważałem kury za głupie ptaki. Pakują się pod samochody i gdaczą jak opętane. Pochowaj jutro tego trupa, niech ma porządny pogrzeb.

— Ale ona nie umiera, prawda?

— Musisz poskromić te melodramatyczne zapędy. Gdybyś nieco lepiej przykładał ucho, usłyszałbyś, że bez problemu odzyskała przytomność, wie, kim jest czy raczej była, oraz gdzie przebywa. Lekarze przysięgają, że jej nigdzie nie puszczą, póki sam nie przejmę opieki. Nie ma mowy, żeby wymknęła się gdzieś na jakąś pozał się Boże, detektywistyczną robotę.

— Skoro mowa o detektywistycznej robocie... — Albert zawiesił głos i kaszlnął znacząco.

— Niespecjalnie chce mi się o tym rozmawiać. Daj sobie spokój, Albercie, naucz się lepiej księgowości albo uprawy roślin pod szkłem czy czegoś...

— Ja tylko tak sobie myślałem... to znaczy jeśli chodzi o ślady...

— Dobra, co z tymi śladami?

— Trochę o nich myślałem.

— I stąd właśnie biorą się wszystkie życiowe kłopoty: z myślenia.

— Ślady... — podjął Albert. — Na przykład ten obraz. To jest jakiś ślad, prawda?

Tommy zauważył, że Albert zdążył już zawiesić obraz na ścianie.

— Skoro ten obraz może stanowić ślad, to jak pan myśli, czego? — Zaczerwienił się lekko, kiedy zrozumiał, jak niezręcznie sformułował zdanie. — Chciałem powiedzieć: o co właściwie tu chodzi? Bo to powinno coś znaczyć. A ja sobie pomyślałem... Przepraszam, że o tym wspominam...

— Wal śmiało.

— Pomyślałem o tym biurczku.

— Biurczku?

— Tak. O tym, co właśnie wróciło z renowacji razem ze stolikiem, dwoma krzesłami i jeszcze paroma rzeczami. To należało do rodziny, prawda?

— Do mojej ciotki Ady.

— No więc... W takich meblach można czasem znaleźć jakiś ślad. W starych, antycz-

nych biurkach.

— Możliwe.

— Wiem, że to nie moja sprawa, i naprawdę nie powinienem zawracać panu głowy, ale kiedy pan wyjechał... Po prostu nie mogłem się oprzeć i zajrzałem.

— Co? Zajrzałeś do biurka?

— Tak, tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakiejś wskazówki. Bo wie pan, w takich biurkach zdarzają się skrytki.

— Owszem.

— Więc sam pan widzi. Mogła być jakaś wskazówka. Zamknięta w skrytce.

— To nawet przyjemnie brzmi. Ale z tego, co wiem, moja ciotka nie miała powodu, by coś ukrywać.

— Ze starszymi paniami nigdy nic nie wiadomo. Lubią utykać rzeczy po kątach jak kawki czy sroki. Może to być tajny testament albo coś napisanego sympatycznym atramentem, albo jakiś skarb. Bo gdzie miałby pan znaleźć ukryte skarby, jak nie w takiej skrytce?

— Przykro mi, Albercie, ale muszę cię rozczarować. Jestem absolutnie przekonany, że w tym przyjemnym rodzinnym mebelku, należącym dawniej do mego wuja Williama, nic takiego nie ma. Ten wuj to jeszcze jeden nasz krewny, który na stare lata stetryczał. Poza tym był głuchy jak pień i miał podły charakter.

— Tak sobie pomyślałem — ciągnął swoje Albert — że nic złego się nie stanie, jeśli tylko zajrzę. — I dodał zgodnie z prawdą: — Zresztą i tak biurko należało wysprzątać. Wie pan, jak to jest ze starszymi paniami. Nie wyciągają zbyt często swoich rzeczy, zwłaszcza jeśli cierpią na reumatyzm i trudno im się ruszać.

Tommy nie odzywał się przez chwilę. Pamiętał, że razem z Tuppence ledwie rzucili okiem na szuflady. Całą ich zawartość zapakowali do dwóch dużych kopert, odkładając tylko parę motków włóczki, dwa swetry, czarną aksamitną etolę i trzy porządne poszewki na poduszki z dolnej szuflady. Dołączyli to wszystko do ubrań i innych rzeczy przeznaczonych do oddania. Po powrocie do domu przejrzeni także papiery w koperkach, ale nie znaleźli tam nic interesującego.

— Sprawdziliśmy biurko, Albercie. Poświęciliśmy na to ładnych kilka wieczorów. Znaleźliśmy raptem kilka dość ciekawych starych listów, jakieś przepisy na gotowaną szynkę i konfitury, książeczkę z kartkami żywnościowymi i inne rzeczy z czasów wojny. Nic nas specjalnie nie zainteresowało.

— Och, bo to tylko papiery i inne rupiecie, jak sam pan zauważył. Takie rzeczy, które człowiek zwykł upychać po szufladach. A mnie chodzi o prawdziwe sekrety. Kiedy byłem chłopcem, pracowałem pół roku u handlarza antyków. Często pomagałem mu fałszować różne przedmioty. Ale przy okazji dowiedziałem się sporo o sekretnych szufladkach. Zwykle wykonywano je według jednego wzoru, różniącego się tylko szczegóła-

mi. Nie chce pan rzucić okiem? Bo sam przy panu się nie odważę, to byłoby nadużycie. — Spojrzał na Tommy'ego wzrokiem napraszającego się psa.

— No dobrze, Albercie — poddał się Tommy. — Popelnijmy to nadużycie.

Bardzo ładny mebelek — myślał, przyglądając się w towarzystwie Alberta swojemu dziedzictwu. — Dobrze utrzymany, z piękną starą politurą, świadcząca o mistrzostwie ówczesnych rzemieślników.

— Jazda, Albercie — rzekł głośno. — To twoja działka, tylko niczego nie popsuj.

— Ależ ja zawsze bardzo uważałem. Nie porysowałem powierzchni, nie wtykałem noża ani nic. Najpierw zdejmujemy front i położymy go na tych dwóch wysuwanych płytach. O, tak... widzi pan? W ten sposób opada kłapa, na której starsze panie zwykły siadać. Pańska ciotka miała ładną szkatułkę wykładaną macicą perłową. Znalazłem ją w lewej szufladzie.

— Tam są takie dwie przegródki... — zauważył Tommy, wyciągając delikatne pionowe szufladki.

— Ach, te... Tu się wkłada papiery, ale nie żadne sekretne. Do tego najczęściej służy środkowa szafka. Na dnie zwykle jest nieznaczne wgłębienie. Wystarczy pociągnąć dno i widać wolną przestrzeń. Ale bywają też inne sposoby. To biurko należy do takich, co mają sporo miejsca pod spodem.

— To chyba nie żadna tajemnica? Po prostu odsuwa się płytkę...

— Cały figiel polega na tym, że człowiek to odkrywa i myśli, że to już wszystko. Za płytką jest spora przestrzeń, gdzie można trzymać to, co nie powinno rzucać się w oczy. Ale to jeszcze nie wszystko. Bo widzi pan, tu, na froncie, jest taki mały występ. I jeśli się go przesunie w górę...

— Tak, widzę. Przesuń go.

— I proszę bardzo, jest prawdziwa skrytka. Tuż za tą środkową.

— Ale nic w niej nie ma.

— Nie ma — przyznał Albert. — Wygląda to nieciekawie. Ale jeśli wsadzi pan rękę do środka i przesunie ją trochę na lewo albo na prawo, ukażą się dwie wąskie szufladki, każda po jednej stronie. Na górze mają wycięte półkoliste otwory, można zaczepić palcem i ostrożnie wyciągnąć. — To mówiąc, Albert wykręcał swój przegub, jakby w ogóle nie miał w nim kości. — Czasem się zacinają... Zaraz, zaraz... o, wychodzi.

I Albert zgiętym palcem zaczął wyciągać coś ze środka. Wysuwał to ostrożnie, póki w otworze nie ukazała się wąska szufladka. Wyjął ją do końca i zdeponował przed Tommym z miną psa, który składa u pańskich stóp swą kość.

— Chwileczkę, proszę pana. Coś tu jest, coś w długiej, cienkiej kopercie. Teraz zajmujemy się drugą stroną.

I takimi samymi wężowymi ruchami zaczął wyginać drugą rękę. Niebawem druga szufladka spoczęła obok pierwszej.

— W tej także coś jest — zauważył Albert. — Następna zapieczętowana koperta, którą ktoś kiedyś postanowił tu schować. Nie próbowałem otwierać żadnej z nich, nie pozwoliłbym sobie na to. — Jego głos ociekał wprost cnotą. — Zostawiłem je panu, ale moim zdaniem to mogą być jakieś wskazówki.

Razem z Tommym wyjęli zawartość zakurzonych szufladek. Tommy najpierw wziął kopertę, zwiniętą na całej długości i zabezpieczoną elastyczną opaską, która rozpadła się, kiedy tylko jej dotknął.

— Wygląda na coś wartościowego — ucieszył się Albert.

Tommy zerknął na kopertę. Był na niej napis: „Poufne”.

— No proszę! Widzi pan? Poufne! To wskazówka! — triumfował wierny sługa.

Jego chlebodawca wyjął tymczasem ze środka połówkę kartki z notatnika, zapisaną wyblakłym i bardzo drobnym maczkiem. Obracał ją to na jedną, to na drugą stronę, czując na karku ciężki oddech pochylonego Alberta.

— „Przepis pani MacDonald na krem z łososia — przeczytał. — Otrzymany w drodze szczególnej uprzejmości. Wziąć 2 funty łososia pokrojonego na kawałki średniej wielkości, pół kwarty jerseyjskiej śmietanki, kieliszek brandy i świeży ogórek...” — Urwał. — Przykro mi, Albercie, ale ten ślad doprowadzi nas tylko na wyżyny sztuki kulinarnej.

Albert wydawał dźwięki wskazujące na najwyższy niesmak i rozczarowanie.

— Nie przejmuj się — pocieszał go Tommy. — Mamy tu jeszcze jedną.

Druga koperta nie wyglądała już na taki relikwiarz starożytności. Były na niej dwie pieczęcie z szarego wosku, każda z odcisniętą dziką różą.

— Ładne! — rzekł z uznaniem Tommy. — Dość wymyślne, jak na ciotkę Adę. Pewnie kryje przepis na pieróg z wołowiną.

Rozerwał kopertę i unióśł brwi. Wypadło z niej dziesięć pięcioletnich banknotów.

— Całkiem przyjemne — zauważył. — Stare, pochodzą z czasów wojny. Porządny papier... Pewnie dziś już nieważne.

— Pieniądze! — wykrzyknął Albert. — Po co jej tyle forsy?

— Ach, to taki zaskórniak starszej pani. Ciotka Ada ciągle coś chowała na czarną godzinę. Wiele lat temu powiedziała mi, że każda kobieta zawsze powinna mieć przy sobie dziesięć pięcioletnich banknotów na wszelki wypadek.

— Ja tam uważam, że i dziś nie zawadzi je mieć.

— Nie sądzę, by te banknoty były jeszcze w obiegu. Możesz spróbować wymienić je w banku.

— Ale jest jeszcze jedna koperta. Ta z pierwszej szufladki — przypomniał Albert.

Następna koperta była bardziej pękata. Zawartości strzegły trzy imponujące pieczęcie. Na wierzchu napisano tą samą ręką, co przepis na krem: *W razie mojej śmierci ko-*

pertę tę należy przesłać bez otwierania panu Rockbury'emu, adwokatowi z firmy Rockbury and Tomkins, albo mojemu siostrzeńcowi Tomaszowi Beresfordowi. Osoby niepowołane proszone są o nieotwieranie.

W środku znajdowało się kilka ciasno zapisanych arkusików. Pismo było niewyraźne, miejscami wręcz nieczytelne, o bardzo ostro zakończonych literach. Tommy czytał na głos z pewnym trudem:

Ja, Ada Maria Fanshawe, opisuję tu pewne sprawy, o których dowiedziałam się od mieszkanek domu opieki o nazwie Słoneczne Wzgórza. Nie mogę zagwarantować prawdziwości tych informacji, ale istnieją powody, by wierzyć, że w naszej placówce mają miejsce podejrzane wydarzenia, kto wie, czy nie o charakterze kryminalnym. Elizabeth Moody, kobieta głupia, ale raczej wiarygodna, twierdzi, że rozpoznała na terenie domu znaną zbrodniarkę. Być może działa wśród nas trucicielka. Ja osobiście wolę nie zabierać głosu, ale mam się na baczności. Będę się starała zapisywać tutaj wszelkie fakty, o których się dowiem. Cała sprawa może okazać się mistyfikacją. Proszę mojego adwokata albo siostrzeńca o wyjaśnienie tej sprawy do końca.

— Proszę! A nie mówiłem? — wykrzyknął triumfalnie Albert. — Oto nasz ślad!

Księga czwarta

*Tutaj jest Kościół,
A tu Wieża tkwi.
Chcesz widzieć Ludzi?
Więc otwórz Drzwi.*

Rozdział XIV

Ćwiczenie w myśleniu

1

— Przypuszczam, że powinniśmy trochę pomyśleć — powiedziała Tuppence.

Wkrótce po radosnym spotkaniu w szpitalu została uroczyście wypisana. Wierni małżonkowie siedzieli teraz w salonie najlepszego apartamentu w Jagnięciu i Chorągiewce, porównując swoje notatki.

— Z myśleniem to ty daj sobie spokój — zaprotestował Tommy. — Wiesz, co ci lekarz przykazał: żadnego wysiłku umysłowego, a fizyczny bardzo ograniczony. I niczym się nie przejmować.

— A co ja takiego robię? Trzymam nogi wysoko, pod głową mam dwie poduszki, a co się tyczy myślenia... Ono nie zawsze oznacza wysiłek umysłowy. Przecież nie odrabiam matematyki, nie studiuję ekonomii ani nawet nie podliczam domowych rachunków. Myślenie to tylko wygodny wypoczynek z głową otwartą na wypadek, gdyby coś ważnego czy ciekawego do niej wpadło. Zresztą, czy nie wolisz, żebym trochę pogimnastykowałam umysł w tej pozycji, zamiast wyruszać na kolejną akcję?

— Z pewnością nie życzę sobie więcej żadnych akcji. Z tym koniec, masz tu leżeć bez ruchu. W miarę możliwości nie spuszczać cię z oka. Nie ufam ci, zrozumiano?

— Dobrze, dobrze. Koniec kazania. Teraz się zastanówmy. Razem. Nie zwracaj uwagi na gadaninę lekarzy. Gdybyś o nich wiedział tyle, co ja...

— Mniejsza o lekarzy. Zrobisz, co ja ci każę.

— W porządku. Na razie mogę cię zapewnić, że nie mam najmniejszej ochoty na wysiłek fizyczny. Ale koniecznie musimy porównać zapiski. Zebrało się tego sporo, to gorsze niż kiermasz dobroczynny.

— A czegoż to mamy tak dużo?

— Faktów, wszelkiego rodzaju faktów. O wiele za dużo faktów, ale nie tylko. Są także pogłoski, sugestie, legendy, plotki. Cała sprawa przypomina skrzynię trocin, w której leżą zasypane gotowe paczki.

— Właśnie: trociny, czy raczej plewy.

— Nie wiem, czy chcesz mnie obrazić, czy przemawia przez ciebie skromność. Ale chyba się ze mną zgadzasz, co? Za dużo tego dobrego, o wiele za dużo. Są rzeczy słuszne i niesłuszne, ważne i nieważne, a wszystko jest z sobą pomieszane. Nie wiadomo, od czego zacząć.

— Ja tam wiem.

— Dobrze, więc od czego?

— Ja zaczynam od chwili, kiedy dostałaś po głowie.

Tuppence zastanawiała się przez chwilę.

— Tak naprawdę nie uważam tego za punkt startowy. To się zdarzyło na końcu, nie na początku.

— Dla mnie to początek. Nie lubię, jak ktoś wali po głowie moją żonę. Zresztą to właśnie jest prawdziwy początek: pierwszy fakt, coś, co zdarzyło się naprawdę, a nie w wyobraźni.

— Masz całkowitą rację. Owszem, to się zdarzyło, ja na tym ucierpiałam i bynajmniej o tym nie zapominam. Właściwie wciąż o tym rozmyślam, to znaczy odkąd odzyskałam zdolność myślenia.

— Masz jakieś pojęcie, kto to zrobił?

— Niestety nie. Pochylałam się właśnie nad jakimś grobem i nagle łups!

— Kto to mógł być?

— Zapewne ktoś z Sutton Chancellor, chociaż wydaje się to całkiem nieprawdopodobne. Przecież prawie z nikim tam nie rozmawiałam.

— Pastor?

— Wykluczone. Po pierwsze to miły staruszek, po drugie nie ma tyle siły. A po trzecie dlatego, że ma astmatyczną zadyszkę i nie mógłby się zakraść z tyłu tak, żeby nic nie słyszała.

— Więc skoro go wykluczasz...

— A ty nie?

— Cóż... Owszem, tak. Jak wiesz, rozmawiałem z nim trochę. Jest tam od lat i wszyscy go znają. Zapewne jakiś szatan w ludzkim ciele mógłby przybrać postać dobrego pastora, ale najwyżej na tydzień, a nie na dziesięć czy dwanaście lat.

— A w takim razie następną podejrzaną jest panna Bligh. Nellie Bligh. Chociaż Bóg wie dlaczego. Chyba nie myślała, że chcę ukraść płytę nagrobną?

— Uważasz, że to mogła być ona?

— Tak naprawdę, to nie. Ale oczywiście była do tego zdolna. Jeśli mnie śledziła, wi-

działa co robię i chciała dać mi po głowie, to by się jej udało. I podobnie jak pastor, była tam, na miejscu, w Sutton Chancellor. Wchodziła i wychodziła z domu wiele razy w ciągu dnia, kręciła się wszędzie, więc mogła zauważyć mnie na cmentarzu i podejść po ciachu na palcach z czystej ciekawości, a kiedy zobaczyła, że przyglądam się nagrobkowi, z jakiegoś powodu stuknęła mnie metalowym wazonem z kościoła albo czymś, co miała pod ręką. Tylko nie pytaj mnie dlaczego, bo nie mam pojęcia.

— Kto następny, Tuppence? Pani Cockerell czy jak jej tam?

— Pani Copleigh. Nie, to na pewno nie ona.

— Skąd ta pewność? Przecież mieszka w Sutton Chancellor, mogła widzieć, jak wychodzisz z domu, i za tobą pójść.

— Tak, tak, tylko że ona za dużo gada.

— Nie rozumiem, jaki to ma związek.

— Gdybyś jej słuchał przez cały wieczór tak jak ja, zrozumiałbyś, że nikt, komu cały czas słowa płyną z ust niczym rwący potok, nie może być człowiekiem czynu. Ona nie potrafiłaby zbliżyć się do mnie, obojętne, w jakim miejscu, bez ustawicznego tokowania na najwyższych obrotach.

Tommy rozważał przez chwilę tę informację.

— W porządku — przyznał po chwili. — W tych sprawach zdaję się na twój osąd. Spuszczamy z wodą panią Copleigh. Kto dalej?

— Amos Perry, mieszkaniec Domu Nad Kanałem (chyba tak brzmiała jego pierwotna nazwa, choć później miał wiele innych), mąż dobrej czarownicy. W tym człowieku jest coś dziwnego. Taki tępawy, potężnie zbudowany mężczyzna mógłby śmiało walnąć kogoś w głowę, gdyby tylko zechciał. I w pewnych okolicznościach zrobiłby to, chociaż nie wiem czemu akurat mnie. To bardziej prawdopodobny kandydat niż panna Bligh, która świetnie sobie radzi z pracą w parafii, a przy okazji wścibia wszędzie swój nos. Ale nie wyobrażam sobie, by Perry posunął się do fizycznego ataku, chyba że pod wpływem silnych emocji. — Tuppence zadrżała lekko. — Wiesz, tego dnia, kiedy go poznałam, trochę mnie przestraszył. Pokazywał mi ogród i nagle poczułam, że... no, w każdym razie nie chciałabym mu się narazić ani spotkać go w ciemnej ulicy. Tacy jak on często nie chcą stosować przemocy, ale czasem coś im odbija.

— Dobrze więc. Numer jeden: Amos Perry.

— I jeszcze ta jego żona... Dobra czarownica. Jest miła, polubiłam ją i nie chciałabym, żeby to była ona, a jednak coś w tym wszystkim miesza. Chyba chodzi o sprawy związane z domem. Widzisz, to jeszcze jeden wątek. Nie wiemy, co tu jest naprawdę ważne, ale zastanawiam się, czy czasem wszystko nie kręci się wokół tego domu. Obraz... Obraz także coś znaczy, prawda? Musi coś znaczyć.

— Tak. Też jestem tego zdania.

— Przyjechałam tu, żeby odnaleźć panią Lancaster, ale chyba nikt tu o niej nie sły-

szał. Zastanawiam się, czy to czasem nie jest odwrotnie i czy pani Lancaster nie grozi niebezpieczeństwem (bo grozi, tego jestem pewna) dlatego, że obraz do niej należał. Mogła nigdy nie być w Sutton Chancellor, ale albo dostała, albo kupiła obraz z tym domem. I właśnie ten obraz stanowi dla kogoś zagrożenie.

— Pani Kakao, to znaczy, pani Moody, mówiła ciotce Adzie, że rozpoznała w Słonecznych Wzgórzach kogoś, kto miał przestępcze powiązania. Uważam, że to ma coś wspólnego z obrazem i Domem Nad Kanałem, a także z dzieckiem, które, być może, tam zabito.

— Ciotka Ada podziwiała ten obraz i pani Lancaster w końcu jej go dała. Może rozmawiały o tym, skąd go miała i gdzie znajduje się dom...

— Panią Moody sprzątnięto, ponieważ definitywnie rozpoznała tego kogoś z przestępczymi powiązaniami.

— Wróćmy jeszcze do twojej rozmowy z doktorem Murrayem — poprosiła Tupence. — Kiedy ci opowiedział o pani Kakao, zaczął się rozwodzić na temat różnych typów morderców, dając przykłady autentycznych przypadków. Między innymi mówił o kobiecie, która prowadziła dom opieki... chyba kiedyś czytałam coś na ten temat, ale nie pamiętam nazwiska. Pomysł polegał na tym, że pensjonariuszki przekazywały jej wszystkie swoje pieniądze i mieszkaly tam do śmierci, mając zapewnioną doskonałą opiekę i świetne wyżywienie bez finansowych kłopotów. I naprawdę czuły się wspianiale, tyle że w ciągu roku umierały: w całkowitym spokoju, we śnie. Wreszcie ktoś zwrócił na to uwagę i kobieta została skazana za morderstwa. Nie miała jednak żadnych wyrzutów sumienia. Do końca twierdziła, że chciała jak najlepiej dla swych kochanych starsuszek.

— Tak — przyznał Tommy. — Masz rację, ale ja też nie pamiętam jej nazwiska.

— Nieważne. A potem doktor przypomniał inną sprawę. Przypadek kobiety, która pracowała po domach jako kucharka czy gospodyni. Zatrudniała się w różnych rodzinach i czasem nic złego się nie działo, a czasem wszyscy ulegali zatruciu. Zatruciu jedzeniem z typowymi objawami. Niektórym udawało się przeżyć. Preparowała kanapki. Potem je pakowała i wysyłała rodzinę na piknik. Była taka miła, oddana i sama także miała objawy zatrucia, chociaż nie takie silne. Potem wyjeżdżała na drugi koniec Anglii i tak to szło przez całe lata.

— Rzeczywiście. I nikt nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego to robiła. Czy wpadła w swego rodzaju nałóg? Czy czerpała z tego przyjemność? Nikt tego nie wie. W każdym razie do żadnej z ofiar nie żywiła niechęci ani pretensji. Po prostu miała nierówno pod sufitem?

— Tak, pewnie tak, chociaż jakiś oszust-psychiatra mógłby pewnie przeprowadzić głęboką analizę i doszukać się w jej dzieciństwie złego wujka, który ją w jakiś sposób przestraszył czy skrzywdził. Zresztą mniejsza o motywy, ważne, że takie fakty miały

miejsce.

— Trzecia sprawa była jeszcze dziwniejsza. Chodziło o Francuzkę, która nie mogła się pogodzić ze stratą męża i dziecka. Prawdziwy anioł miłosierdzia ze złamanym sercem.

— Owszem, pamiętam. Nazywano ją aniołem jakiejś tam miejscowości, chyba Givon. Odwiedzała chorych sąsiadów, a zwłaszcza dzieci. Opiekowała się nimi z największym poświęceniem, ale prędzej czy później, zwykle po lekkiej poprawie, następowało pogorszenie i dzieciak umierał. Ona na pogrzebie wylewała morze łez, i wszyscy się zastanawiali, co by poczęli bez swego anioła, który tak troskliwie zajmował się ich skarba-
mi i wprost ze skóry wychodził, aby je uratować.

— Tuppence, po co ty chcesz do tego wszystkiego wracać?

— Bo zastanawiam się, czy doktor Murray miał powód, by ci o tym wspominać.

— Myślisz, że on widzi związek z...

— Myślę, że on połączył trzy dobrze znane przypadki i teraz je dobiera... jak rękawiczki. Chce sprawdzić, czy któryś z nich pasuje do kogoś w Słonecznych Wzgórzach. Panna Packard, na przykład, pasuje do pierwszego: kompetentna kierowniczką domu opieki.

— Czemu ty jej ciągle wbijas jakieś szpile? Ja ją zawsze lubiłem.

— Ośmielam się twierdzić, że ludzie lubią morderców — zauważyła bardzo sensownie Tuppence. — To jest tak jak z oszustami czy budzącymi zaufanie hochsztaplerami, którzy zawsze wyglądają na chodzącą uczciwość. Mordercy także są bardzo mili i mają niezwykle miękkie serca. A panna Packard rzeczywiście jest kompetentną osobą i dysponuje wszelkimi środkami, by wyprawić kogoś na tamten świat w spokojny, naturalny sposób i bez wzbudzania podejrzeń. Tylko jedna pani Kakao mogłaby mieć wątpliwości, a to dlatego, że będąc sama stuknięta, rozumiała innych maniaków. Zresztą mogła ją spotkać już wcześniej.

— Nie sądzę, by panna Packard czerpała zyski ze śmierci swych podopiecznych.

— Nie wiadomo. Mogła być sprytniejsza, niż myślimy, i wybierać do swych celów same bogate osoby. Te zapisywały jej duże sumy, natomiast z pozostałych nie miała żadnych korzyści, toteż po prostu umierały w naturalny sposób. Więc sam widzisz, że doktor Murray mógł — tylko mógł — przyjrzeć się pannie Packard i powiedzieć sobie: „Bzdura, to czyste wymysły”. Ale załóżek powstał. Drugi przypadek pasowałby ewentualnie do kucharki czy nawet pielęgniarki. Ktoś zatrudniony w placówce, odpowiedzialna osoba w średnim wieku, ale z określonymi zaburzeniami. Może uprzedzała się do niektórych pacjentek, może nie wszystkie lubiła? Nie możemy bawić się w zgadywanki, bo przecież nikogo tam dobrze nie znamy.

— A trzeci przypadek?

— Trzeci jest trudniejszy — przyznała Tuppence. — To ktoś oddany pacjentkom,

ktoś, kto się dla nich poświęca.

— Może po prostu doktor wspomniał o nim dla równowagi? — zasugerował Tommy. Po chwili dodał: — Zastanawiam się nad tą Irlandką...

— Tą miłą, której daliśmy etolę?

— Właśnie. Ulubienica ciotki Ady... Bardzo sympatyczna dziewczyna. Tak lubiła swoje pacjentki, tak żałowała, kiedy umierały. Była bardzo zmartwiona podczas rozmowy z nami, prawda? Powiedziała, że odchodzi stamtąd, ale nie podała powodu.

— Ona może być typem neurotyczki. Pielęgniarki nie powinny być zbyt współczujące, to źle wpływa na pacjentów.

— Siostra Beresford się odezwała! — uśmiechnął się szeroko Tommy.

— Ale skoncentrujmy się na obrazie. — Tuppence przywołała go do porządku. — Powiedziałeś, że pani Boscowan wydała ci się interesująca.

— Bo tak jest. To jedna z najbardziej interesujących osób, które napotkaliśmy w związku z tą niezwykłą sprawą. Ona po prostu wie różne rzeczy, ale jej wiedza nie bierze się z myślenia. Mam wrażenie, że wie także coś o tym miejscu. Coś, czego nie wie żadne z nas.

— To dziwne, co powiedziała o łódce, że pierwotnie nie było jej na obrazie. Jak sądzisz, dlaczego teraz jest?

— Och, nie mam pojęcia.

— Czy miała wypisaną nazwę? Nie pamiętam, czy widziałam jakiś napis, ale w końcu nie przyglądałam się tak dokładnie.

— Był napis: „Lilia wodna”^{*}.

— Bardzo odpowiednia nazwa... Coś mi to przypomina, ale co?

— Nie wiem.

— I uparcie twierdziła, że jej mąż nie namalował żadnej łódki... Przecież mógł zrobić to później.

— Powiedziała, że absolutnie nie.

— Oczywiście, jest jeszcze inna możliwość. To w związku z moim wypadkiem, rozumiesz... Ktoś obcy, ktoś, kto śledził mnie od samego Market Basing, żeby sprawdzić, o co mi chodzi. Zadawałam tyle pytań, wchodziłam do tych wszystkich agencji nieruchomości. Blodget i Burgess, i cała reszta... Zniechęcali mnie do tego domu, udzielali wymijających odpowiedzi, tak wymijających, że to aż nienaturalne. Stosowali ten sam rodzaj uników, z którym zetknęliśmy się, wpytując o panią Lancaster. Prawnicy, banki, właściciel, z którym nie można się skontaktować, bo przebywa za granicą... Ten sam schemat, rozumiesz? Wysłali kogoś, żeby śledził mój samochód, chcieli wiedzieć, co robię, no i w ten sposób dostałam po głowie. Co nas sprowadza do kwestii grobu. Dłacz-

^{*}w oryg.: *Waterlily*

go ktoś nie chciał, żebym oglądała stare nagrobki? One wszystkie i tak były poprzewracane. Pewnie jakimś chłopakom znudziło się demolowanie budek telefonicznych, to przyszli na cmentarz, żeby go zbeczczyć dla zabawy.

— Mówiłaś, że były tam wymalowane słowa... czy może nieudolnie wryte?

— Tak, chyba wryte dłutem. Komuś źle szło to rycie, więc nie dokończył.

— Nazwisko — Lily Waters — i wiek: siedem lat. To wykonano porządnie, a potem już tylko urywki słów, coś jakby „Ktokolwiek...”, „zgorszy najmniejszych...” i „młyński kamień”.

— Skądś to znam.

— Owszem. To na pewno z Biblii, ale ktoś chyba nie mógł się zdecydować, jakie słowa chce uwiecznić.

— Bardzo dziwna cała ta sprawa. I dlaczego komuś to przeszkadzało? Przecież ja tylko pomagałam pastorowi i temu biedakowi, który chciał odnaleźć zaginione dziecko... Proszę, znów jesteśmy przy utraconym dziecku. Pani Lancaster opowiadała o dziecku zamurowanym za kominkiem, pani Copleigh o zamurowanych zakonnicach i zamordowanych dzieciach, o matce, która zabiła dziecko, o parze kochanków i nieślubnym dziecku, o samobójstwie... To wszystko stare plotki, pogłoski i legendy wymieszane w jeden wielki pasztet. Ale jest jeden fakt — nie żadna pogłoska.

— To znaczy?

— Mam na myśli komin w Domu Nad Kanałem i lalkę, która stamtąd wypadła. Musiała tam leżeć od bardzo dawna, była cała pokryta sadzą i okruchami gruzu.

— Szkoda, że jej nie mamy — zmartwił się Tommy.

— Owszem, mamy! — W głosie Tuppence brzmiała nuta triumfu.

— Zabrałaś ją?

— Tak. Wiesz, przestraszyłam się trochę. Postanowiłam ją zbadać. Zresztą nikt jej nie chciał, ci Perry na pewno by ją zaraz wrzucili do kubła na popiół. Mam tutaj tę lalkę. — Podeszła do walizki, poszperała w niej trochę i wyciągnęła zapakowany w gazetę przedmiot. — Sam sobie obejrzyj.

Tommy z ciekawością rozwinął gazetę i ostrożnie wyjął szczątki lalki. Ręce i nogi zwisały jej bezwładnie, resztki wstążki odpadły z ubrania, gdy tylko ich dotknął. Korpus wykonano z bardzo cienkiego zamszu. Kiedyś porządnie wypchany trocinami, teraz, gdy ich ubyło, nie chciał już trzymać się prosto. Mimo że Tommy obchodził się ze znaleziskiem nadzwyczaj delikatnie, korpus nagle się rozpadł i przez wielką dziurę wysypała się garstka trocin wymieszanych z drobnymi kamyczkami. Tommy zaczął je starannie zbierać, mruczając pod nosem:

— Dobry Boże... Dobry Boże...

— Dziwne, że tyle tych kamyczków — zauważyła Tuppence. — Może to okruchy gruzu z komina albo gipsu?

— Nie, one były wewnątrz lalki.

Kiedy skończył je zbierać, postukał palcem w lalczyne zwłoki. Wysypało się jeszcze kilka kamyczków. Tommy podszedł z nimi do okna i obracał kolejno na wszystkie strony. Tuppence obserwowała go, nic z tego nie rozumiejąc.

— Co za śmieszny pomysł, żeby napychać lalkę kamykami!

— To nie są takie zwyczajne kamyki — odrzekł Tommy. — I nie bez powodu znalazły się w lalce.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Przypatrz się im uważnie.

Wzięła kilka kamyków z jego ręki.

— Kamyki i tyle — orzekła. — Jedne większe, drugie mniejsze. Nie wiem, czemu się tak podniecasz.

— Ponieważ, droga Tuppence, zaczynam to i owo rozumieć. To nie są żadne kamyki, tylko diamenty.

Rozdział XV

Wieczór na plebani

1

— Diamenty? — wykrztusiła Tuppence, patrząc to na męża, to na kamyki na swej dłoni. — Te niepozorne, brudne okruchy to diamenty?

Tommy skinął głową.

— Teraz zaczynam widzieć w tym sens. Wszystko się z sobą wiąże: dom, obraz. Niech tylko Ivor Smith usłyszy o tej lalce! Zresztą już masz u niego wielki bukiet.

— Za co?

— Za pomoc w wykryciu dużego gangu przestępców.

— Ty i ten twój Smith! Pewnie to u niego spędziłeś cały ostatni tydzień, zostawiając mnie pod koniec rekonwalescencji w tym koszmarnym szpitalu, akurat kiedy tak potrzebowałam błyskotliwych rozmów i mnóstwa pociechy.

— Przecież przychodziłem niemal codziennie w porze odwiedzin.

— Ale niewiele mówiłeś.

— Bo ten smok w pielęgniarskim fartuchu powiedział, że nie wolno ci się ekscytować. Ale sam Ivor będzie tu pojutrze i urządzimy sobie na plebanii miły towarzyski wieczorek.

— Kto tam jeszcze będzie?

— Pani Boscowan, jeden z lokalnych właścicieli ziemskich, Nellie Bligh, pastor i, oczywiście, my oboje.

— Oraz pan Ivor Smith... Jak on się naprawdę nazywa?

— Z tego, co wiem, Ivor Smith.

— Ta twoja wieczna ostrożność! — zaśmiała się nagle Tuppence.

— Co cię tak bawi?

— Po prostu pomyślałam sobie, że chciałabym zobaczyć ciebie i Alberta, jak przetrząsacie biurko ciotki Ady.

— To zasługa wyłącznie Alberta. Można powiedzieć, że wygłosił cały wykład na temat sekretów starych biur. Nauczył się tego w młodości, kiedy pracował u handlarza antyków.

— Powiedzmy, że ciotka Ada rzeczywiście zostawiła taki sekretny dokument z pieczęciami. Właściwie nie wiedziała niczego konkretnego, ale gotowa była uwierzyć, że ktoś w Słonecznych Wzgórzach stanowi zagrożenie. Ciekawe, czy podejrzewała pannę Packard.

— To tylko twój pomysł.

— To bardzo dobry pomysł, jeśli szukamy gangu przestępców. Potrzebowali miejsca takiego jak Słoneczne Wzgórze, o nienagannej opinii, sprawnie prowadzonego przez zbrodniarkę o dostatecznie wysokich kwalifikacjach, by miała w każdej chwili dostęp do narkotyków i mogła zaaplikować je wytypowanej pacjentce. A potem wmówić lekarzowi, że staruszka umarła śmiercią naturalną i wszystko jest w najlepszym porządku.

— Ty już ją osądziłaś, ale tak naprawdę zaczęłaś podejrzewać pannę Packard tylko dlatego, że po prostu nie podobają ci się jej zęby...

— „Żeby ci łatwiej mogła zjeść” — zacytowała Tuppence z namysłem. — Powiem ci coś jeszcze, Tommy. Przypuśćmy, że ten obraz nigdy nie należał do pani Lancaster.

— Ale wiemy, że należał.

— Wcale nie wiemy. Wiemy tylko, że panna Packard tak powiedziała. To ona twierdziła, że pani Lancaster dała go ciotce.

— Ale czemu miałyby... — zaczął Tommy i urwał.

— Może właśnie dlatego panią Lancaster stamtąd wywieziono. Żeby nie mogła nas poinformować, że obraz do niej nie należał i wcale nie podarowała go ciotce Adzie.

— Chyba posuwasz się za daleko.

— Może... Ale obraz powstał w Sutton Chancellor. Tam także stoi ów dom. Mamy powody podejrzewać, że służył lub służył jako kryjówka organizacji przestępczej, za którą stoi pan Eccles. Ten sam pan Eccles wysłał panią Johnson, by ta zabrała panią Lancaster ze Słonecznych Wzgórz. Nie wierzę, by pani Lancaster była kiedykolwiek w Sutton Chancellor czy w Domu Nad Kanałem, podobnie jak nie wierzę, by posiadała ten obraz, ale mogła usłyszeć, jak w Słonecznych Wzgórzach ktoś o nim mówił, może pani Kakao? Więc zaczęła gadać i stała się na tyle groźna, że zdecydowano się ją usunąć. Ale ja pewnego dnia ją znajdę, wspomnisz moje słowa!

— Pani Beresford prowadzi śledztwo.

2

— Pani Tommy, jeśli wolno mi zauważyć, wygląda pani znakomicie — powiedział Ivor Smith.

— Znów czuję się doskonale. Jakie to głupie, że tak się dałam podejść.

— Zasłużyła pani na medal. Szczególnie za tę lalkę. Zachodzę w głowę, jak też pani wpada na takie rzeczy.

— O, terier z niej idealny — pochwalił żonę Tommy. — Wystarczy, że zwęszy trop i już nie popuści.

— Chyba nie zamierzacie mnie odsunąć od tej wieczornej imprezy — rzekła podejrzliwie Tuppence.

— Oczywiście, że nie. Wyjaśniło się mnóstwo spraw i nie umiem wprost wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczny wam obojgu. Zresztą byliśmy już na tropie tej wyjątkowo sprytniej organizacji przestępczej, odpowiedzialnej za zdumiewającą liczbę rabunków w ciągu ostatnich pięciu czy sześciu lat. Jak już mówiłem Tommy'emu, kiedy mnie zapytał, czy wiem coś o tym cwaniaku Ecclesie, podejrzewaliśmy go od dłuższego czasu, ale tego rodzaju ludziom trudno coś udowodnić. Są stanowczo zbyt ostrożni, a ten w dodatku praktykował jako adwokat, więc prowadził prawdziwe sprawy dla prawdziwych klientów. A więc, jak wspomniałem Tommy'emu, jednym z najważniejszych punktów zaczepienia okazał się ten łańcuch domów. Realne, cieszące się dobrą opinią budynki z szanowanymi ludźmi, którzy jednak użytkowali je krótko, a potem się wyprowadzali. No a dzięki pani, pani Tommy, i pani śledztwu w sprawie kominów i martwych ptaków, dotarliśmy jak po sznurku do jednego z owych domów, gdzie ukryto znaczną część łupów. To był nadzwyczaj sprytny system, wie pani. Zrabowane klejnoty i inne wartościowe rzeczy zamieniano na paczki surowych diamentów, chowano je, a po pewnym czasie, kiedy sprawa danego rabunku ucichła, wywożono za granicę samolotami albo rybackimi łodziami.

— A co z Perryami? Czy oni... Mam nadzieję, że nie są w to wmieszani?

— Pewności nie mamy — odparł Ivor Smith. — Wydaje się prawdopodobne, że przynajmniej pani Perry coś wie albo kiedyś wiedziała.

— I naprawdę uważa ją pan za przestępczynię?

— Możliwe, że nią jest. Mogli na przykład mieć na nią jakiegoś haka.

— Jakiego rodzaju haka?

— Cóż... tylko proszę to zatrzymać przy sobie. Wiem, że potrafi pani trzymać język za zębami. Otóż lokalna policja zawsze podejrzewała, iż jej mąż, Amos Perry, może być odpowiedzialny za serię morderstw na dzieciach sprzed wielu lat. Ten człowiek nie jest całkowicie normalny i zdaniem lekarzy mógł odczuwać przymus zabijania dzieci. Nig-

dy nie istniał żaden dowód, ale żona mogła przesadzić z dostarczaniem mu alibi. W takim przypadku banda ludzi pozbawionych skrupułów mogła trzymać ją w szachu. Mogli osadzić ją jako lokatorkę w tamtym domu, bo wiedzieli, że nie piśnie ani słowa. I naprawdę mogli zebrać jakieś dowody przeciwko jej mężowi. Pani poznała to małżeństwo, jakie są pani odczucia?

— Polubiłam ją — przyznała Tuppence. — Nazwałam ją w duchu „dobrą czarownicą”, uprawiającą białą magię, nie czarną.

— A on?

— Przestraszyłam się tego człowieka. Tylko ze dwa razy, nie więcej. Wydał mi się nagle taki duży i przerażający. To trwało zaledwie kilka minut. Sama nie wiedziałam, czego się boję, ale się bałam. I podobnie jak pan, miałam wrażenie, że pod względem umysłowym coś z nim jest nie w porządku.

— Wiele jest takich osób. I często nie stanowią żadnego zagrożenia. Ale oczywiście nigdy nie można być pewnym.

— Co chce pan dziś zrobić na plebani?

— Zadać kilka pytań. Przyjrzeć się paru osobom. Dotrzeć do spraw, dzięki którym zyskamy nieco więcej informacji.

— A major Waters tam będzie? Ten, który pisał do pastora o zaginionym dziecku?

— Zdaje się, że nikt taki nie istnieje. Po wydobyciu trumny zakopanej pod tym starym nagrobkiem — dziecięcej trumny obitej ołowiem — okazało się, że pełno w niej złota i innych cennych przedmiotów, pochodzących z rabunku w pobliżu St Albans. List do pastora miał na celu ustalenie, co się stało z grobem. Miejscowe łobuziaki przez swoje dewastacje wszystko skomplikowały.

3

— Tak mi przykro, moja droga — sumitował się pastor, idąc na spotkanie Tuppence z wyciągniętymi rękami. — Naprawdę, ogromnie zmartwił mnie pani wypadek, tym bardziej, że okazała mi pani tyle uprzejmości i pomocy. Czułem się wprost okropnie, bo przecież to wszystko moja wina... tak, tak, moja wina. Nie powinienem pozwolić, by zapuszczała się pani między groby, no, ale kto by przypuszczał, że jakieś młodociane opryszki...

— Ależ proszę nie robić sobie wyrzutów — wtrąciła się panna Bligh, która wyrosła jak spod ziemi tuż przy jego łokciu. — Przecież pani Beresford wie, że ksiądz nie ma z tym nic wspólnego. Owszem, to nadzwyczaj uprzejmie z jej strony, że przysłała księdzu z pomocą, i na pewno już się dobrze czuje. Mam rację, pani Beresford?

— Oczywiście — odparła Tuppence, nieco zdenerwowana, że panna Bligh z takim

przekonaniem wypowiada się o jej zdrowiu.

— Proszę tu usiąść i wziąć tę poduszkę pod plecy — szarogęsiła się dalej panna Bligh.

— Nie potrzebuję poduszki — zaprotestowała Tuppence, umyślnie siadając na twardej krześle po drugiej stronie kominka, a nie na podsuniętym kurtuazyjnie fotelu.

W tym momencie ktoś załomotał do drzwi.

— Niech ksiądz się nie fatyguje — zawołała panna Bligh, wypadając z pokoju. — Ja otworzę.

W hallu rozległy się przyciszone głosy. Po chwili panna Bligh wpuściła przodem postawną kobietę w luźnej brokatowej sukni oraz bardzo wysokiego, szczupłego mężczyznę o nieco trupim wyglądzie. Tuppence przyglądała mu się ciekawie. Na ramionach miał czarną pelerynę, a twarz robiła wrażenie kogoś nie z tego świata. Zupełnie jak z płócien El Greca — pomyślała.

— Cieszę się, że pana widzę — powitał go pastor. — Państwo pozwolą: sir Filip Starke, państwo Beresford, pan Ivor Smith. Ach! I pani Boscowan... Przepraszam, tyle lat pani nie widziałem...

— Poznałam już pana Beresforda — rzekła przybyła. — Jakże się pani miewa? — zwróciła się do Tuppence. — Miło mi panią poznać. Podobno miała pani wypadek?

— Tak, ale już nic mi nie jest.

Po zakończeniu prezentacji Tuppence usiadła znów na swym krześle. Poczowała przyływ znużenia. Ostatnio zdarzało się to częściej niż przedtem, ale składała to na karb następstw wstrząsu mózgu. Siedząc z przymkniętymi oczami, nie przestała jednak bacznie obserwować całego towarzystwa. Nie słuchała rozmowy, tylko patrzyła. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że kilka osób dramatu — dramatu, w który niechcący sama się wplątała — siedzi tu jak na scenie teatralnej. Sprawy zagęszczały się coraz bardziej, tworząc zwarte jądro. Sir Filip Starke i pani Boscowan to nowe postaci, wprowadzone niespodziewanie na scenę w przebiegu sztuki. Byli tu przez cały czas, kryli się za kulisami, by teraz stanąć w pełnym świetle. Ich obecność miała znaczenie, wiązała się ze sztuką. Dlaczego się tu zjawili? Czy ktoś ich wezwał? Może Ivor Smith? Zażądał, by się stawili, czy tylko ich zaprosił? A może zdziwił się ich wejściem tak samo jak Tuppence? To wszystko zaczęło się w Słonecznych Wzgórzach, ale to nie ów zakład stanowi jądro sprawy. Bo ono znajduje się — i zawsze się znajdowało — tutaj, w Sutton Chancellor. To tu miały miejsce różne wydarzenia, nie te ostatnie, te odległe w czasie. I nie miały nic wspólnego z panią Lancaster... Chociaż pani Lancaster także bezwiednie się w to uwikłała. Gdzie ona teraz jest? Tuppence poczuła na plecach zimny dreszcz. Może staruszka nie żyje?

A skoro tak, to znaczy, że ona, Tuppence, zawiodła. Wyruszyła na swą wyprawę, bo niepokoiła się o panią Lancaster, czuła, że grozi jej niebezpieczeństwo, miała ją odnaleźć i ochronić...

Natomiast jeśli pani Lancaster wciąż żyje, to jeszcze nic straconego.

Sutton Chancellor... Tam właśnie wydarzyło się coś, od czego zaczęło się całe zło. Dotyczy to także Domu Nad Kanałem. Kto wie, czy to nie ów dom stanowił centrum wszystkiego? A może sama wioska? Ludzie tam żyli, przyjeżdżali, wyjeżdżali, uciekali i wracali... Jak sir Filip Starke.

Nie odwracając głowy, skierowała wzrok na wysokiego mężczyznę. Nie wiedziała o nim nic oprócz tego, co pani Copleigh ujawniła w trakcie swego chaotycznego monologu na temat mieszkańców osady. Spokojny człowiek, uczony botanik, przemysłowiec, a przynajmniej właściciel sporego pakietu akcji przemysłowej spółki, zapewniającej wysokie dochody. Miłośnik dzieci... No proszę, znowu dzieci. Dom Nad Kanałem, ptak w kominie, lalka, którą ktoś tam musiał wrzucić. Lalka nafaszerowana diamentami — skutek przestępstwa. Ten dom to jeden z punktów dowodzenia wielkiej organizacji kryminalnej. Mającej na sumieniu znacznie gorsze przestępstwa niż tylko napały rabunkowe. Pani Copleigh powiedziała: „Zawsze sobie wyobrażałam, że ON mógł to zrobić”.

Sir Filip Starke. Morderca? Spod przymkniętych powiek Tuppence przyglądała się mężczyźnie, mając pełną świadomość, że dopasowuje go w myśli do swej koncepcji mordercy dzieci.

Ile też może mieć lat? Co najmniej siedemdziesiąt, może więcej. Sterana życiem, ascetyczna twarz. Tak, zdecydowanie ascetyczna i zdecydowanie udęczone. Wielkie ciemne oczy — oczy El Greca. Wychudzona postać.

Po co tu dziś przyszedł? Oczy Tuppence powędrowały w stronę panny Bligh: wierciła się na krześle, od czasu do czasu wstawiała — a to żeby przysunąć komuś stolik, a to zaproponować poduszkę, a to przełożyć w inne miejsce kasetkę z papierosami czy zapaliki. Po prostu nie mogła usiedzieć na miejscu. Odprężała się tylko wtedy, kiedy patrzyła na Filipa Starke'a.

Psie oddanie — myślała Tuppence. — Musiała kiedyś być w nim po uszy zakochana. I do pewnego stopnia nadal jest. Nie przestaje się kogoś kochać tylko dlatego, że się zestarzał. Tak myślą tylko tacy jak Derek i Debora. Nie potrafią sobie wyobrazić, że ktoś niemłody może być zakochany, ale ja wiem swoje: ona wciąż go kocha — beznadziejnie, z pełnym poświęceniem. Czy ktoś — może pani Copleigh albo pastor — wspomniał, że panna Bligh była w młodości sekretarką Starke'a? I że wciąż dogląda jego spraw?

Cóż, to zupełnie normalne. Sekretarki często kochają się w swoich szefach. No więc przypuśćmy, że Gertruda Bligh kochała Filipa Starke'a. Czy ten fakt może się na coś przydać? Czy panna Bligh zdaje sobie sprawę, że za tą chłodną, ascetyczną osobowością kryje się groźny szaleniec? Zawsze tak lubił dzieci... „Myślę, że za bardzo” — tak właśnie powiedziała pani Copleigh.

Takie sprawy człowieka wyniszczają. Może dlatego wygląda na tak bardzo udęczone-

nego.

Tylko patolog albo psychiatra może wiedzieć coś na temat obłąkanych morderców. Dlaczego zabijają dzieci? Co ich ku temu popycha? Czy potem żałują? Czy czują do siebie wstręt, czy są zrozpaczeni, przerażeni swym czynem?

W tym momencie poczuła na sobie jego wzrok. Oczy ich się spotkały i wydawało się, że coś sobie przekazują.

„Myślisz o mnie — mówiły oczy mężczyzny. — Tak, to prawda. Jestem nawiedzony”.

Właśnie to określenie: „nawiedzony” oddawało najlepiej jego osobowość.

Tuppence odwróciła wzrok. Obejmowała teraz spojrzeniem pastora. Polubiła go — był naprawdę kochany. Czy coś wiedział? Może, ale równie dobrze mógł tkwić w samym środku kłębowiska żmij i niczego nawet nie podejrzewać. Wszystko działo się w jego otoczeniu, lecz bez jego wiedzy, gdyż sam był aż denerwująco naiwny.

Pani Boscowan? Trudno o niej coś powiedzieć. Kobieta w średnim wieku, z charakterem — jak to określił Tommy — ale raczej powściągliwa. Właśnie wstała, jakby czując, że Tuppence wywołuje ją do tablicy.

— Czy mogę pójść na górę i trochę się umyć? — spytała obcesowo.

— Och! Naturalnie — panna Bligh poderwała się z miejsca. — Zaprowadzę panią, pozwoli ksiądz?

— Znam drogę, proszę sobie nie przeszkadzać. Pani Beresford...?

Tuppence drgnęła.

— Pokażę pani, gdzie są różne rzeczy. Proszę za mną.

Tuppence wstała niczym posłuszne dziecko. Sama przed sobą nie przyznałaby się do tego, ale wiedziała, że to rozkaz, a kiedy pani Boscowan rozkazuje, trzeba słuchać. Weszły na schody — Tuppence tuż za rzeźbiarką.

— Gościnnie pokój jest na wprost schodów — powiedziała pani Boscowan. — Zawsze utrzymują go w gotowości. Jest przy nim łazienka.

Otworzyła drzwi, zapaliła światło i poprosiła Tuppence do środka.

— Bardzo się cieszę, że panią tu zastałam — oświadczyła bez ogródek. — Martwiłam się o panią. Mąż pani nie powiedział?

— Coś tam wspomniał.

— Tak, martwiłam się. — Pani Boscowan zamknęła drzwi, jakby to był jej prywatny gabinet. — Czy pani w ogóle czuła, że Sutton Chancellor to niebezpieczne miejsce?

— Dla mnie rzeczywiście okazało się groźne.

— Tak, wiem. Dobrze, że na tym się skończyło, ale w końcu... tak, chyba to rozumiem.

— Pani coś wie, prawda?

— I tak, i nie. Ma się tę intuicję, wrażliwość, rozumie pani. I kiedy coś się sprawdza, człowiek zaczyna się niepokoić. Ta cała kryminalna afera wydaje się tak niezwykła...

Ale chyba nie ma nic wspólnego z... — umilkła. Dopiero po chwili zaczęła mówić dalej: — Wie pani, to jedna z tych spraw, które ciągną się od dawna. Teraz wszystko jest świetnie zorganizowane, jak w dobrej firmie. Nie ma żadnego zagrożenia, przynajmniej nie w związku z kryminalną stroną interesów. Chodzi o co innego. Trzeba wiedzieć, gdzie kryje się niebezpieczeństwo i po prostu się pilnować. Musi pani uważać, pani Beresford, naprawdę bardzo uważać. Pani należy do tych, co wpadają w sam środek różnych spraw, a to nie jest bezpieczne. Nie tutaj.

— Moja stara ciotka, a właściwie ciotka Tommy'ego... Zanim umarła, ktoś jej powiedział, że w domu opieki jest morderca.

Emma Boscowan pokiwała wolno głową.

— Ostatnio umarły tam jeszcze dwie osoby i lekarzowi wydało się to podejrzane.

— I wtedy zaczęła pani działać?

— Nie, wcześniej.

— Jeśli ma pani chwilę czasu, to proszę mi opowiedzieć, co się właściwie wydarzyło w tym domu i dlaczego postanowiła pani podjąć własne śledztwo. Tylko możliwie szybko, bo jeszcze ktoś nam przeszkodzi.

— Dobrze, postaram się streszczać.

I Tuppence zaczęła mówić.

— Tak, rozumiem — powiedziała Emma Boscowan, kiedy opowieść dobiegła końca.

— I nie wie pani, gdzie ta staruszka jest teraz?

— Nie wiem.

— Myśli pani, że nie żyje?

— To możliwe.

— Dlatego że coś wie?

— Tak, ona coś wie. O jakimś morderstwie. Może o zamordowanym dziecku.

— Chyba się pani myli. Uważam, że dziecko rzeczywiście ma z tym coś wspólnego, ale ta pani Lancaster wszystko pomieszała. Pomyliła dziecko z kim innym, z innym rodzajem morderstwa.

— To zupełnie możliwe. Starym ludziom często zdarza się coś poplątać. Ale w tej okolicy jest morderca dzieci, którego nigdy nie złapano, prawda? Przynajmniej tak twierdzi moja gospodyni.

— Rzeczywiście zamordowano tu kilkoro dzieci. Ale zdarzyło się to tak dawno i nie jestem pewna... Pastor także nie będzie wiedział, on przyjechał później. Ale była panna Bligh. Tak, ona była na pewno. Musiała być bardzo młoda.

— Tak sędzę. Czy już wtedy kochała sir Filipa?

— Zauważyła to pani? Tak, chyba już wtedy. Absolutne oddanie, niemal bałwochwalstwo. Nam też się to rzuciło w oczy, kiedy przyjechaliśmy tutaj z Williamem.

— Dlaczego wybrali państwo tę miejscowość? Czy mieszkaliście w Domu Nad Ka-

nałem?

— Nie, tam nie mieszkaliśmy. William lubił go malować, powstało kilka obrazów. Co się stało z tym, który pokazał mi pani mąż?

— Przywiózł go z powrotem do domu. Powtórzył mi, co mówiła pani o łódce. Tej o nazwie „Lilia Wodna”.

— Tak, William jej nie namalował. Kiedy ostatni raz widziałam ów obraz, nie było na nim żadnej łódki. Musiał ją ktoś domalować.

— I nazwać „Lilia Wodna”. A major WATERS, który zresztą nie istnieje, pytał w liście o grób dziecka imieniem LILIAN. Ale w tym grobie nie leży żadne dziecko. Jest tylko trumna wypełniona łupami po wielkim rabunku. Ta domalowana łódka mogła stanowić informację o miejscu ukrycia skarbu. To wszystko wiąże się jakoś ze zbrodnią...

— Tak się wydaje. Ale nigdy nie wiadomo... — Emma Boscowan urwała. — Idzie do nas — szepnęła. — Szybko do łazienki.

— Kto taki?

— Nellie Bligh. Do łazienki! I zamknąć drzwi na zasuwkę.

— To zwykła plotkarka — rzekła lekceważąco Tuppence, znikając w łazience.

— Nie tylko.

Panna Bligh otworzyła drzwi i dziarsko wkroczyła do pokoju.

— Mam nadzieję, że znalazła pani wszystko? Czyste ręczniki, mydło i tak dalej? Pani Copleigh opiekuje się wprawdzie domem pastora, ale po prostu muszę czasem sprawdzić, czy robi to jak należy.

Pani Boscowan zeszła z nią na dół, Tuppence przyłączyła się do nich przed drzwiami salonu. Kiedy weszła, sir Filip Starke wstał, przysunął jej krzesło i sam usiadł obok.

— Czy tak pani wygodnie?

— Owszem, dziękuję.

— Z przykrością dowiedziałem się o pani wypadku. — Miał przyjemny, zaskakująco niski głos, ale jakby odległy i pozbawiony rezonansu, co sprawiało dość upiorne wrażenie. — Jakie to smutne, że dzisiaj tyle tego się zdarza.

Mówiąc, błędził wzrokiem po jej twarzy i Tuppence pomyślała, że poddaje ją takiemu samemu badaniu, jakiemu niedawno ona poddała jego. Zerknęła z ukosa na męża, ale Tommy rozmawiał właśnie z Emmą Boscowan.

— Co panią sprowadziło do Sutton Chancellor, pani Beresford?

— Ach, szukamy z mężem domu na wsi, ale to nic pilnego. Mąż akurat wyjechał na jakiś kongres, więc postanowiłam odbyć rundkę po okolicy, żeby zorientować się w sytuacji, jakie są ceny i tak dalej.

— Podobno oglądała pani dom przy mostku nad kanałem?

— Tak. Chyba widziałam go kiedyś z okna pociągu. Z zewnątrz wygląda bardzo atrakcyjnie.

— Owszem, chociaż nawet z zewnątrz widać, że wymaga znacznych nakładów. Remont dachu i tak dalej. Od tyłu nie jest już taki ładny, prawda?

— Nie. Wydaje mi się, że dość dziwacznie go podzielono.

— Ach, ludzie mają różne pomysły.

— Pan nigdy tam nie mieszkał, prawda?

— O, nie. Mój dom spalił się wiele lat temu, ale część nadal stoi. Pewnie pani pokazywano? Znajduje się na stoku wzgórza, tuż nad plebanią. Przynajmniej w tej części kraju nazywamy to wzgórzem, ale nie ma się czym chełpić. Mój ojciec zbudował go około roku 1890. Dumny dwór, ani słowa, gotycki wystrój w typie Balmoral. Nasi architekci znów uwielbiają ten styl, chociaż czterdzieści lat temu mieli go w pogardzie. Nie brakowało tam niczego, co powinno być w domu tak zwanego dżentelmena. — Mówił to z lekką ironią. — Pokój bilardowy, poranny salonik, buduar, olbrzymia jadalnia, sala balowa, około czternastu sypialń. Zajmowało się tym wszystkim kilkanaście osób służby.

— Coś mi się zdaje, że nie przepadał pan za tym domem.

— Nie, nie lubiłem go. Zresztą i tak ojciec się na mnie zawiódł. Był bardzo rzutkim przemysłowcem i odnosił spore sukcesy. Miał nadzieję, że pójdę w jego ślady, ale tak się nie stało. Traktował mnie bardzo dobrze, wyznaczył mi duży dochód czy pensję, jak to się teraz mówi, i pozwolił mi iść własną drogą.

— Słyszałam, że jest pan botanikiem.

— Ach, to jedna z moich ulubionych rozrywek. Lubię wyszukiwać dziko rosnące kwiaty, szczególnie na Bałkanach. Była pani kiedy na takiej wyprawie? Bałkany są cudowne, wprost wymarzone dla kwiatów.

— To brzmi zachęcająco. Ale z wypraw wracał pan tutaj?

— Od wielu lat tu nie mieszkam. Właściwie odkąd żona umarła, nie wróciłem na stałe.

— Ach... — zmieszana się Tuppence. — Bardzo... bardzo przepraszam.

— Nie szkodzi, minęło dużo czasu. To się stało jeszcze przed wojną, w 1938. Była bardzo piękna...

— Ma pan w domu jakieś jej portrety?

— O nie, dom jest pusty. Wszystkie meble, obrazy i inne rzeczy wywieziono do magazynu. Została tylko jedna sypialnia, biuro i salon, w którym przesiaduje mój agent albo ja sam, jeśli zdarzy mi się przyjechać tu w sprawach posiadłości.

— Nie chciał pan go sprzedać?

— Nie. Mówiło się wprawdzie o zagospodarowaniu tych gruntów, ale sam nie wiem... Nic do nich nie czuję. Ojciec myślał, że zakłada rodzaj feudalnego majątku. Miałem go po nim odziedziczyć, a po mnie moje dzieci, wnuki i tak dalej. — Umilkł na chwilę. — Ale my z Julią nie mieliśmy dzieci.

— Rozumiem — rzekła ze współczuciem Tuppence.

— Dlatego nie mam po co przyjeżdżać. Wszystko, co trzeba, załatwia mi Nellie Bligh.
— Uśmiechnął się do niej z daleka. — Była cudowną sekretarką i nadal dogląda moich spraw.

— Nie korzysta pan z domu, a jednak nie chce go sprzedać? — zdziwiła się Tuppence.

— Mam ważny powód — odrzekł Filip Starkę. Lekki uśmiech złagodził na chwilę surowe rysy. — Może mimo wszystko odziedziczyłem po ojcu pewną żyłkę do interesów. Ziemia, wie pani, niesamowicie idzie ostatnio w górę. To lepsza inwestycja niż jakakolwiek lokata gotówkowa. Liczy się każdy dzień. Kto wie, może kiedyś będziemy tu mieli nowe miasto-sypialnię?

— I wtedy stanie się pan bogaty?

— Na pewno bogatszy niż dzisiaj. Ale i teraz nie jestem biedny.

— Jak pan przeważnie spędza czas?

— Podróżuję, doglądam interesów w Londynie. Mam tam galerię. Nawiasem mówiąc, jestem pośrednikiem w handlu dziełami sztuki. Te wszystkie zajęcia są ciekawe, zabijają czas... aż do chwili, gdy poczuje się na ramieniu dotyk ręki, oznaczający: „W drogę!”

— Nie, nie... proszę przestać. Od takich słów ciarki mi chodzą po plecach.

— Niepotrzebnie. Myślę, pani Beresford, że czeka panią długie i szczęśliwe życie.

— Cóż, właściwie i teraz czuję się szczęśliwa. Przypuszczam, że nie ominie mnie żaden ból i kłopot starości. Ślepotą, głuchotą, artretyzm i inne rozkosze.

— Na pewno, kiedy już panią osiągną, nie będzie się pani tak bardzo nimi przejmować jak teraz. Jeśli to nie bezczelność z mojej strony, pozwolę sobie zauważyć, że wyglądają państwo na idealnie szczęśliwą parę.

— Och, bo tak jest — przyznała Tuppence. — I naprawdę uważam, że w życiu nie ma to jak szczęśliwe małżeństwo.

Chwilę później pożałowała tych słów. Patrząc na człowieka, który cierpiał od wielu lat z powodu straty ukochanej żony, miała chęć ugryźć się w język.

Rozdział XVI

Następnego dnia rano

1

Był ranek, następnego dnia po przyjęciu.

Ivor Smith i Tommy przerwali rozmowę, popatrzyli na siebie, a potem na Tuppence, która siedziała, zapatrzona w palenisko. Najwyraźniej błędziła myślą gdzieś daleko.

— No więc na czym stoimy? — spytał Tommy.

Tuppence z ciężkim westchnieniem wróciła do rzeczywistości i spojrzała na obu panów.

— Dla mnie nadal nic nie jest jasne. Na przykład wczorajsze zebranie... Po co je urządzono? Co to wszystko znaczy? — Zerknęła na Smitha. — Może dla was coś jednak znaczy. Wiecie, gdzie jesteśmy?

— Nie posuwałbym się aż tak daleko — odparł Ivor Smith. — Przecież nie chodzi nam o to samo, prawda?

— Niezupełnie — przyznała Tuppence.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią pytająco.

— No dobrze — powiedziała. — Mam obsesję: chcę znaleźć panią Lancaster. Chcę się upewnić, że nic jej nie grozi.

— Ale najpierw chcesz odszukać panią Johnson — zauważył Tommy. — Bez niej nie dotrzesz do pani Lancaster.

— Pani Johnson... No tak. Zastanawiam się, czy... Ale nie sądzę, by coś z tego was interesowało.

— Ależ pani Tommy! Interesuje nas, i to bardzo.

— A co z panem Ecclesem?

— Myślę — rzekł Ivor Smith z uśmiechem — że ręka sprawiedliwości może nieba-

wem go dosięgnąć. Ale nie dałbym za to głowy. Ten człowiek potrafi niemal genialnie zacierać za sobą ślady. Do tego stopnia, że można mieć wątpliwości, czy w ogóle istniały jakieś ślady. — I mruknął do siebie pod nosem: — Wielki organizator. I wielki taktyk.

— Wczoraj wieczorem... — zaczęła Tuppence i urwała. — Czy mogę zadawać pytania?

— Możesz, czemu nie? — odparł Tommy. — Ale nie spodziewaj się od starego Ivora satysfakcjonujących odpowiedzi.

— Co ma do tego wszystkiego sir Filip Starke? Nie wygląda mi na kryminalistę... Chyba że takiego, który...

Umilkła, nie chcąc wyjawiać podejrzeń pani Copleigh co do mordercy dzieci.

— Sir Filip Starke to bardzo cenne źródło informacji — stwierdził Ivor Smith. — Jest największym właścicielem ziemskim w tej okolicy, a także w innych regionach Anglii.

— W Cumberland?

Ivor Smith spojrzał na nią podejrzliwie.

— Cumberland? Czemu pani to mówi? Co pani wie o Cumberland, pani Tommy?

— Nic. Tak jakoś przyszło mi to do głowy. — Spłoszyła się nieco. — I róża w białoczerwone prążki na ścianie domu... Taka staroświecka róża. — Pokręciła głową. — Czy Dom Nad Kanałem należy do Filipa Starke'a?

— Ziemia do niego należy. Jest właścicielem większości okolicznych gruntów.

— Tak, powiedział mi to wczoraj.

— Dowiedzieliśmy się od niego sporo na temat dzierżaw i wynajmów, sprytnie zamaskowanych przez kruczki prawne.

— A te agencje, które odwiedziłam w rynku? Czy jest w nich coś podejrzanego, czy też to moje wymysły?

— To nie są żadne wymysły. Zamierzamy jeszcze dziś złożyć im wizytę i zadać kilka kłopotliwych pytań.

— Świetnie!

— Całkiem nieźle nam idzie. Wyjaśniliśmy już sprawę wielkiego napadu na pocztę w roku 1965 i kradzieży przy Albury Cross, i jeszcze napadu na pociąg pocztowy z Irlandii. Odnaleźliśmy część łupów. Sprytnie schowki porobili w tych domach. W jednym zainstalowano nową łazienkę, w drugim urządzono mieszkanie dla służby, przy czym kilka pokoi okazało się mniejszych niż powinny być, bo miały zamurowane wnęki. O tak, znaleźliśmy naprawdę sporo.

— A co z ludźmi? To znaczy, z ludźmi, którzy to wymyślili i kierowali akcjami? Poza oczywiście panem Ecclesem. Przecież musieli być także inni wtajemniczeni?

— A tak. Znalazło się kilka osób. Jeden pan — nazywano go Hamish Szczęściorz — prowadził nocny klub tuż pod nosem M 1. Śliski jak węgorz. I kobieta zwana Zabójczą Kate... ale to już dawno temu, jedna z bardziej interesujących zbrodniarek. Ślicz-

na dziewczyna, ale o nieco rozchwianej równowadze psychicznej. Zrezygnowali z niej zresztą, mogła być dla nich niebezpieczna. Im bowiem chodziło wyłącznie o pieniądze, nie chcieli zabijać.

— I Dom Nad Kanałem był jedną z ich kryjówek?

— Przez pewien czas. Nazywano go wtedy Nad Łąką, zresztą często zmieniał nazwy.

— Chyba tylko po to, by utrudnić rozpoznanie. Nad Łąką... Zastanawiam się, czy ma to związek z pewną szczególną sprawą.

— Z czym mianowicie?

— Nie, to raczej niemożliwe. Po prostu wypuściłam kolejnego zająca, jeśli pan wie, co mam na myśli. Cały kłopot w tym, że sama nie wiem, o co tak naprawdę mi chodzi. Albo ten obraz. Namalował go Boscowan, a potem ktoś dopacykował łódkę. Łódkę o nazwie...

— „Lilia Tygrysia”.

— Nie, „Wodna”. Wdowa twierdzi stanowczo, że pierwotnie jej nie było.

— A może to wiedzieć?

— Chyba tak. Jeśli się jest żoną malarza, i do tego artystką, można odróżnić inny styl. Ona jest dość przerażająca.

— Kto, pani Boscowan?

— Tak. Taka... władcza. Przytłaczająca.

— Może i tak.

— Ona wie różne rzeczy, ale nie jestem pewna, czy dlatego, że je zna. Rozumiecie, o co mi chodzi?

— Ja nie rozumiem — powiedział zdecydowanie Tommy.

— No... są różne sposoby poznawania. Jeden zwykły, a drugi... jakby przez wyczuwanie.

— To raczej twój sposób, moja droga.

— Mówcie sobie, co chcecie! — zdenerwowała się Tuppence, która wyraźnie podążała własną drogą myślową. — Dla mnie cała ta sprawa kręci się wokół Sutton Chancellor i Domu Nad Łąką czy Domu Nad Kanałem, czy jak tam go nazwiecie. Niektóre sprawy mogą sięgać daleko w przeszłość.

— Masz na myśli panią Copleigh?

— Generalnie uważam, że pani Copleigh powiedziała wiele rzeczy, które tylko wszystko komplikują. Poza tym chyba mieszają się jej daty i czasy.

— Na wsi to normalne.

— Wiem, w końcu sama wychowałam się na wiejskiej plebani. Ludziom na wsi czas płynie według wydarzeń, a nie lat. Nie mówią: „To się zdarzyło w roku 1930”, tylko: „To było wtedy, kiedy spalił się stary młyn” albo: „...kiedy piorun trafił w ten wielki dąb i zabił farmera Jamesa”, albo: „...kiedy wybuchła epidemia polio”. I dlatego nie zapamiętu-

ją wydarzeń we właściwej kolejności. To bardzo trudne... Dysponuje się tylko jakimiś strzępkami, jeśli wiecie, o co mi chodzi. Oczywiście problem polega na tym — dodała z miną osoby, która właśnie dokonała epokowego odkrycia — że ja sama też się zestarzałam.

— Pani jest wiecznie młoda — zaprotestował Ivor Smith z galanterią.

— Proszę tak głupio nie mówić. Jestem stara, bo moja pamięć działa w ten sam sposób. Zaczynam sięgać po prymitywne środki, żeby ją wesprzeć. — Wstała i obesła pokój. — Co za irytujący hotel! — Weszła do przyległej sypialni, ale zaraz wróciła, kręcąc z naganą głową. — Nie ma Biblii — stwierdziła.

— Biblii? — zdziwił się Ivor Smith.

— Właśnie. Wie pan, w staroświeckich hotelach zawsze kładli przy łóżku Biblię Gideona. Prawdopodobnie dlatego, żeby człowiek mógł być zbawiony o każdej porze dnia i nocy. A tutaj nie ma.

— Potrzebna pani Biblia?

— Tak, raczej tak. Wychowano mnie właściwie i jak przystało na córkę pastora, znam Biblię dość dobrze. Ale teraz, wie pan, często zapominam, zwłaszcza że w kościołach nie czyta się już lekcji po staremu, tylko według jakiejś nowej wersji, gdzie są zupełnie inne słowa. Oczywiście przekład na pewno jest poprawny, ale brzmi to inaczej. Kiedy wy pójdziecie do agencji, ja przejadę się do Sutton Chancellor.

— Po co? Zabraniam ci — rzekł ostro Tommy.

— Bzdura! Zresztą nie wybieram się na przeszpiegi. Chcę tylko zapytać pastora... On chyba ma Biblię, co? I to odpowiednią, autoryzowaną.

— Po co ci autoryzowana Biblia?

— Po prostu muszę odświeżyć sobie pamięć. Chodzi o słowa wyryte na nagrobku tego dziecka. Bardzo mnie interesują.

— Dobrze, dobrze, ale ja ci nie ufam. Ciebie wystarczy na chwilę spuścić z oka i zaraz ładujesz się w jakieś kłopoty.

— Daję ci słowo, że nie będę się więcej włączył między grobami. Kościół w słoneczny poranek i gabinet pastora — czyż mogą być bezpieczniejsze miejsca?

Tommy nie wyglądał na przekonanego, ale się poddał.

2

Tuppence wysiadła przy bramie cmentarza i zanim weszła na teren kościelny, rozejrzała się uważnie. Czuła naturalną nieufność osoby, która doznała fizycznej krzywdy w określonym miejscu. Tym razem jednak wydawało się, że za nagrobkami nie czyha żaden potencjalny morderca.

W kościele jakaś starsza kobieta polerowała na kolanach mosiężne przedmioty. Tuppence podeszła na palcach do pulpitu i ostrożnie obejrzała leżącą tam księgę. Kobieta podniosła głowę i spojrzała na nią podejrzliwie.

— Nie chcę niczego ukraść — zapewniła ją Tuppence, zamykając starannie Biblię, po czym wyszła na palcach z kościoła.

Miała wielką ochotę zbadać miejsce, gdzie ostatnio prowadzono wykopki, ale na to sobie nie pozwoliła.

— „Ktokolwiek zgorzzy...” — mamrotała do siebie. — Może o to właśnie chodzi, ale w takim razie to musi być ktoś...

Krótką drogę na plebanię pokonała samochodem. Wysiadła i poszła ścieżką do frontowych drzwi. Nacisnęła dzwonek, ale nie usłyszała żadnego dźwięku. Pewnie się zespuł, domyśliła się, znając zwyczaje dzwonek na plebaniach. Pchnęła drzwi i znalazła się w hallu.

Na stoliku, zajmując znaczną część blatu, leżała duża koperta z zagranicznym znacznikiem. Był na niej nadruk Towarzystwa Misyjnego w Afryce.

Cieszę się, że nie jestem misjonarką, pomyślała Tuppence.

Za tą enigmatyczną myślą kryło się coś jeszcze, coś związanego z jakimś innym stolikiem w innym hallu, coś, co powinna pamiętać. Kwiaty? Liście? Jakiś list? Paczka?

W tej chwili z drzwi po lewej stronie wyszedł pastor.

— Oo... Pani do mnie? Ja... Ach, przecież to pani Beresford, nieprawdaż?

— To ja. Przyjechałam, żeby zapytać, czy przypadkiem nie ma ksiądz Biblii?

— Biblii? — powtórzył duchowny, jakby nagle nabrał wątpliwości. — Biblii...

— Wydało mi się to dość prawdopodobne.

— Oczywiście, oczywiście. W rzeczy samej posiadam ich kilka. Na przykład grecką, ale chyba nie o nią pani chodzi?

— Nie. Potrzebna mi wersja autoryzowana.

— Ach... Pewnie jest tu kilka egzemplarzy... tak, kilka. Bo niestety nie używamy teraz tej wersji. Trzeba działać w zgodzie z poglądami biskupa, a nasz biskup kładzie duży nacisk na nowoczesność. Chodzi o młodzież i takie tam. Szkoda, myślę, że szkoda. Mam tu tyle książek, że trzeba było niektóre postawić w tylnym rzędzie, ale chyba coś się znajdzie. Tak przypuszczam. A jeśli nie, zapytamy pannę Bligh. Kręci się gdzieś w pobliżu, wyszukuje wazonny dla dzieci, żeby mogły ustawić bukiety z polnych kwiatów w dziecięcym kąciku w kościele.

I zostawiwszy Tuppence w hallu, wrócił do pokoju, z którego wyszedł.

Stała tam nadal ze zmarszczonymi brwiami i myślała, kiedy w drzwiach po drugiej stronie stanęła panna Bligh z bardzo ciężkim metalowym wazonem.

W głowie Tuppence coś nagle zaskoczyło.

— No jasne — powiedziała do siebie. — No jasne.

— Ach... Czy mogę w czymś po... Ach, to pani Beresford!

— Tak — rzekła sucho Tuppence i po chwili dodała. — A to pani Johnson, prawda?

Wazon z hukiem spadł na podłogę. Tuppence pochyliła się, by go podnieść. Przez chwilę ważyła go w rękach.

— Co za poręczna broń! — zauważyła, stawiając go z powrotem. — W sam raz, żeby walnąć kogoś od tyłu. To tym mnie pani załatwiła, mam rację, pani Johnson?

— Ja... Ja... Co pani mówi? Ja nigdy...

Ale Tuppence nie musiała znosić tego dłużej, bo już widziała efekt swoich słów. Przy drugiej wzmiance o pani Johnson panna Bligh poddała się całkowicie. Trzęsła się ze strachu, kompletnie porażona.

— Któregoś dnia widziałam na pani stoliku list zaadresowany do niejkiej pani Yorke w Cumberland. To tam ją pani wywiozła ze Słonecznych Wzgórz? I tam przebywa teraz, tak? Pani Yorke czy Lancaster... Bo używa pani tych nazwisk na zmianę. York i Lancaster jak biało-czerwona prążkowana róża w ogrodzie Perrych.

Odwróciła się na pięcie i wyszła. Panna Bligh patrzyła za nią z otwartymi ustami. Tuppence pobiegła do furtki, wskoczyła do samochodu i natychmiast odjechała. Przedtem obejrzała się na drzwi, ale nikt się w nich nie pokazał. Minęła kościół i skierowała się ku Market Basing, ale nagle zmieniła zdanie. Zawróciła, podjechała jeszcze kawałek tą samą drogą, a potem skręciła w lewo, w stronę mostku nad kanałem. Tam zostawiła samochód i zerknęła przez bramę, żeby sprawdzić, czy ktoś z Perrych jest w ogrodzie. Nie zauważywszy ani śladu żadnego z nich, ruszyła ścieżką do tylnych drzwi. Były zamknięte, podobnie jak okna.

Tuppence się zaniepokoiła. Może Alice Perry pojechała na zakupy do Market Basing? A to właśnie z nią przede wszystkim chciała się zobaczyć. Zapukała do drzwi najpierw delikatnie, potem mocno. Nikt nie odpowiadał. Poruszyła klamkę, ale drzwi nie ustępowały. Stała tak przez chwilę, nie wiedząc, co robić.

Bardzo pilnie musiała zadać Alice Perry kilka pytań. Może jest w Sutton Chancellor? Trzeba więc wracać. Przy tym domu nigdy nie ma żywego ducha, nie przejeżdżają tędy żadne samochody i nie ma kogo zapytać, gdzie też podziewają się dziś państwo Perry.

Rozdział XVII

Pani Lancaster

Tuppence stała tam dalej ze zmarszczonymi brwiami, kiedy nagle drzwi się otworzyły. Cofnęła się o krok i gwałtownie wciągnęła powietrze. Kobieta, którą miała przed sobą, była ostatnią osobą na świecie, jakiej mogłaby się spodziewać. Na progu domu — ubrana dokładnie tak samo jak w Słonecznych Wzgórzach, z takim samym życzliwym uśmiechem — stała pani Lancaster we własnej osobie.

— Ach! — wyrwało się Tuppence.

— Dzień dobry! Szuka pani Alice Perry? Dziś jest dzień targowy, rozumie pani. Jak dobrze się składa, że mogłam panią wpuścić! Przez dłuższy czas nie mogłam znaleźć klucza. Ale i tak gdzieś musi być zapasowy, prawda? Proszę, bardzo proszę wejść. Może napije się pani herbaty czy czegoś?

Tuppence jak we śnie przekroczyła próg. Pani Lancaster, nadal z miną uprzejmej gospodyni, poprowadziła ją do salonu.

— Proszę usiąść. Niestety, nie wiem, gdzie trzymają filiżanki i inne rzeczy. Jestem tu zaledwie od dwóch dni. Ale zaraz, zaraz... Przecież myśmy się już kiedyś spotkały.

— Owszem. W Słonecznych Wzgórzach.

— Słoneczne Wzgórze... Słoneczne Wzgórze... Coś mi to przypomina. Ach, oczywiście! Ta kochana panna Packard. Tak, tak, to miłe miejsce.

— Opuściła je pani w pośpiechu, prawda?

— Niektórzy ludzie są tacy energiczni! Ciągłe cię popędzają, nie dają czasu, by wszystko odpowiednio zorganizować, spakować rzeczy... Oczywiście nie ze złej woli, na pewno nie. Bardzo lubię drogą Nellie Bligh, ale to prawdziwa herod-baba. Czasem myślę — pani Lancaster pochyliła się do Tuppence konfidencjonalnie — czasem myślę, że jest lekko... no wie pani. — Popukała się znacząco w czoło. — Oczywiście, to się zdarza, szczególnie starym pannom. Niezamężnym kobietom, które wyżywają się w pracy, ale miewają też pewne odchylenia. Cierpią na tym pastorzy, bo tym kobietom się zda-

je, że chcą się z nimi żenić, a tymczasem pastorom nawet przez myśl to nie przejdzie. No tak, biedna Nellie. Na swój sposób taka rozsądna, tak wspaniale pracuje dla parafii. I zawsze była znakomitą sekretarką. Ale i ona miewa dziwne pomysły, jak ten, żeby zabrać mnie w ciągu paru minut ze Słonecznych Wzgórz, potem wywieźć do tego ponurego domu w Cumberland, a potem tak samo nagle tutaj...

— Pani tu mieszka?

— Tak jakby. To bardzo szczególny układ. Jestem tu dopiero od dwóch dni.

— A przedtem w Różanym Dworku w Cumberland?

— Tak, chyba tak się nazywał. Niezbyt to przyjemne miejsce po Słonecznych Wzgórzach, prawda? Nigdy się tam na dobre nie zadomowiłam, rozumie pani. I dom wcale nie był tak dobrze prowadzony. Niedobra obsługa i wprost koszmarna kawa. Mimo to przyzwyczaiałam się i nawet poznałam parę interesujących osób. Jedna z nich знаła moją ciotkę, dawno temu w Indiach. To tak miło znaleźć jakieś powiązanie...

— Z pewnością.

Pani Lancaster kontynuowała swą beztroską paplaninę:

— A pani... Zaraz, zaraz. Pani przyjechała do Słonecznych Wzgórz, ale nie na stałe, tylko chyba kogoś odwiedzić?

— Ciotkę męża, pannę Fanshawe.

— No tak. Oczywiście, teraz sobie przypominam. I coś tam było z jakimś dzieckiem za kominkiem, prawda?

— Nie. To nie moje dziecko.

— Ale przecież dlatego pani tu przyjechała? Mieli jakieś kłopoty z kominem, dostał się tam ptak. To miejsce wymaga remontu. Wcale mi się tu nie podoba i zamierzam powiedzieć o tym Nellie, gdy tylko się z nią zobaczę.

— Mieszka pani z państwem Perry?

— Trochę tak, a trochę nie. Chyba mogę powierzyć pani sekret?

— O tak — zapewniła ją Tuppence — może mi pani zaufać.

— Bo... Tak naprawdę to mnie tu nie ma. Mam na myśli tę część domu. To jest część Perrych. — Pochyliła się do przodu. — Ale istnieje jeszcze jedna. Trzeba pójść na górę... Proszę za mną, pokażę pani.

Tuppence wstała. Czuła się jak w jakimś szalonym śnie.

— Tylko zamknę najpierw drzwi — powiedziała pani Lancaster.

Wąskimi schodami poprowadziła Tuppence na piętro, a potem przez sypialnię (prawdopodobnie Perrych) do przyległego pokoju. Stała tam tylko umywalnia i duża szafa z klonowego drewna. Pani Lancaster podeszła do szafy, pogrzebała chwilę z tyłu, a potem bez trudu odsunęła ją od ściany — prawdopodobnie na rolkach. Za szafą, ku swemu zdziwieniu, Tuppence zobaczyła kominek, a nad nim lustro z półeczką, na której stały porcelanowe figurki ptaków.

Jeszcze bardziej się zdziwiła, kiedy pani Lancaster chwyciła ptaka ze środka półki i mocno go szarpnęła. Musiał być przyklejony do podłoża, podobnie jak pozostałe, o czym Tuppence się przekonała, dotykając ich ukradkiem. Ale w wyniku poczynañ pani Lancaster rozległ się cichy trzask i cały kominek wysunął się do przodu.

— Sprytne, co? — zaśmiała się starsza pani. — Zrobili to dawno temu podczas przebudowy domu. Nazywano ten pokój „księżą dziurą”, ale tak naprawdę nie miał nic wspólnego z księżmi*. Ja nigdy tak nie myślałam. Proszę przejść, tam właśnie teraz mieszkam.

Po kolejnym ruchu odsłoniło się wejście. Chwilę później znalazły się w przestronnym, atrakcyjnym pokoju z oknami wychodzącymi na kanał i wzgórze.

— Śliczny pokój, prawda? Taki piękny widok! Zawsze mi się podobał. Bo jako mała dziewczynka mieszkałam tu przez jakiś czas.

— Ach, tak?

— Nie był to szczęśliwy dom — ciągnęła pani Lancaster. — Zawsze to powtarzano... Ale wie pani, zasunę z powrotem tę ścianę. Ostrożności nigdy za wiele, prawda?

Pchnęła ściankę na miejsce. Znow rozległ się trzask — znak, że mechanizm zadziałał.

— Myślę, że to przejście powstało wtedy, kiedy dom przeznaczono na kryjówkę — zauważyła Tuppence.

— Ach, niejedno tu zmienili. Proszę usiąść, woli pani wyższe krzesło czy niższe? Ja osobiście lubię wysokie, ze względu na reumatyzm. Pewnie pani sądzi, że gdzieś tu mogą być zwłoki dziecka, ale to przecież absurd, nieprawdaż?

— Możliwe.

— Policjanci i złodzieje... — kontynuowała pani Lancaster z pobłażliwą miną. — Człowiek jest w młodości taki głupi! Wszystkie te gangi, wielkie skoki, to tak działa na wyobraźnię! A być dziewczyną gangstera? Wydaje ci się, że to najcudowniejsza rzecz na świecie. Też tak kiedyś myślałam, ale wierz mi — poklepała Tuppence po kolanie — to nieprawda. Same kradzieże i ucieczki nie dają prawdziwego dreszczyku, choć oczywiście wymagają dobrej organizacji.

— Ma pani na myśli panią Johnson albo pannę Bligh, czy jak tam ją pani nazywa...

— Cóż, oczywiście dla mnie zawsze to Nellie Bligh. Ale z pewnych powodów... dla ułatwienia, jak ona powiada, czasem przedstawia się jako pani Johnson. Nigdy nie była zamężna, to stuprocentowa stara panna.

Z dołu rozległo się pukanie.

— Ojej! — spłoszyła się pani Lancaster. — To pewnie ci Perry. Nie miałam pojęcia, że tak szybko wróca.

*Po zerwaniu Henryka VIII z Kościołem katolickim w wielu domach angielskich ukrywano księży, którzy odmówili przyjęcia nowej religii

Pukanie się powtórzyło.

— Może powinnyśmy ich wpuścić — zasugerowała Tuppence.

— Nie, kochana, tego nie zrobimy. Nie znoszę, jak ktoś mi ciągle przeszkadza. Tak miło nam się rozmawia, czyż nie? Chyba tu zostaniemy... Och, teraz wołają pod oknem. Wyjrzyj i powiedz mi, kto to.

Tuppence podeszła do okna.

— To pan Perry.

— Julio! Julio! — krzyczał z dołu tamten.

— Co za bezczelność! Tacy jak Amos Perry nie mają prawa mówić mi po imieniu. Też coś! Ale nie martw się, kochanie, jesteśmy tu całkiem bezpieczne i możemy sobie pogadać. Opowiem ci o sobie. Miałam naprawdę ciekawe życie. Pełne przygód... czasem myślę, że powinienam je opisać. Bo widzisz, ja się wplątałam w... no cóż, to był zwykły gang, żadne inne słowo tu nie pasuje. Niektórzy byli bardzo nieprzyjemni, choć zdarzali się i sympatyczni. Mieli klasę.

— I panna Bligh...?

— Nie, nie, Nellie nigdy nie popełniłaby przestępstwa. Skądże znowu, jest taka religijna i w ogóle. Ale są różne sposoby wyznawania religii, pewnie o nich słyszałaś?

— Owszem, jest mnóstwo sekt.

— Tak, tak, dla zwykłych ludzi. Ale są jeszcze inni, wybrani. Do zadań specjalnych. Legiony Wybrańców, rozumiesz, moja droga?

— Chyba nie. Nie sądzi pani, że powinnyśmy wpuścić Perrych do ich własnego domu? Pewnie się martwią...

— Nie, nie wpuścimy ich. Przynajmniej dopóki... dopóki ci wszystkiego nie opowiem. Nie bój się, kochanie. To takie naturalne, nieszkodliwe... Nic nie boli. Zupełnie jakbyś zasnęła, nic więcej.

Tuppence patrzyła na nią rozszerzonymi oczami. Nagle zerwała się z miejsca i ruszyła do ukrytych drzwi.

— Nie wydostaniesz się tędy — powiedziała pani Lancaster. — Nie wiesz, gdzie jest uchwyt, wcale nie tam, gdzie myślisz. To wiem tylko ja. Znam tu wszystkie sekrety. Mieszkałam tu z przestępcami jako dziewczynka, póki od nich nie uciekłam i nie zostałam uratowana. W specjalny sposób. Bo widzisz, pozwolono mi odkupić mój grzech... to dziecko, rozumiesz. Ja je zabiłam. Byłam tancerką, nie chciałam dziecka. Tam, na ścianie wisi mój portret — w stroju baletnicy.

Tuppence spojrzała w ślad za jej wyciągniętym palcem. Na ścianie wisiał duży, olejny portret dziewczyny w kostiumie z białych, aksamitnych płatków. Podpisany był „Lilia Wodna”.

— To jedna z moich najlepszych ról, wszyscy tak mówili.

Tuppence wolno wróciła na miejsce. Kiedy patrzyła na panią Lancaster, odezwały się

jej w głowie słowa usłyszane w Słonecznych Wzgórzach: „Czy to biedne dziecko było pani?”. Wtedy się przestraszyła. Teraz także się bała, chociaż sama nie wiedziała, czego. Taka dobrotliwa twarz, taki życzliwy uśmiech...

— Musiałam spełniać rozkazy. Agenci zagłady mnie wybrali, a ja się zgodziłam. Odchodziły wolne od grzechu, wiesz? Mam na myśli dzieci. Były za małe, by grzeszyć, więc szły prosto do Chwały, takie niewinne, nieznające zła. Ja je tam wysyłałam, taki dostałam rozkaz. Wiesz, jaki to zaszczyt, zostać wybraną? Zawsze kochałam dzieci, a własnych nie miałam. Wiem, to wydaje się okrutne, ale w ten sposób odkupiłam swój czyn. Wiesz może, co zrobiłam?

— Nie.

— Ach, a wyglądasz, jakbyś tyle wiedziała! Myślałam, że to także... Był pewien lekarz i ja do niego poszłam. Miałam zaledwie siedemnaście lat i bardzo się bałam. Powiedział, że nic się nie stanie, jeśli usunie mi dziecko i że nikt się nigdy nie dowie. Ale rozumiesz, to nie było w porządku. Zaczęłam mieć złe sny. Śniło mi się to dziecko. Pytało, czemu nie miało życia. Prosiło o towarzyszkę, bo to była dziewczynka. Tak, jestem przekonana, że dziewczynka. Przychodziła i żądała innych dzieci. I wtedy otrzymałam rozkaz. Sama nie mogłam mieć dzieci. Wprawdzie wyszłam za mąż i mój mąż ogromnie ich pragnął, ale niestety się nie zjawili, bo byłam przeklęta. Rozumiesz to moja droga, prawda? Ale istniał sposób, sposób, by grzech odpokutować. Ponieważ popełniłam morderstwo — bo to przecież było morderstwo, prawda? — mogłam je odkupić tylko innym morderstwem, a właściwie nie tyle morderstwem, co składaniem ofiar. Chyba widzisz różnicę? Dzieci odchodziły, by dotrzymać towarzystwa mojej córeczce. Były w różnym wieku, ale małe. Padał rozkaz, a wtedy... — pochyliła się i dotknęła Tuppen-ce — wtedy następowała chwila wielkiego szczęścia. Bo to prawdziwe szczęście, że się je uwalniało i że nigdy nie poznały grzechu. Nie mogłam oczywiście nikomu o tym powiedzieć, tego jednego byłam pewna. Tylko że niektórzy zaczęli coś podejrzewać, a wtedy... cóż, musieli także umrzeć, żebym mogła czuć się bezpiecznie. Dlatego nigdy mi nic nie groziło, rozumiesz?

— Nie... niezupełnie.

— Ależ rozumiesz. Przecież dlatego tu przyjechałaś, prawda? Ty wiesz. Wiedziałaś już wtedy, kiedy zapytałam cię w Słonecznych Wzgórzach. Poznałam to po twojej twarzy. I pomyślałam, że jeszcze przyjdiesz, bo pewnie jesteś matką jednego z tych zabitych dzieci, a wtedy napijemy się mleka. Bo zwykle to było mleko, czasem kakao. Dawałam je każdemu, kto o mnie wiedział.

Przeszła powoli przez pokój i otworzyła szafkę w rogu.

— Pani Moody także wiedziała? — spytała Tuppen-ce.

— Ach, więc i o niej wiesz! Ale ona nie była matką, tylko garderobianą w teatrze. Rozpoznała mnie, dlatego musiała odejść. — Odwróciła się nagle. Miała w ręku szklan-

kę mleka i uśmiechała się zniewalająco.

— Wypij to. Po prostu wypij.

Tuppence siedziała cicho przez chwilę, a potem nagle skoczyła na równe nogi i rzuciła się do okna. Wybiła szybę krzesłem i wychyliwszy głowę na zewnątrz, krzyknęła:

— Ratunku! Na pomoc!

Pani Lancaster wybuchnęła śmiechem. Odstawiła szklankę na stolik, oparła się wygodnie i nie przestając chichotać, powiedziała:

— Ale ty jesteś głupia. Kto tu przyjdzie? Kto tu może się zjawić? Musieliby wyłamać drzwi na dole, a potem sforsować tę ścianę, a do tego czasu... Cóż, są inne sposoby. To wcale nie musi być mleko, chociaż z mlekiem jest łatwiej. Mleko, kakao, herbata... Pani Moody dałam kakao, ona je uwielbiała.

— Z czym było to kakao? Z morfiną? Jak ją pani zdobyła?

— Ach, to proste. Mężczyzna, z którym kiedyś mieszkałam, miał raka. Lekarz dał mi dla niego zapas morfiny i innych leków. Później powiedziałam, że wszystko wyrzuciłam, ale to nieprawda, zatrzymałam je, pomyślałam, że kiedyś mogą się przydać. I rzeczywiście. Nadal mam zapasik, sama nigdy nic nie biorę, bo nie wierzę, żeby pomogło. — Pchnęła szklankę z mlekiem w stronę Tuppence. — Pij, tak jest łatwiej. Są wprawdzie inne sposoby, ale nie pamiętam, gdzie to położyłam. — Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. — Gdzie to może być? Gdzie ja to wsadziłam? Na stare lata wszystko zapominam...

Tuppence wrzasnęła znowu, ale na brzegu kanału nie było nikogo. Tymczasem pani Lancaster wciąż chodziła po pokoju, mamrocząc do siebie:

— Myślałam, że... Byłam pewna... Ach, oczywiście! W torbie z włóczką!

Tuppence odwróciła się od okna. Prześladowczyni zbliżała się do niej krok po kroku.

— Ale ty jesteś głupia! Naprawdę wolisz tak?

Błyskawicznym ruchem złapała Tuppence za ramię i wyciągnęła zza pleców rękę z długim, cienkim sztyletem. Tuppence się szarpnęła. Mówiła sobie w duchu: Z łatwością dam jej radę. Przecież to staruszka. Jest słaba, nie może...

Nagle ogarnęła ją zimna fala strachu. Pomyślała: Ale ja też jestem stara! Nie mam tyle siły, jak mi się wydaje. Te jej palce, ten chwyt... Zawsze słyszałam, że szaleńcy mają nadludzką siłę.

Błyszczące ostrze było tuż tuż. Tuppence krzyczała, co sił w płucach. Na dole także rozległy się krzyki i odgłosy forsowania drzwi lub okien. Nie uda im się tu dostać — myślała z rozpaczą. — Nie wiedzą o ukrytym mechanizmie.

Walczyła zajadle i wciąż trzymała panią Lancaster w bezpiecznej odległości. Ale tamta była dużą i silną kobietą. Nadal się uśmiechała, ale już nie tak dobrotliwie, tylko jak ktoś, kto się świetnie bawi.

— Zabójcza Kate — powiedziała Tuppence.

— Znasz moją ksywkę? Owszem, „zabójcza”, ale teraz zabijam dla idei. Jestem ręką Pana. To z Jego woli muszę cię zabić, więc wszystko jest w porządku, chyba sama to widzisz?

Przyciskała teraz Tuppence do boku dużego fotela, tak że ta nie miała gdzie się cofnąć. Ostra stal sztyletu była coraz bliżej.

Nie wolno mi wpadać w panikę — myślała gorączkowo Tuppence. — Nie wolno, nie wolno... — Zaraz jednak zjawiała się druga myśl: — Ale co mogę zrobić? Walka była bezcelowa.

Nagle przyszedł strach. To samo ukłucie strachu, które w Słonecznych Wzgórzach odczuła jako pierwszy sygnał...

Czy to biedne dziecko było pani?

To było ostrzeżenie, ale ona błędnie je zrozumiała.

Nie odrywała oczu od zbliżającego się ostrza, ale to wcale nie mordercza stal wprawiała ją w stan paraliżu. Znacznie bardziej przerażająca była uśmiechnięta twarz przesładowczym — zadowolona, pełna satysfakcji twarz kobiety, która ze spokojem zmierza do upragnionego celu.

Wcale nie wygląda na wariatkę — myślała Tuppence. — To właśnie jest takie wstrętne... Oczywiście, we własnym przekonaniu jest zupełnie normalna i rozsądna... Och, Tommy, Tommy, w co ja się znowu wpakowałam?!

Poczuła, że robi się senna i bezwładna. Mięśnie się rozluźniły... gdzieś z hukem pękła szyba. Nad Tuppence zamknęła się ciemność.

— Już lepiej... Wracamy do przytomności... Proszę to wypić, pani Beresford.

Szklanka przyciśnięta do ust... O, co to, to nie! Zatrute mleko... Kto to kiedyś mówił o zatrutym mleku? Ale to nie mleko, zupełnie inny zapach...

Tuppence uspokoiła się, otworzyła usta, pociągnęła łyk...

— Brandy!

— Bardzo dobrze! Proszę pić... No, jeszcze trochę.

Posłuchała. Potem opadła z powrotem na poduszki i omiotła wzrokiem otoczenie. Z rozbitego okna wystawał czubek drabiny. Na podłodze leżało mnóstwo szkła.

— Słyszałam, że szyba się stłukła.

Odsunęła szklankę z brandy. Powiodła oczami wzdłuż ręki aż do twarzy podtrzymującego ją mężczyzny.

— El Greco...

— Słucham?

— Mniejsza z tym.

Rozejrzała się po pokoju.

— Gdzie ona jest? Gdzie jest pani Lancaster?

— Odpoczywa w pokoju obok.

— Rozumiem. — Ale nie była pewna, czy naprawdę rozumie. Niebawem się przekonana, ale teraz mogła myśleć tylko o jednej rzeczy na raz. — Sir Filip Starke... — Wypowiedziała to wolno i z wahaniem. — Dobrze mówię?

— Tak. Czemu pani powiedziała „El Greco”?

— Cierpiący.

— Słucham?

— Obraz... W Toledo albo w Prado... Skojarzyło mi się to wiele lat temu... Nie, wcale nie tak dawno. — Nagle dokonała odkrycia: — Wczoraj! Zebranie... Na plebani.

— Już pani dochodzi do siebie.

Swoją drogą, jak łatwo, naturalnie rozmawia się jej z tym człowiekiem o ponurej, udreżonej twarzy w pokoju zasypanym szkłem z rozbitej szyby...

— Pomyliłam się wtedy... w Słonecznych Wzgórzach. Zupełnie źle ją osądziłam, bałam się, że... czułam taką falę strachu... Ale to nie był strach przed nią, tylko o nią, myślałam, że coś jej grozi, chciałam ją chronić... ratować. Ja... — Spojrzała na niego z powątpiewaniem. — Pan to rozumie? Czy to nie brzmi głupio?

— Nikt nie rozumie tego lepiej niż ja. Nikt na całym świecie.

Tuppence patrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami.

— Kim... Kim ona jest? To znaczy, pani Lancaster... pani Yorke...? To nie jest prawdziwe nazwisko, tylko zapożyczone od róży, a ona sama?

Filip Starkę przemówił ochrypłym głosem:

— *„Kim ona była? Ona sama? Ta rzeczywista i prawdziwa Kim była? Z Boskim na czole piętnem?”*

Czytała pani „Peera Gynta”, pani Beresford?

Podszedł do okna i stał tam przez chwilę, wyglądając na zewnątrz. Potem się nagle odwrócił.

— Boże, dopomóż mi... Była moją żoną.

— Pańską żoną... Ależ ona umarła, widziałam tablicę w kościele...

— Umarła za granicą, taka wersja tu krążyła. Nawet ufundowałem tablicę pamiątkową. Nie zasypuje się pytaniami pogrążonego w smutku wdowca. Wyniosłem się stąd zresztą.

— Niektórzy mówią, że pana opuściła.

— To także jest do przyjęcia.

— Wywiózł ją pan stąd, kiedy dowiedział się o... o tych dzieciach.

— Więc pani wie o dzieciach?

— Powiedziała mi. Wierzyć się nie chce...

— Przez większość czasu zachowywała się normalnie. Nikt by się nie domyślił. Ale

policja zaczęła ją podejrzewać i wtedy musiałem działać... ratować ją, chronić. Rozumie pani? Przynajmniej tyle pani rozumie?

— Tak. Rozumiem całkiem nieźle.

— Była... Była kiedyś taka śliczna... — Głos mu się lekko łamał. — Widzi pani? „Lilia Wodna” — Wskazał portret na ścianie. — I zawsze taka dzika, nieobliczalna. Jej matka, Helen Warrender, ostatnia z tej starej rodziny, uciekła kiedyś z domu. Związała się z jakimś opryskiem... bandytą. A córka poszła na scenę, została tancerką. „Lilia Wodna” to jej najlepsza rola. Niestety i ona trafiła do gangu; chciała przeżyć coś nowego, ekscytującego, ale czekały ją tylko kolejne rozczarowania. Kiedy wyszła za mnie, zerwała z tym wszystkim, chciała się ustatkować, żyć w spokoju, mieć rodzinę, dzieci. Mogłem jej to zapewnić, bo byłem bogaty, ale ku naszemu wielkiemu zmartwieniu, dzieci się nie pojawiały. Ona czuła się winna, wpadła w obsesję, może zresztą zawsze była trochę nierównoważona, sam nie wiem... Skąd takie rzeczy się biorą? Ona... — Rozłożył z desperacją ręce. — Kochałem ją, zawsze ją kochałem, bez względu na wszystko. Chciałem zapewnić jej bezpieczeństwo, nie dopuścić, by zamknięto ją w więzieniu do końca życia, żeby się tam zapłakała. I przez wiele lat to się nam udawało.

— Nam?

— Nellie... Moja kochana, wierna Nellie Bligh. Była taka cudowna, zawsze umiała wszystko zaplanować i zorganizować. Domy dla staruszek, zawsze te najbardziej komfortowe i co najważniejsze — bez dzieci. Pilnowaliśmy, żeby ją trzymać z daleka od dzieci, i to zdawało egzamin. Te domy są zwykle położone w ustronnych okolicach — Cumberland, Północna Walia, nikt by jej tam nie rozpoznał, tak się nam przynajmniej wydawało. Tak nam doradził pan Eccles — to bardzo sprytny adwokat, płaciłem mu ogromne sumy, ale mogłem na nim polegać.

— Szantażował pana?

— Nigdy tego tak nie traktowałem. Był moim przyjacielem, doradcą...

— Kto domalował łódkę na obrazie? Tę z napisem „Lilia Wodna”?

— Ja. Sprawilo jej to przyjemność. Pamiętała swoje triumfy na scenie. To obraz Boscowana, lubiła jego malarstwo. I pewnego dnia wypisała na mostku imię zmarłej dziewczynki, więc domalowałem łódkę, żeby je ukryć, a na burcie umieściłem nazwę „Lilia Wodna”.

Ukryte drzwi się odsunęły i weszła dobra czarownica. Spojrzała na Tuppence, a potem na Filipa Starke’a.

— Już wszystko w porządku? — spytała rzeczowym tonem.

— Tak — odparła Tuppence. Na szczęście dobra czarownica nie miała zamiaru robić zamieszania.

— Pani mąż czeka na dole w samochodzie. Obiecałam, że panią przyprowadzę, jeśli tak sobie pani życzy.

— Tak właśnie sobie życzę.

— To się dobrze domyśliłam. — Alice Perry zerknęła na drzwi do sypialni. — Czy ona tam jest?

— Jest — odrzekł Filip Starke.

Pani Perry weszła tam, ale zaraz wróciła.

— Ach, tak... — rzekła, patrząc mu przenikliwie w oczy.

— Poczęstowała panią Beresford mlekiem... Ale pani Beresford odmówiła.

— I wtedy ona wypła je sama?

— T-tak.

— Doktor Mortimer przyjedzie później.

Wyciągnęła do Tuppence rękę, ale ta wstała bez pomocy.

— Nie zraniła mnie, to tylko szok. Teraz już nic mi nie jest.

Stała naprzeciwko Filipa Starke'a. Długo nic nie mówili, wreszcie Tuppence pierwsza przerwała milczenie:

— Nic już nie mogę zrobić, prawda?

Nie zabrzmiało to jak pytanie.

— Jeszcze tylko jedna sprawa: to Nellie Bligh panią uderzyła.

Tuppence pokiwała głową.

— Tak się domyśliłam.

— Wpadła w panikę. Myślała, że jest pani na tropie naszego... sekretu. Mam wobec niej wielkie poczucie winy za to straszliwe napięcie, w jakim żyła przez tyle lat. Żadnej kobiety nie wolno zmuszać do takich poświęceń.

— Myślę, że bardzo pana kochała. Ale nie będziemy już szukać żadnej pani Johnson, jeśli o to właśnie chce nas pan prosić.

— Dziękuję... Jestem bardzo wdzięczny.

Nastała kolejna chwila ciszy. Pani Perry cierpliwie czekała przy drzwiach. Tuppence rozejrzała się dookoła, potem podeszła do okna i długo patrzyła na sielski kanał w dole.

— Chyba już nigdy nie zobaczę tego domu, więc patrzę tak usilnie, aby jak najwięcej zapamiętać.

— Chce go pani zapamiętać?

— Tak, chcę. Ktoś mi powiedział, że ten dom służył do niewłaściwych celów. Teraz rozumiem, o co chodziło.

Starke rzucił jej pytające spojrzenie, ale się nie odezwał.

— Kto pana tu przysłał?

— Emma Boscowan.

— Tak myślałam.

I zniknęła za przesuwanymi drzwiami razem z dobrą czarownicą.

Dom stworzony dla kochanków — tak mówiła Emma Boscowan. I takim go teraz zostawia: w posiadaniu kochającej się pary, z której jedno jest martwe, a drugie żyje i cierpi.

Na dole stał samochód z Tommym. Tuppence pożegnała się z dobrą czarownicą i wsiadła.

— Tuppence...

— Wiem.

— Nie rób tego więcej. Ani mi się waż.

— Nie zrobię.

— Teraz tak mówisz, ale potem znów postawisz na swoim.

— Nie. Jestem za stara.

Tommy przekręcił kluczyk i ruszyli.

— Biedna Nellie Bligh — westchnęła Tuppence.

— Czemu tak mówisz?

— Jest tak strasznie zakochana w Filipie Starke'u. Wszystko robiła z miłości, przez tyle lat... tyle zmarnowanego uczucia, tyle psiego przywiązania!

— Bzdura! — wykrzyknął Tommy. — Na pewno cieszyła się każdą chwilą. Są takie kobiety.

— Brutal bez serca!

— Dokąd jedziemy? Do Market Basing? Do Jagnięcia i Chorągiewki?

— Nie, mężu. Do domu. DOM, rozumiesz? I nigdzie się z niego nie ruszę.

— Amen — rzekł pan Beresford. — A jeśli Albert znów spalił kurczaka na węgiel, to go zabiję!

SPIS TREŚCI

Księga pierwsza	
Słoneczne Wzgórza	4
Rozdział I	
Ciotka Ada	5
Rozdział II	
Czy to biedne dziecko było pani?	11
Rozdział III	
Pogrzeb	20
Rozdział IV	
Obrazek z domem	23
Rozdział V	
Zniknięcie starszej pani	32
1	
2	34
3	37
Rozdział VI	
Tuppence na tropie	40
Księga druga	
Dom Nad Kanałem	45
Rozdział VII	
Dobra czarownica	46
Rozdział VIII	
Sutton Chancellor	57
Rozdział IX	
Ranek w Market Basing	76

Księga trzecia	
Zaginiona żona	84
Rozdział X	
Konferencja i później	85
1	
2	88
Rozdział XI	
Bond Street i doktor Murray	93
1	
2	96
Rozdział XII	
Tommy spotyka starego przyjaciela	103
1	
2	111
Rozdział XIII	
Albert na tropie	118
1	
2	120
Księga czwarta	
Rozdział XIV	
Ćwiczenie w myśleniu	130
1	
Rozdział XV	
Wieczór na plebani	138
1	
2	140
3	141
Rozdział XVI	
Następnego dnia rano	149
1	
2	152
Rozdział XVII	
Pani Lancaster	155